

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYZ

Nr 12/38

1950

---



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

K. BRZÓSKA — Sytuacja gospodarcza Polski \* W. WEIN-  
TRAUB — Marx, Palmerston i sprawa polska ♦ P. HOSTOWIEC  
— Monsieur Chlewaski \* K. A. JELENSKI — Apokalipsa i per-  
spektywa \* J. CZAPSKI — Czarne lustro ♦ *ARKUSZE POE-  
TYCKIE ♦ STRATY KULTURY POLSKIEJ ♦ KRONIKA  
KULTURALNA ♦ J. MONNEROT — Zmierzch socjalizmu ♦  
Z. CHAŁKO — Nie łatwo być ambasadorem ♦ J. KOWALSKI  
— Reforma pieniężna w Polsce ♦ *NAJNOWSZA HISTORIA  
POLSKI ♦ KSIĄŻKI.**

## SPIS RZECZY

Konstanty Brzóska:	<i>Sytuacja gospodarcza Polski</i> ..	3
K. A. Jeleński:	<i>Apokalipsa i perspektywa</i> .....	22
Michał Sambor:	<i>Na marginesie literatury emigracyjnej</i> .....	28
Józef Czapski:	<i>Czarne lusterko</i> .....	35
Paweł Hostowicz:	<i>Monsieur Chlewaski</i> .....	45
Wiktor Weintraub:	<i>Marx, Palmerston i sprawa polska</i> .....	51
Włodz. Ledóchowski:	<i>Podróż inspekcyjna do Kurumanu</i> .....	70
Alan Paton:	<i>Placz kraju umiłowany</i> .....	78

### ARKUSZE POETYCKIE

Św. Jan od Krzyża (przedkład J. Łebodowskiego):	<i>Kantyczka duchowa</i> .....	84
---	--------------------------------	----

### STRATY KULTURY POLSKIEJ

Felicja Kranc:	<i>Maciej Nowicki</i> .....	90
W. A. Zbyszewski:	<i>Człowiek, który umarł za późno</i> ..	93

### KRONIKA KULTURALNA

Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i> .....	98
W. A. Z.:	<i>«Lwów i Wilno»</i> .....	106

### ARCHIWUM POLITYCZNE

Jules Monnetot:	<i>Zmierzch socjalizmu</i> .....	107
Zbigniew Małecki:	<i>Odbrażowiona Szwajcaria</i> ....	113

### SPRAWY KRAJOWE

Jan Kowalski:	<i>Reforma pieniężna w Polsce</i> ..	115
---------------	--------------------------------------	-----

### SPRAWY I TROSKI

Zbigniew Chałko:	<i>Nie łatwo być ambasadorem</i> ..	127
—	<i>Kronika emigracyjna</i> .....	134

### NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Melchior Wańkowicz:	<i>Spory o monopole</i> .....	140
---------------------	-------------------------------	-----

### KSIĄŻKI

Józef Ursyn:	<i>«Moira»</i> .....	150
Raymond Lantier:	<i>Prehistoria Polski</i> .....	152
W. A. Z.:	<i>Scenariusz</i> .....	154
Józef Ursyn:	<i>Książki Odette Pannetier</i> ....	155
—	<i>Nowości Francuskie</i> .....	157
St. Biliński:	<i>List do Redakcji</i> .....	158

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Grudzień — Décembre 1950

INSTYTUT



LITERACKI



Londyńskim korespondentem KULTURY jest p. Juliusz  
MIEROSZEWSKI, 21, Fentiman Road, London S.W. 8.  
tel. REL. 4133

Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

## Sytuacja gospodarcza Polski

1.

### TRZYLETNI PLAN GOSPODARCZY

Począwszy od wybuchu ostatniej wojny światowej, społeczeństwo polskie, a wraz z nim jego struktura społeczna, gospodarcza i polityczna uległo i ulega w dalszym ciągu gwałtownym wstrząsom. Wpływ tych wstrząsów na społeczeństwo jest widoczny. Polacy, którzy opuścili kraj w 1939 roku stwierdzili to w obcowaniu z falą emigracyjną z roku 1945. Nieliczni uciekinierzy lub emigranci z 1950-go roku dostarczają przykładów na nowe zmiany w psychice i w sposobie myślenia, jakie zaszły w Polsce od chwili rozpoczęcia rządów komunistycznych. Społeczeństwo jest dzisiaj pod zupełną okupacją polityczną sowiecką. Zasadnicze decyzje polityczne i gospodarcze zapadają w Moskwie. Rosja Sowiecka decyduje o kierunku i szybkości rozwoju gospodarczego nie tylko Polski, ale i całego obszaru na wschód od Łaby. Poszczególnym narodom pozostały w dziedzinie gospodarczej tylko decyzje drugorzędne, dotyczące wykonywania otrzymanych dyrektyw. Staje się to szczególnie jasne jeśli obserwuje się plany gospodarcze wszystkich państw satelickich. Widać w nich dokładnie tę samą myśl rosyjską, zmierzającą nie do rozbudowy gospodarczej poszczególnych państw zgodnie z ich indywidualnymi możliwościami i interesami, ale do rozbudowy tych elementów gospodarstwa, które są najbardziej potrzebne Rosji. Dobrze, jeśli interesy tych państw są zgodne z interesem sowieckim. Jeśli nie, zostają one brutalnie podporządkowane interesom rosyjskim.

Społeczeństwo w swej masie, zamknięte w ghetcie myślowym i poddane bez przerwy działaniu propagandy komunistycznej, nie zdaje sobie często sprawy z zasadniczych decyzji gospodarczych, podejmowanych w Moskwie i podawanych w Polsce przez «uczonych w piśmie» w Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego. Przed społeczeństwem stoi codzienna praca i codzienna troska o byt. Dba się szczególnie, aby ludzie nie mieli wolnego czasu. Dba się również usilnie, aby ludzie nie wiedzieli co się istotnie w Polsce dzieje. Nie publikuje się żadnych wiadomości, które by podawały wielkości gospodarcze



na skalę państwa. Jeśli mówi się o budownictwie, to o «szybkościowcach»<sup>1)</sup> na Muranowie lub Mariensztacie. Ile metrów kubicznych budynków wali się w gruzy w całym kraju z braku koniecznych remontów, lub po prostu po przekroczeniu normalnego czasu trwania, i jaki jest czysty przyrost w budynkach, to stanowi tajemnicę dostępną tylko wtajemniczonym. Jeśli mówi się o rolnictwie, to tylko o drobnym jego wycinku w formie osiągnięć jednej ze spółdzielni produkcyjnych, lub jednego z majątków państwowych. Tak jest zresztą z wszystkimi działami gospodarki. Nic więc dziwnego, że społeczeństwo nie ma żadnej perspektywy w spojrzeniu na zjawiska gospodarcze. Ulega ono złudzeniu pod wpływem ustawicznej propagandy, która stara się zagłuszyć wszelkie niedomagania przytaczaniem, bez końca, coraz to nowych imponujących procentów. W rezultacie wielu ludzi w Polsce wierzy w wielkie sukcesy gospodarcze osiąmane w kraju.

Atmosfera psychiczna w Polsce każe obywatelowi szukać sposobu wyżycia się, znalezienia celu, który by dał nadzieję na przyszłość. Wyjście jest często jedyne. Praca zawodowa. Jednostki czynne, a takich jest wiele, wyżywają się w pracy. Wrodzona emocjonalność i żywotność społeczeństwa sprzyjają wytworzeniu się entuzjazmu pracy, który podsycany jest wszelkimi sposobami przez partię komunistyczną. Czasem przed obywatelem otwierają się nowe pola do wykazania się umiejętnościami i energią. W Polsce znaleźć dziś można przykłady prawdziwej, gorliwej i entuzjastycznej pracy. Bierne jednostki pracować muszą, aby wyrobić normę, aby nie wejść w kolizję z ustawą o socjalistycznej dyscyplinie pracy, z ustawą o zapobieganiu płynności kadr, z kacykami z partii. Pracować muszą, aby żyć.

Życie gospodarcze i polityczne jest dzisiaj w Polsce kierowane z Moskwy.

W codziennym życiu jest jednak wiele spraw drugorzędnych dla Sowieców, a mających wielkie znaczenie dla kraju. Przykładem mogą tu być takie dziedziny, np. jak budownictwo miejskie. Nasi architekci mają przed sobą możliwości projektowania i budowania osiedli, możliwości które mogą być przedmiotem zazdrości dla wielu ich kolegów na Zachodzie Europy. Podobne możliwości otwierają się i w innych dziedzinach, jak w opiece zdrowotnej, opiece społecznej itp. Trasa W - Z, duma i radość Polaków, zbudowana została dla ułatwienia transportu drogowego Rosji, w kierunku Wschód-Zachód, ale przyczyniła się zarazem do odbudowy Warszawy i umieszczenia Starego Miasta, jak klejnotu, w oprawie nowej i piękniejszej stolicy. To usprawiedliwia czasem wiarę naszych rodaków, że swoim wysiłkiem i poświęceniem budują Polskę i że praca ich przyda się

przyszłym pokoleniom. Jest rzeczą ważną, żeby rozumieć radość i entuzjazm naszych rodaków nad każdym sukcesem gospodarczym, prawdziwym lub urojonym. Negowanie lub szyderstwo z ich entuzjazmu spowoduje rozgoryczenie i poczucie różnic między Polakami. Jest rzeczą również ważną, aby studiować wszelkie zmiany zachodzące w gospodarstwie polskim i w psychice społeczeństwa polskiego. Jest to niezbędnie potrzebne, nie tylko dla zrozumienia obecnej sytuacji, ale dla zdania sobie sprawy czego chcemy w Polsce na polu gospodarczym.



W okresie między 1946 a 1948 rokiem rozgrywała się w Polsce walka o organizację życia gospodarczego i o wytyczenie celów gospodarczych pomiędzy partią komunistyczną a wszelkimi innymi ugrupowaniami politycznymi w kraju. W czasie tej walki siłą komunistów było nie tylko poparcie i naciski sowieckie. Ich siłą było również to, że dla każdego problemu gospodarczego dawali zdecydowane rozwiązanie. Strona przeciwna nie zawsze wiedziała czego chce, nie miała wypracowanych poglądów na poszczególne zagadnienia gospodarcze, jak na przykład na zakres nacjonalizacji, organizację obrotów towarowych, organizację kredytu, spółdzielczość spożywców, spółdzielczość wiejską itp. Okres ten skończył się w marcu 1948 wraz z rozbięciem Centralnego Urzędu Planowania i upadkiem jego prezesa. Urząd ten był ostatnim ośrodkiem samodzielnej myśli gospodarczej w Polsce. Wraz z jego upadkiem rozpoczęła się niczym już nie ograniczona dyktatura komunistów.

Z doświadczeń tych należy wyciągnąć wnioski. Emigracja polska powinna nie tylko śledzić rozwój wypadków w Polsce, ale powinna również dochodzić drogą obiektywnej dyskusji do skrytalizowania własnych poglądów na zagadnienia gospodarcze w kraju. Dla walki z komunizmem nie wystarczy negocjowanie programu komunistów. Skutecznym środkiem walki jest przeciwstawianie polskiego programu gospodarczego, który by miał silny dynamizm społeczny, siłę atrakcyjną dla większości społeczeństwa, i stawiał nie tylko fragmenty zagadnień, ale starał się znaleźć odpowiedź na całość problemów gospodarczych. Dla zbudowania nowoczesnej maszyny należy uprzednio opracować rysunek techniczny. Budowa bez takiego rysunku jest albo niemożliwa, albo musi pociągnąć duże straty. Dla zbudowania ustroju gospodarczego, nie wystarczają dobre chęci i «programy gospodarcze». Należy również zdawać sobie dokładnie sprawę tak z całości jak i ze szczegółów ustroju gospodarczego, który chcielibyśmy widzieć w Polsce. Musi być to przedmiotem spokojnej, obiektywnej i rzeczowej dyskusji. Dyskusja taka przyczyni się niewątpliwie do wyjaśnienia wielu niejasności, do sprostowania wielu błędów i do znalezienia rozwiązań gospodarczych najbardziej właściwych dla warunków polskich. Nie od rzeczy będzie tu przypomnieć, że szybka i spraw-

1) Budynki budowane systemem potokowym.



na odbudowa zniszczeń wojennych w latach 1946 - 1948 była również możliwa dlatego, że istniała grupa ludzi, którzy w czasie wojny studiowali zagadnienia gospodarcze Polski, głównie na terenie Londynu, i zaraz po wojnie wzięli czynny udział w pracach nad odbudową kraju.

W okresie między dwiema wojnami zrobiono w Polsce dużo. Jeśli weźmiemy jednak pod uwagę, że większość robót dokonana została w dwóch krótkich okresach, między 1927 - 30 i 1936 - 39 to stanie się jasne, że przy właściwym użyciu wszystkich czynników produkcji będących w dyspozycji państwa, Polska mogła rozwijać się lepiej i szybciej. Niestety, 6 lat wydajnej pracy na przestrzeni dwudziestolecia nie mogło nikogo zadowolić, tym bardziej, że w warunkach polskich istniało o wiele więcej zagadnień gospodarczych do rozwiązania niż w innych krajach europejskich<sup>1)</sup>.

Polska wyniosła z pierwszej Wojny Światowej kilka obszarów nie dopasowanych gospodarczo do siebie. Obszary te były przed tamtą wojną prowincjami państw zaborczych i traktowane były jako prowincje leżące na ich brzegach. Były zabór rosyjski poza kilkoma miastami świec i do dziś dnia smutną pustką gospodarczą. Województwo białostockie, na przykład, posiada obecnie ogółem 9.000 robotników, zatrudnionych w przemyśle, co stanowi 1 procent ludności województwa. Jest to ciągle jeszcze obszar rolniczy o kulturze rolnej sprzed wieku<sup>2)</sup>. Należy uświadomić sobie również obraz miasteczek dookoła Warszawy jak Płońsk, Pułtusk, Wyszaków, Maków, nie mówiąc już o nielicznych miasteczkach położonych bliżej granicy rosyjskiej. Jeśli porówna się ten obraz z przeciętnym obrazem prowincji Anglii, Francji lub Belgii, to osiągnie się właściwą miarę wysiłków i pracy jaką należało i należy wykonać w Polsce.

Były zabór austriacki przyniósł nam przemysł naftowy, a z nim równowagę bilansu energetycznego. Przemysł ten był jednak słabo zainwestowany, o przestarzałym wyposażeniu technicznym, a przede wszystkim należący do Polski tylko w niewielkim procencie. 87 procent kapitałów zainwestowanych w okresie pomiędzy 1933-35 należało do spółek i udziałowców zagranicznych<sup>3)</sup>. Struktura rolna Galicji, charakteryzująca się niesłychanym rozdrobnieniem gospodarstw rolnych i przeludnieniem wsi, była jednym z najcięższych problemów gospodarczych do rozwiązania. W ostatnich latach przed wojną budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego miała przyczynić się w

1) Plan 6-cio letni jest planem zmiany struktury gospodarczej Polski. Jest więc rzeczą niezbędną omówienie choćby jak najbardziej ogólne struktury gospodarczej Polski z 1939 i 1945-go r.

2) Na przykład, stosuje się tu do dnia dzisiejszego w płodozmianie rolniczym tzw. trójpolówkę.

3) *Foreign Capital in Poland*, by L. Wellisz, London 1938, strona 145.

pewnej mierze do uzdrowienia rozpaczliwej nierównowagi między ilością rąk roboczych, a możliwościami produktywnego zatrudnienia na tym obszarze.

Zabór pruski zostawił nam dobrze zagospodarowane rolnictwo na słabych rolniczo ziemiach Poznańskiego i Pomorza, przemysł obsługujący rolnictwo, a przede wszystkim przemysł górniczy i ciężki na Śląsku, który był i jest podstawą i nadzieją dla przebudowy gospodarczej Polski. Niestety i ten przemysł był tylko częściowo w rękach polskich<sup>1)</sup>. Właściciele zagraniczni a przede wszystkim Niemcy, znajdowali dziesiątki sposobów, aby zapewnić sobie większe zyski kosztem rozwoju tego przemysłu na ziemiach polskich.

Dzielnice Polski przejęte po zaborcach miały wewnątrz siebie brak elementów równowagi gospodarczej i jako całość nie były, przynajmniej w początku istnienia państwa, do siebie dopasowane. Do trudności strukturalnych przyłączyły się trudności wynikające ze zniszczeń wojennych. W ciągu pierwszych kilku lat istnienia, Polska przeżywała gwałtowny kryzys gospodarczy na tle braku równowagi pomiędzy zasadniczymi elementami gospodarczymi państwa, spotęgowanymi potrzebami młodego organizmu państwowego. Był to okres charakteryzujący się zamieszczeniem w systemie pieniężnym, który udało się podporządkować dopiero w 1926 roku. Inne kraje Europy Wschodniej miały podobne zagadnienia do rozwiązania. Trudności, jakie musiała pokonać Polska były jednak największe. Przez cały czas dwudziestolecia Polska z trudnością tylko scalila swoje obszary gospodarcze, i doszła do poziomu gospodarczego sprzed pierwszej Wojny Światowej. Mimo dużego wysiłku produkcja przemysłowa w Polsce (bez górnictwa i energetyki) osiągnęła poziom sprzed pierwszej Wojny Światowej dopiero w 1938 roku, podczas gdy Czechosłowacja osiągnęła ten poziom prawie natychmiast po wojnie, bo w roku 1921, Węgry w 1928, Austria 1927, Rumunia 1926. Ilustruje to poniższe zestawienie.

Roczne wskaźniki produkcji przemysłowej  
bez górnictwa i energetyki  
1913 = 100

	Czechosłowacja	Polska	Austria	Węgry	Rumunia
1920	70	35	48	—	—
1925	136	63	95	77	92
1930	156	76	100	108	132
1935	121	74	94	123	165
1938	146	105	127	143	177

Źródło: *Industrialization & Foreign Trade*, League of Nations, 1945, str. 136.

1) Udział kapitału obcego w przemyśle górniczym i hutniczym wynosił w latach 1933 - 35, 71%; *Foreign Capital in Poland*, str. 145.



Całość polskiej gospodarki narodowej składała się na obraz kraju, stojącego na niskim poziomie gospodarczym, zawierającym typowe elementy nierównowagi między rolnictwem z jednej strony, a przemysłem i działami towarzyszącymi jak transport, handel i kredyt — z drugiej strony. Na ogólną liczbę ludności 32,1 milionów w roku 1931, mieliśmy w Polsce 19,4 miliony ludzi (60 procent ogółu), utrzymujących się z pracy na roli<sup>1)</sup>. Był to stosunek bardzo wysoki. Poza Polską tylko kraje Bałkańskie miały ten stosunek bardziej niekorzystny. Mimo faktu, że Polska była krajem rolniczym, dochód narodowy z rolnictwa był niewielki. Według obliczeń, dokonywanych w czasie ubiegłej wojny w Londynie, dochód narodowy brutto wynosił w 1938 roku 17,7 miliardów złotych, według cen z 1938 roku. Z tej sumy przypadało na rolnictwo 39 procent, na przemysł 32 procent i usługi 29 procent. Tak więc przeszło 60 procent ludności uzyskiwało zaledwie 39 procent całości dochodu narodowego. Wskazuje to też na niski poziom życiowy ludności rolnej i na zacofaną kulturę rolną. Zagadnienia społeczne i majątkowe w Polsce nie wyglądały lepiej. Hustracją tego może być fakt, że 0,5 procent całkowitej ilości gospodarstw rolnych miało w swym posiadaniu 47,3 procent całości ziemi uprawianej rolniczo<sup>2)</sup>. Pod tym względem byliśmy wraz z Węgrami na ostatnim miejscu w Europie Wschodniej. Gospodarstwa karłowate, od 1 do 5 hektarów, nie mogły dać wyników pozytywnych w produkcji rolnej. Stanowiły one jednakże 64,2 procent ogólnej liczby gospodarstw, a miały w swym władaniu 14,8 procent ziemi użytkowanej rolniczo<sup>2)</sup>.

Zagadnienia ludnościowe były dodatkowo skomplikowane sprawą narodowościową. Statystyka Polska podaje udział narodowości polskiej, według języka, na 68,9 procent ogółu obywateli w roku 1931. Ludność wyznania rzymsko-katolickiego stanowiła w Polsce 64,8 procent. Na pozostałą liczbę składali się obywatele innych narodowości, a przede wszystkim ukraińskiej — 10 procent, żydowskiej — 8,6 procent, ruskiej i białoruskiej — 6,9 procent<sup>3)</sup>. Ludność żydowska zamieszkiwała głównie miasta i miasteczka. Nie posiadając dostatecznych kapitałów na zbudowanie drobnego przemysłu, zajmowała się w dużej mierze zbytecznym pośrednictwem handlowym, co komplikowało właściwą organizację obrotu towarowego, szczególnie ze wsią. Aparat oświatowy był słabo rozwinięty, szczególnie na odcinku szkół zawodowych i średnich szkół technicznych.

Nie potrafiono w Polsce wykorzystać wszystkich możliwości dla rozbudowy kraju, tkwiących w gospodarstwie narodowym. Bezrobocie poza rolnictwem wahało się w Polsce sta-

łe w latach przedwojennych około cyfry 450 tysięcy robotników. Przyjmując ogólne zatrudnienie poza rolnictwem na około 2 i pół miliona zobaczymy, że bezrobocie wynosiło około 20 procent całości zatrudnienia<sup>1)</sup>. W rolnictwie obliczano ukryte bezrobocie, nie mniej groźne dla gospodarki narodowej, na cyfrę od 5 do 8 milionów ludzi. Mimo tego, nie podjęto w Polsce poważnych prób zwalczania tej katastrofalnej sytuacji w sensie organizowania robót publicznych tak potrzebnych, jak na przykład budowa dróg, regulacja rzek, melioracje, wreszcie budownictwo, w których to pracach element pracy jest przeważający, a potrzebne materiały dostępne w dostatecznych ilościach na terenie kraju. W latach najlepszej koniunktury roczny przyrost zatrudnienia poza rolnictwem sięgał połowy naturalnego przyrostu ludności. Nierównowaga pomiędzy ilością rąk do pracy a kapitałem potrzebnym dla ich zatrudnienia miała tendencję wyraźnie zwiększającą się.

Wypadki wojenne zmieniły radykalnie strukturę gospodarczą Polski. Największe zmiany zaistniały po stronie ludnościowej. Na obecnym terytorium Polski zamieszkiwało, w roku 1939, 32,1 miliona mieszkańców. Według spisu ludności, przeprowadzonego w Polsce w 1946 roku, liczba ta zmalała do 23,9 miliona<sup>2)</sup>. Wskazuje to na ubytek 8 milionów ludności, to znaczy 25 procent stanu przedwojennego.

Zmniejszenie ludności spowodowane zostało przede wszystkim przez straty wojenne w drodze bezpośrednich strat, bądź też w gheftach, obozach koncentracyjnych, więzieniach itp. Według obliczeń Biura Odszkodowań Wojennych<sup>3)</sup> liczba strat obywateli polskich narodowości polskiej i żydowskiej wynosi 6 milionów. Warto przypomnieć dla uchwycenia proporcji, że straty wojenne Stanów Zjednoczonych A. P. wynosiły około 200 tysięcy, Wielkiej Brytanii 390 tysięcy, Francji 600 tysięcy.

Dalszym czynnikiem jest odpływ ludności niemieckiej z Ziemi Odzyskanych. Ludności tej było przed wojną na tym terytorium 8,8 miliona, w tym około 1,5 — 2 milionów polskiej ludności rodzimej, Mazurów, Kaszubów, Ślązaków. Spis z 1946 wykazał na tych obszarach zaledwie 2,1 miliona ludności niemieckiej, która została następnie wysiedlona do Niemiec. Ubytek ludności na obecnym terytorium Polski został skompensowany repatriantami zza Bugu w liczbie 1,5 miliona ludzi, w czasie pomiędzy 1944 - 47<sup>4)</sup>, reemigrantami z innych krajów, wreszcie

1) Mały Rocznik Statystyczny, 1939, strona 258 i następne.

2) Rocznik Statystyczny 1948, strona 16.

3) Sprawozdanie w przedmiocie strat i szkód wojennych w Polsce w latach 1939 - 1945, Warszawa, Styczeń 1947.

4) Cyfra ludności, która przeniosła się zza Bugu między 1939 - 1944 nie jest mi znana.

1) *Economic Demography of Eastern Europe*, E. Moore, League of Nations, 1949, strona 26.

2) *Mały Rocznik Statystyczny*, 1939, strona 68, oraz jak wyżej, strona 82.

3) *Mały Rocznik Statystyczny*, 1939, strona 24 i następne.



przyrostem naturalnym w czasie wojny, który kształtował się na poziomie wyższym niż przypuszczano<sup>1)</sup>.

Na terenie Ziemi Odzyskanych zamieszkuje obecnie około 6,5 miliona ludności, w tym około 1 miliona polskiej ludności miejscowej. W literaturze zachodnio-europejskiej trudno znaleźć dokumenty dotyczące sytuacji ludnościowej w Polsce. Cennym przyczynkiem jest obiektywne studium G. Frumkina na ten temat<sup>2)</sup>.

Problem produktywnego zatrudnienia ludności rolniczej w Polsce pozostał nadal nierozwiązany. Nawet przy obecnej technice rolnej znajduje się obecnie około 2 - 3 milionów ukrytego bezrobocia w rolnictwie. Niewątpliwie jednak zmiany terytorialne i ludnościowe ułatwiły znakomicie rozwiązanie zasadniczego problemu gospodarczego Polski, a mianowicie, produktywnego zatrudnienia wszystkich obywateli na terenie kraju.

Zmiany terytorialne przyniosły Polsce zwiększenie potencjału przemysłowego. Znany jest ogólnie rabunek Ziemi Odzyskanych przez Rosjan. Maszyny, narzędzia i sprzęt techniczny, zostawiony przez Niemców, traktowane były jako zdobycz wojenna rosyjska, demontowana, wywożona lub niszczona na miejscu<sup>3)</sup>. Mimo tego, kopalnie, huty, fabryki i zakłady, które dało się odbudować, stanowią ważną pozycję w zestawieniu całości kapitału stałego w Polsce. Nie mamy dokładnych obliczeń tego kapitału. Takie obliczenia są dopiero obecnie sporządzone w Polsce. Dadzą one ciekawy obraz zmian struktury kapitałowej. Kapitał zainwestowany w budynkach, maszynach, urządzeniach technicznych, drogach wodnych i lądowych, melioracjach i uzbrojeniu terenu jest prawdopodobnie na Ziemiach Odzyskanych rzędu około 30 - 40 procent całości kapitału zainwestowanego na terenie obecnej Polski, a w porównaniu do całości kapitału stałego w Polsce z 1939 roku jest rzędu około 20 - 30 procent. Zanim będą nam znane dokładne obliczenia, możemy porównać wartość brutto produkcji przemysłowej Polski w rozbiciu na Ziemi Centralne i Odzyskane. W latach 1947 - 48 produkcja ta stanowiła na Ziemiach Odzyskanych 23 procent całości produkcji<sup>4)</sup>. Cyfry te nie oddają właściwego znaczenia przemysłowego Ziemi Odzyskanych. Należy mieć na

1) Jan Czekanowski, **Wojna a przyrost ludności**; Przegląd Zachodni, Nr 1/2 1949.

2) **Population**, Nr 4, Paris 1949; Pologne Six Années d'histoire démographique.

3) W tym ogólnym rabunku potencjału przemysłowego, piękna kartę zapisał sobie u Rosjan obecny minister w Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, a wieloletni zastępca Hilarego Minca — Eugeniusz Szyr. Był on wówczas rzecznikiem rządu lubelskiego dla spraw przemysłowych Ziemi Odzyskanych przy armii sowieckiej. Wszelkie protesty i wysiłki polskich techników przedkładane mu w celu bronienia wywozu maszyn nie odnosiły oczywiście skutku.

4) **Plan Odbudowy Gospodarczej**, Liczby Podstawowe, Warszawa 1947, strona 35.

uwadze, że na ich terenach znajduje się przemysł węglowy, hutniczy i ciężki przemysł maszynowy. W tabeli załączonej przedstawiony jest udział Ziemi Odzyskanych w produkcji ważniejszych artykułów przemysłowych. Udział ten wzrasta w następnych latach w miarę odbudowywania i zagospodarowywania tych ziem.

#### Udział Z. O. w produkcji ważniejszych artykułów przemysłowych

w Polsce w 1947 r.

	Jednostka miary	Polska	Ziemia Odzyskane	% produkcji Ziemi Odzyskanych
Węgiel kam.	miln. ton	57,5	19,1	33
Surówka	tys. ton	995	264	27
Stal	" "	1423	282	20
Odlewy stal.	" "	33	9,8	30
Obrabiarki	sztuk	4220	620	15
Wagony tow.	tys. sztuk	12	10,2	85
Cement	miln. ton	1,5	0,3	23
Wapno pal.	" "	0,7	0,3	43
Szkło tafłowe	miln. m <sup>2</sup>	11	4,2	38
Skóry twarde	tys. ton	9,2	2,0	22
Papier	" "	200	76	38
Odbiorniki radiowe	tys. sztuk	47	27	57
Spirytus	miln. lit. 100 <sup>o</sup>	70	15,7	22
Zapałki	miln. pud.	715	271	38

Źródło: Plan Odbudowy Gospodarczej, Liczby Podstawowe, Warszawa, 1947, str. 45.

Polska rozpoczęła swój byt gospodarczy w 1945 roku w warunkach tragicznych. Dla zrozumienia postępów gospodarczych Polski w następnym trzyleciu, dobrze jest uprzytomnić sobie poziom gospodarczy, z którego Polacy rozpoczęli swoją pracę. Dobrze jest też przypomnieć sobie, że w tym krytycznym momencie spotykaliśmy się ze strony Rosji nie z pomocą, jak to szumnie głoszą przywódcy komunistyczni, sami w to nie wierząc, ale z brutalnym rabunkiem. Pamiętają to dobrze ci, którzy byli w owym czasie w Polsce. Lokomotywy naprawione przez naszych kolejarzy w warunkach pracy urągających wszelkim pojęciom, znikają za Bugiem bezpowrotnie. Co lepsze maszyny, zostawione przez Niemców, były zabierane jako łup wojenny. Robotnicy w Łodzi pamiętają dobrze strajki włoskie, które zorganizowali, aby nie dać Rosjanom maszyn. Żywność na wsiach była wykupywana przez Rosjan masowo, bez względu na cenę, za złotówki drukowane w Rosji. Bank Polski nigdy nie dowiedział się prawdziwej emisji naszej waluty, druko-



wanej przez Sowiety. Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Polska dobrze poznała swych sowieckich przyjaciół w owych latach już nie biedy, lecz nędzy.

Dobrze też jest przypomnieć pomoc, jaką Polska otrzymała od UNRRA. Całkowita pomoc UNRRA jest dobrze znana z publikacji tej organizacji<sup>1)</sup>. W porównaniu z całkowitym dochodem narodowym w Polsce pomoc ta stanowiła przynajmniej 15%. Znowu należy tu przypomnieć fakt, znany ogólnie ludności wybrzeża, rabunku transportów UNRRA przez władze cywilne i przez wojsko sowieckie. Cyfry dotyczące pomocy w całości kształcie naszej gospodarki narodowej zostały nawet opublikowane w niektórych dokumentach polskich w czasach, gdy moralność społeczna była jeszcze na takim poziomie, że za dobrodziejstwa nie odpłacało się kłatwą<sup>2)</sup>. Pomoc ta składała się w 2/3 z dóbr konsumpcyjnych jak żywność, odzież, lekarstwa itp. Na resztę składały się dobra inwestycyjne, a przede wszystkim środki transportowe. Import inwestycyjny w 1946 r. był w 92% importem bezpłatnym, dostarczonym Polsce z Zachodu<sup>3)</sup>.

Taki był początek gospodarki Polski. Gospodarka ta, po uchwyceniu jakiejś takiej równowagi, weszła w fazę mniej więcej uporządkowaną i ujętą w ramy 3-letniego planu gospodarczego. Plan ten był w owych czasach wyrazem realizmu gospodarczego i politycznego, był również wyrazem gospodarczej myśli Polski. Nie stawiał on zadań przebudowy struktury gospodarczej, nie wprowadzał nowych wstrząsów do gospodarki polskiej. Zadaniem Planu było zajęcie się człowiekiem w Polsce. Człowiekiem, który od 1939 roku był gonionym zwierzęciem, głodnym, obdartym, bezdomnym, schorowanym. Cel ten był wyraźnie postawiony we wszystkich dokumentach przygotowawczych i w samej ustawie o Planie 3-letnim<sup>4)</sup>. Dlatego właśnie jest to dokument, świadczący o zawartej w nim myśli polskiej. Przy stawianiu tego celu wzięte były pod uwagę nie tylko momenty humanitarne. Dla celów przyszłej pracy i przyszłej przebudowy gospodarczej Polski należało przygotować najważniejszy czynnik w gospodarce narodowej — czynnik pracy. Nie można było wymagać dalszych wysiłków od społeczeństwa pod groźbą — wyniszczenia tego społeczeństwa. Dlatego też plan 3-letni rozpoczyna się od słów: *«Podstawowym zadaniem gospodarstwa narodowego w okresie 1947-49 jest podniesienie stopy życiowej pracujących warstw ludności powyżej poziomu przedwojennego»*. Myśl Polska objawiała się tu w fundamen-

1) *The Impact of UNRRA on Polish Economy*. Również opracowania poszczególnych działów gospodarczych: *Division of Operational Analysis, UNRRA European Regional Office*; London, 1946 i 1947.

2) Patrz np. *Plan Odbudowy Gospodarczej, Liczby Podstawowe*, Warszawa, 1947, str. 157.

3) *Biuletyn Instytutu Gospodarstwa Narodowego*, Nr 7, Warszawa, czerwiec 1948, str. 23.

4) *Dziennik Ustaw* Nr 53, z dnia 16 sierpnia 1947 r.

talnej zasadzie, że planuje się dla człowieka, a nie dla uzyskania ośrodków gospodarczych, dla nich samych. W tym właśnie leży zasadnicza różnica między polskim planem 3-letnim a obecnym planem 6-letnim. Przypuszczam, że niektórym czytelnikom nasunie się uwaga, że podkreślenie czynnika ludzkiego w planie miało na celu dywersję polityczną, uspienie społeczeństwa, zjednanie go w okresie polskiego «NEP'u». Oczywiście, te elementy mogły istnieć w delikatnej podówczas taktyce komunistów. Wydaje się jednakże nie ulegać wątpliwości, że w ówczesnych warunkach główne zadania planu odzwierciedlały istotne przekonania i dążenia jego twórców.

Dla uzyskania zasadniczego celu jakim było podniesienie stopy życiowej, plan 3-letni postawił szereg zadań gospodarczych do wykonania. Plan kładł nacisk na rolnictwo, stawiając zadanie *«osiągnięcia w 1949 r. średniego wskaźnika produkcji na głowę ludności co najmniej 110, przyjmując przeciętną z lat 1936 - 38 za 100<sup>1)</sup>»*. W dziedzinie przemysłu położono nacisk na produkcję dóbr konsumpcyjnych. Dobra inwestycyjne miały być produkowane przede wszystkim dla *«umożliwienia rozwoju wytwórczości zaspakajającej potrzeby konsumpcyjne oraz wytwórczości na eksport»<sup>2)</sup>*. W dziedzinie komunikacji dążono do odbudowy kolejnictwa, zmierzając do *«podwyższenia w roku 1949 wskaźnika przewozów osób do 109, a tonażu przewozów towarowych do 160, przyjmując rok 1938 za 100»<sup>3)</sup>*. W dziedzinie handlu zagranicznego zadania postawione przez plan zobowiązywały do *«zwiększenia obrotu towarowego z zagranicą celem i w sposób zapewniający najwyższe osiągalne korzyści dla gospodarstwa narodowego»*, jak również do *«uzyskania kredytów zagranicznych na import, a przede wszystkim na import surowców i żywności w początkowym okresie planu, oraz na import artykułów inwestycyjnych w całym okresie planu»<sup>4)</sup>*. Podobne postanowienia powzięto dla konsumpcji dóbr materialnych, zdrowia, opieki społecznej, oświaty i nauki i wszelkiego rodzaju usług. Pouczająca jest lektura planu w Rozdziale 3, dotyczącym gospodarki prywatnej. Znaleźć tam można wyliczenie wszelkich ustaw i dekretów, w których rząd z Bierutem, Cyrankiewiczem i Mincem na czele zagwarantował swoim podpisem ramy rozwoju dla tej gospodarki. Jest to drukowany dokument, dający właściwy obraz moralności i wiarygodności zobowiązań i obietnic komunistów.

W październiku 1949 r. ukazał się w prasie polskiej bombastyczny komunikat Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego, głoszący, że plan 3-letni został wykonany w okresie 2 lat i 10 miesięcy<sup>5)</sup>.

1) Artykuł 11, punkt a) ustawy o planie.

2) Artykuł 23, punkt a).

3) Artykuł 31, punkt a).

4) Artykuł 78, punkt a) i c).

5) *Rzeczpospolita i Dziennik Gospodarczy*, Nr 316, Warszawa 1949.



Komunikat jest świadomym i celowym fałszerstwem rzeczywistości. Nie wspomina on ani słowem o jakimkolwiek czynniku, związanym z poziomem życia ludności. Nie mówi się w nim nic o spożyciu artykułów żywnościowych lub przemysłowych na głowę ludności, nie wspomina się sytuacji mieszkaniowej, nie pisze się o opiece zdrowotnej lub społecznej.

Jest to zestawienie procentowe wykonania planu według artykułów, i to głównie artykułów, na które nie był położony nacisk w planie. Procenty wykonania nie odnoszą się do cyfr opublikowanych w Planie, ale do cyfr, które były dla wygody planujących, zmieniane w czasie trwania planu. Procenty wobec tego podane nie mają wartości dla porównania z początkowymi założeniami. Plan wykonano w produkcji niektórych artykułów przemysłowych, szczególnie produkcji masowej i o charakterze inwestycyjnym. Mówić jednak o wykonaniu planu jako całości, o wykonaniu jego istotnych założeń, to jest naigrywanie się z własnego społeczeństwa, to szyderstwo z ludzi, którzy albo przestali w ogóle rozumieć co się wokół nich dzieje, albo nie otwierają ust w obawie przed zagładą. O wykonaniu planu nie można mówić, bo samo założenie planu zostało całkowicie zmienione.

Plan przewidywał otrzymanie kredytów zagranicznych w ciągu trzech lat na sumę około 1 miliarda dolarów<sup>1)</sup>. Z tego otrzymano niewiele więcej niż 100 milionów dol.<sup>2)</sup> W związku z tym, plan inwestycyjny nie został wykonany, nawet poprzez łamanie głównej zasady planu, przez obniżanie konsumpcji dla utrzymania zamierzeń inwestycyjnych.

W dziedzinie handlu zagranicznego stworzono teorię sprecyzowaną przez Hilarego Minca w następujących słowach «*Tak więc zadaniem planowania handlu zagranicznego krajów demokracji ludowej z krajami kapitalistycznymi nie jest dążenie do jak najszerzego rozwoju tych stosunków, niezależnie od ich treści i rezultatów, lecz stworzenie stosunków, które sprzyjałyby umocnieniu pozycji danego kraju, jako państwa socjalistycznego*»<sup>3)</sup>. Handel zagraniczny nie przyniósł rezultatów jakich się spodziewano. Mało tego, handel zagraniczny dał w sumie pozycję ujemną w polskim bilansie płatniczym, jeśli wliczy się w niego «*węgiel reparacyjny*», wysłany przez Polskę do Rosji w ilości 7 milionów ton rocznie, kredyty towarowe udzielane przez Polskę innym krajom bloku, głównie Bułgarii i Niemcom Wschodnim, nie mówiąc już o warunkach wymiennych z Rosją, które są nie znane, ale dają poważne powody do obaw, że są dla Polski niekorzystne.

1) Plan Odbudowy Gospodarczej, Liczby Podstawowe, Warszawa, 1947.

2) Pożyczka z Export-Import Bank \$ 40 mln.; pożyczka w demobilu, głównie amerykańskim, \$ 50 mln.; oraz sowiecka pożyczka w złocie, \$ 28 mln.

3) Trybuna Ludu, Nr 322, Warszawa, 23. XI. 1949. Podkreślenie autora.

Plan w zakresie podniesienia stopy życiowej nie został wykonany w żadnym dziale. W budownictwie mieszkaniowym, w ciągu trzech lat planu, odbudowano, częściowo zniszczonych, i zbudowano w miastach polskich według urzędowych danych, ogółem 237 tysięcy izb o kubaturze 24 tysięcy metrów sześciennych. W roku 1946 istniało na terenie Polski 4,4 milionów izb mieszkalnych<sup>1)</sup>. Przyjmując ubytek roczny izb w miastach w związku z rozbiórką, pożarami i normalnym ubytkiem związanym z wiekiem budynków tylko na 0,5 procent (normalnie przyjmuje się od 1 - 2 procent rocznie), otrzymamy roczny ubytek 22 tysięcy izb, a w ciągu lat trzech około 66 tysięcy izb. Przyrost czysty izb w miastach był więc 171 tysięcy izb. Ciekawe jest porównanie rocznego przyrostu izb w Polsce przedwrześniowej. W 1937 było w budowie w miastach polskich 109 tysięcy izb mieszkalnych<sup>2)</sup>. Przyjmując również 0,5 procent na amortyzację, otrzymamy 21 tysięcy izb rocznie, czyli przyrost wynosił 87 tysięcy w jednym roku, a przy takiej samej tendencji rozwojowej<sup>3)</sup> 261 tysięcy izb w ciągu trzechlecia. Jest to 52 procent więcej niż zostało zrobione w planie 3-letnim. Porównanie to jest tym bardziej uderzające, ponieważ sytuacja budowlana w Polsce przedwrześniowej była daleka od zadawalniającej, a przede wszystkim Polska nie miała tak olbrzymich potrzeb mieszkaniowych, związanych ze zniszczeniami wojennymi. Propaganda komunistyczna wmawia obywatelowi w Polsce niesłychane osiągnięcia na polu budownictwa mieszkaniowego. Zwykle porównanie cyfr wystarczy aby wykazać kłamstwo. Odbudowano w planie trzyletnim to co było łatwe do odbudowania i zrobiono to w wielkiej mierze z funduszy prywatnych. Władze budowały gmachy administracyjne dla coraz to nowych urzędów państwowych. Odbudowano też koniecznie potrzebne do produkcji budynki przemysłowe. Warunki mieszkaniowe robotnika uległy zmianie na lepsze tylko w takim zakresie, w jakim pogorszyły się warunki mieszkaniowe innych mieszkańców miast.

Wykonanie planu trzyletniego jest szczególnie charakterystyczne w dziedzinie spożycia artykułów żywnościowych i przemysłowych na głowę ludności. Jest to dziedzina, która pokazuje wyraźnie, że produkcję dóbr inwestycyjnych uzyskano kosztem poziomu życia mas pracujących. Dane na ten temat są w prasie polskiej prawie nieznanne. Jeśli już trzeba coś powiedzieć na ten temat, to porównuje się spożycie obecne z przedwojennym. Takie porównanie jest oczywiście chwytem propagandowym. Spożycie przedwojenne obejmuje takie tereny, jak Wileńszczyznę, Nowogródzczyznę, Polesie, Pokucie, gdzie konsumpcja na

1) Physical Plannig and Housing in Poland in 1948, Warszawa 1948.

2) Mały Rocznik Statystyczny, 1939, strona 62.

3) O istnieniu takiej tendencji świadczy cyfra 129 tysięcy izb w budowie w 1936.



głową była szczególnie niska. Nie jest pociechą dla hutnika śląskiego, że je więcej i ubiera się lepiej niż Poleszok. Porównań z poziomem spożycia planowanym w planie trzyletnim, nie ma. Spróbujmy zrobić je choćby dla kilku artykułów.

ARTYKUŁ	Spożycie na głowę w 1949 wyznaczone w Planie trzyletnim	Spożycie na głowę ludności uzyskane w 1949	% wykonania planu
Mięso, ryby, jaja	42 kg	32,0 kg	76%
Masło	4,7 kg <sup>1)</sup>	3,0 kg	64%
Mleko	154 l.	139 l.	90%
Cukier	18 kg	18,9 kg	105%
Tkaniny:			
wełniane	2,0 m.	1,5 m.	} <sup>2)</sup> 75%
bawełniane	12,8 m.	10,7 m.	
Skóra twarda	0,6 kg	0,5 kg	83%

#### UWAGI:

1) spożycie przedwojenne. Plan podaje spożycie globalne 10 kg tłuszczu na głowę. Spożycie masła 3,0 kg; margaryny 0,7 kg; spożycie tłuszczów zwierzęcych nie jest nam znane.

2) spożycie obliczono proporcjonalnie do wykonania planu produkcji. W związku z eksportem liczby te mogą ulec zmniejszeniu.

#### ŹRÓDŁA:

Ustawa o planie 3-letnim. Art. 55.

Trybuna Ludu Nr 313, 1949.

Wiadomości Statystyczne Nr 3, 1950.

Cyfry wzięte są z publikacji krajowych. O ile są prawdziwe? Trudno określić. Jest jednak rzeczą prawie pewną, że spożycie w Polsce jest o wiele niższe od cyfr postawionych w planie 3-letnim.

W dziedzinie produkcji towarowej osiągnięto w Polsce w okresie trzyletnim wyniki zadawalniające. W rolnictwie, produkcja roślinna osiągnęła na ogół szczęśliwie w 1948 roku poziom planowany. Jednym z zasadniczych powodów tego sukcesu jest fakt dostarczenia rolnictwu 249 tysięcy ton czystego składnika nawozów sztucznych. Plan przewidywał dostarczenie 250 tysięcy ton, a więc, został prawie wykonany. Innym czynnikiem wpływającym korzystnie na osiągnięcie produkcji rolnej, przewidzianej w Planie, były warunki klimatyczne. Rok 1948 był rokiem szczególnie dobrych warunków atmosferycznych. Zbiory oczywiście przekroczyły przewidywania o około 15 procent<sup>1)</sup>. Produkcja rolna w 1950 roku, mimo zwiększenia powierzchni upraw i zaopatrzenia w nawozy, nie przekroczyła wyników roku ubiegłego. W hodowli zwierzęcej, pogłowie świń dosięgnęło zaledwie 70 procent poziomu przewidywanego<sup>2)</sup>, pogłowie innych zwierząt hodowlanych zbliżyło

1) Oświadczenie Hilarego Minca w Nr 4, *Nowych Dróg*, 1950, str. 8.

2) Planowano 9 milionów, osiągnięto 6 milionów trzody chlewnej na terenie kraju.

się do cyfr planu. W zakresie rolnictwa, plan produkcji okazał się realny.

Osiągnięcie tych wyników było możliwe dzięki temu, że do drugiej połowy 1949 roku rząd warszawski nie próbował wprowadzać w rolnictwie kolektywów rolnych i nie niszczył gospodarzo silniejszych chłopskich gospodarstw rolnych. Akcja ta zaczęła się w drugiej połowie roku 1949 i trwa z wzrastającą siłą. Istotnym jednak powodem sukcesów gospodarczych rolnictwa w Polsce jest upoczywa i wytrwała praca chłop polskiego. Plan 3-letni obiecał ułatwić mu tę pracę poprzez budowę zagród, dostarczenie odzieży, obuwia, ułatwienie komunikacji, zwiększenie opieki zdrowotnej. Wszystkich tych pomocy chłop polski nie otrzymał. Raz jeszcze, wraz z całym narodem, został cynicznie oszukany. Mimo tego, nie zmniejszył wysiłków w pracy i osiągnął piękne rezultaty.

Jest rzeczą uderzającą, że mimo osiągnięcia przewidywanej produkcji rolnej, spożycie żywności na głowę ludności nie osiągnęło planowanego poziomu. Powodem tego jest oczywiście eksport żywności zagranicę, dla zdobycia walut zagranicznych na zakup dóbr inwestycyjnych, lub po prostu dla celów umocnienia komunizmu, jak na przykład w wypadku «cichego» eksportu produkcji roślinnej i zwierzęcej do Niemiec Wschodnich w końcu 1948 roku i w 1949 r.

W przemyśle odbudowano ten potencjał produkcyjny, który był możliwy do odbudowania. Z nielicznymi bardzo wyjątkami nie zbudowano żadnych nowych zakładów, nie zmodernizowano zakładów istniejących. W czasie trwania planu nie stosowano też z reguły właściwej amortyzacji sprzętu technicznego, który bardzo często przekroczył granice swego wieku użytkowego i przeżył nadmierną eksploatację w czasie ostatniej wojny. Mimo braku amortyzacji, sprzęt ten w dalszym ciągu użytkowany jest do granic wytrzymałości. Zakłady przemysłowe prowadzą swoją produkcję przy równoczesnym ciągłym naprawianiu tego sprzętu. Jest to powodem do narodzin jeszcze jednego «wysścigu pracy», zmierzającego do możliwie szybkiego przeprowadzenia remontu. Przykładów na tę sytuację można przytoczyć wiele, nawet z bieżącej prasy polskiej, która wypadki tragicznego załamania braków w sprzęcie technicznym nazywa wielkimi osiągnięciami przemysłowymi. Bieżącą produkcję zwiększano kosztem amortyzacji sprzętu, bez względu na to co się z tym sprzętem stanie w przyszłości. Przesunięto też coraz bardziej punkt ciężkości produkcji z dóbr konsumpcyjnych na dobra inwestycyjne. W rezultacie, produkcja niektórych z tych dóbr osiągnęła w 1949 poziom przewidywany, jak na przykład w stali 110%, w energii elektrycznej 102%, w węglu 96%, w cemencie 115%, w cegle 134% itp.<sup>1)</sup>. Natomiast w artyku-

1) Przytoczone procenty porównują ilości planowane produkcji, jak podano w ustawie o planie 3-letnim, z ilościami osiągniętymi, podanymi w numerze 3, *Wiadomości Statystycznych*, Warszawa 1950. Pro-



łach konsumpcyjnych nie osiągnięto przewidzianego poziomu. Produkcja przemysłu włókienniczego została daleko w tyle za planowanymi cyframi. Wynosiła ona w 1949 roku w przędzy bawełnianej tylko 84 procent ilości planowanej, w przędzy wełnianej 75 procent, wyrobów dzianych 70 procent. Nie należy też zapominać, że jest to produkcja, z której część przeznaczona jest na eksport. W roku 1949 produkcja tkanin bawełnianych, wełnianych, lnianych, jedwabnych i wyrobów dzianych wynosiła w sumie 120 tysięcy ton, podczas gdy eksport towarów włókienniczych sięgał cyfry 17 tysięcy ton<sup>1)</sup>, czyli około 15 procent całości konsumpcji. Konsumpcja wewnętrzna zmniejsza się więc w dalszym ciągu o ilość eksportowaną.

Nie można mówić o wykonaniu planu 3-letniego. W okresie 3-letnim plan przestał obowiązywać. Został przewrócony do góry nogami. Spożycie, które było głównym celem planu, zostało usunięte na ostatnie miejsce i jego kosztem utrzymano niezbędnie potrzebne inwestycje w górnictwie i przemyśle i przy ich pomocy jak również przy maksymalnym «wyciśnięciu» sprzętu technicznego, osiągnięto z trudem planowane ilości produkcji w niektórych artykułach przemysłowych.

Okres planu 3-letniego był dostatecznie długi dla oceny gospodarczej działalności rządu komunistycznego. Według wszelkich standardów gospodarczych, egzamin ten wypadł ujemnie. Rząd warszawski nie działał nie, aby ułatwić wysiłki społeczeństwa w dziele odbudowy kraju. W stosunkach z zagranicą uzyskał kredyty minimalne. Reklamowana pomoc Rosji Sowieckiej była w rzeczywistości wyzyskiem gospodarczym Polski. W dziedzinie reparacji wojennych, komuniści polscy nie uzyskali nawet prawa reprezentowania Polski. Interesy polskie były wspaniałomyślnie prowadzone przez Zw. Sowiecki. Polska jest jedynym krajem spośród aliantów, który nie zasiadał w alianckiej komisji reparacyjnej. Z ogólnej kwoty reparacyjnej sowieckiej, Polska miała otrzymać 15%. Polska otrzymała w ciągu 1946 i 1947 pewną ilość sprzętu technicznego i dóbr konsumpcyjnych z Niemiec. Zestawienie tych reparacji nigdy nie zostało ogłoszone. W porównaniu z reparacjami, które Polsce się należały, są one śmiesznie małe. W literaturze polskiej znajdujemy tylko jedną wzmiankę na ten temat<sup>2)</sup>. Według niej Ministerstwo Przemysłu i Handlu, a więc wspomniany już wyżej ob. Eugeniusz Szyr, obliczyło całość reparacji, bo skończyły się one w 1948 r., na sumę 50 milionów dol. Polska do dziś dnia płaci Rosji prawem kaduka 7 miln. ton węgla rocznie. Stanowi to wartość ok. 100 miln. dol. rocznie. Reklamowana pomoc Rosji w formie 200 tys. ton zboża w 1947, była niczym innym

centy te różnią się od urzędowych procentów wykonania planu, co świadczy o zmienianiu pierwotnego planu w czasie jego trwania.

1) Wiadomości Statystyczne Nr 3, Warszawa 1950.

2) Biuletyn Instytutu Gospodarstwa Narodowego, Nr 7, Warszawa czerwiec 1948, str. 23.

jak pożyczką udzieloną na warunkach niezwykle ciężkich. Spłata musiała nastąpić w ciągu lat dwóch. Pozostaje jeszcze jedna «wielka» pomoc Rosji w formie pożyczki złota w 1947 r. w wysokości 28 milionów dol. Rząd warszawski nie uzyskał od Rosji nawet biernej pomocy w sensie uzyskania rynków rosyjskich dla wyrobów polskiego przemysłu lekkiego. Rynki te są otwarte tylko dla produkcji przemysłu włókienniczego, który przerabia rosyjską bawełnę po cenach nie wyrównujących najprawdopodobniej kosztów produkcji.

Od początków 1948 r. młóci się propagandowo, wielką pożyczkę inwestycyjną w wysokości 450 miln. dol. udzieloną Polsce przez Rosję. Pożyczka ta w ciągu 2 lat nie zaczęła jeszcze napływać, a już jest triumfalnie wymieniana jako wielka pomoc Rosji w planie 6-letnim. Rosja rozpoczęła wiązać wymianę towarową Polski, prowadząc stopniowo do monopolizacji handlu poszczególnych artykułów. Następują za tym określanie cen przez Rosję i ustalenie warunków wymiennych zgodnie z jej interesami.

Stosunki gospodarcze z innymi krajami są ograniczane w tempie katastrofalnym dla własnego przemysłu. Odbudowa i przebudowa Polski nie korzysta z dobrodziejstw międzynarodowego podziału pracy ani z faktu wzajemnego uzupełnienia się gospodarczego z resztą Europy. Wrogie ujadanie przeciw każdemu państwu, które wskazuje Rosja doprowadza do dalszego utrudnienia międzynarodowych stosunków gospodarczych.

Na terenie wewnętrznym, nie zaniechano niczego, aby utrudnić społeczeństwu pracę na każdym kroku. Drobnny przemysł, tak zasadniczo potrzebny dla rozwoju gospodarczego każdego kraju, a szczególnie w kraju mało zasobnym w kapitały jak Polska, jest otwarcie niszczone. Wyprostowanie aparatu dystrybucyjnego przeprowadza się w ten sposób, że niszczy się detaliczny handel prywatny, a nie daje się wzamian sprawnego aparatu rozdzielczego państwowego lub spółdzielczego. To samo dzieje się w całej dziedzinie usług. W dziedzinie rolnictwa, poza dostarczeniem planowanej ilości nawozów sztucznych, nie widać żadnych pociągnięć gospodarczych, które by ułatwiały produkcję rolną.

Reforma rolna, tak potrzebna w Polsce, dokonana została z punktu widzenia politycznego, a nie gospodarczego. Oto jej rezultat:

Szacunek liczby gospodarstw wiejskich  
wg. powierzchni użytków rolnych

	Ogółem	od			50 i wyżej	Niewia- doma
		1-5 ha	5 - 10	10 - 50		
1931 w tys.	3196	1883,2	728,7	309,1	14,7	260,3
1931 w %	100%	64,2%	24,8%	10,5%	0,5%	—
1947 w tys.	3143	1823,4	836,7	464,0	19,0	—
1947 w %	100%	58,0%	26,6%	14,8%	0,6%	—



## ŹRÓDŁA:

Mały Rocznik Statystyczny 1939, str. 68.

Rocznik Statystyczny, 1948, Warszawa 1949, str. 38.

Struktura gospodarstw wiejskich pod względem wielkości uległa pewnej poprawie. Jest to jednak tylko w niewielkiej mierze zasługą reformy rolnej. Na zmianę struktury wpłynęła przede wszystkim zmiana terytorialna. Przesunięcie granic Polski na zachód. Procent gospodarstw karłowatych od 1 - 5 ha jest zdecydowanie mniejszy na zachodnich ziemiach Polski. Wynosił on w Poznańskim 34,8%, na Pomorzu 30,6%. Na Ziemiach Odzyskanych stosunki te były podobne.

Co w istocie kryło się za reformą rolną wprowadzoną w Polsce w 1945 r.? Czy stworzenie gospodarstw rolnych o wielkości optymalnej dla osiągnięcia najwyższej produkcji rolnej i dla produktywnego zatrudnienia siły roboczej na wsi? Nie. Celem było po prostu przygotowanie przyszłej kolektywizacji. Powierzchnia ziemi nadzielonej wynosiła przeciętnie dla służby folwarcznej 5,5 hektarów, bezrolnych 3,7 hektarów, gospodarstwa posiadające od 2 - 5 ha otrzymały przeciętny dodatek 1,5 ha, a nieco większe po 1,9 ha. Oto cały sukces w cyfrach. Tylko zwiększenie już istniejących gospodarstw przyniosło korzyści produkcyjne. Służbie folwarcznej i bezrolnym przydzielono ziemię, ale nie dano pomocy kredytowej na zagospodarowanie, na postawienie budynków, zakup inwentarza żywego i martwego. Po dwóch latach zmagają z przeciwnościami «obdarzeni» albo rezygnują z dalszych wysiłków albo proszą o zorganizowanie spółdzielni produkcyjnej, bo wraz z nią mają możliwość otrzymania pomocy finansowej. Spośród nowo powstających kolektywów rolnych, przeważająca część powstaje na gruntach świeżo przydzielonych i to na Ziemiach Odzyskanych. Jak dotychczas procent kolektywów rolnych na ziemiach centralnych jest nieznaczny. Oto dowód: «... ogromna większość spółdzielni produkcyjnych zorganizowana została na Ziemiach Odzyskanych i na ziemiach parcelacyjnych, że zasadnicza masa naszych spółdzielców, to osadnicy i byli farmerzy»<sup>1)</sup>.

Zaopatrzenie wsi w towary przemysłowe i narzędzia rolnicze jest bardzo złe. Kredyty na budowę zagród, kupno inwentarza żywego itp. były minimalne. Budowa dróg w powiatach, melioracje rolne mniejsze niż przeciętnie przed wojną. Budowa przetwórczego przemysłu rolnego i magazynów na płody rolne prawie żadna.

W budownictwie reklamuje się rozbudowę wielkich firm budowlanych, które wprowadzać będą przemysłowe metody budowania. Leży przed nimi niewątpliwie wielka przyszłość. Tymczasem w dobie największych potrzeb rozbito drobne prywat-

1) Przemówienie Zambrowskiego; Nowe Drogi Nr 4, 1950, str. 144.

ne firmy budowlane. Nawet drobne remonty wykonują dziesiąt firm spółdzielcze lub państwowe. Jak takie naprawy wyglądają wiemy z relacji naszych rodzin jeśli miały to nieszczęście, że popsuł się w ich domostwach komin, lub dach zaczął przeciekać.

Doprawdy, jeśli oddzieli się od działalności władz gospodarczych w Polsce, codzienną administrację wykonywaną tak samo lub lepiej w innych krajach europejskich i zechce się doszukiwać posunięć, które przyniosły krajowi sukcesy gospodarcze, to posunięć takich nie znajdzie się. Zarysowały się one w 1947 r., lecz zanim mogły dojrzeć zostały zdławione. Być może jedynym sukcesem, który wytrzymał próbę czasu, był upór «zdrajcy» Gomółki, ówczesnego ministra Ziemi Odzyskanych, w stwarzaniu na tym obszarze możliwości bytu dla osiedleńców polskich. Właśnie Ziemia Odzyskana, ich potencjał gospodarczy, o którym się nie mówi stwarzają tak korzystne porównania z terytorium przedwojennym. Zmiana terenu stwarza iluzję nadzwyczajnego rozwoju. Iluzję tę podtrzymuje się wszelkimi sposobami.

Odbudowa Polski po 1945 r. jest triumfem i zasługą polskiego społeczeństwa. Wbrew wszelkim przeszkodom i szykanom gospodarczym, społeczeństwo to nie zawiodło. Widzieliśmy z bliska jak rozpoczynała się odbudowa.

Jeśli istniał warsztat pracy możliwy do odbudowania, to natychmiast zjawiali się tam ludzie. Istnienie warsztatu, to warunek istnienia dla ludzi, którzy w nim pracowali. To oni pilnowali maszyn i gruzów przed rozkradaniem. Oni stawiali prowizoryczny dach i rozpoczynali produkcję. To ich zasługą jest odbudowa fabryki, a nie dygnitarzy partyjnych, którzy nie tylko nie kierowali odbudową przemysłu, ale w początkach nie wiedzieli najczęściej czym dowodzą. Odbudowa Polski to spon-taniczna, ofiarna praca wszystkich obywateli. To praca chłopów na przyczółku sandomierskim, którzy prawie pazurami darli glebę, aby zasiać choć parę garści zboża. To ich bytowanie, w norach ziemnych, to rozpacz matek nie mających butów, ni odzieży dla wygłodniałych dzieci. To męka warszawiaków, wracających zimą 45 r. piechotą spod Krakowa do ruin ich miasta — Warszawy! To nędza i praca wszystkich obywateli, którzy wierzyli, że wreszcie lepszy los uśmiechnie się Polsce. To oni są bohaterami odbudowy.

(Dokończenie nastąpi)

Konstanty BRZÓSKA.



## Apokalipsa i perspektywa

### 1.

Zyjemy dziś w powodzi przepowiedni. Gazeta codzienna, tygodnik, kalendarz, wróżka, stróż i znajomy — zewsząd możemy czerpać informacje czy będzie czy nie będzie wojny, czy zginiemy w wybuchu bomby atomowej, czy Europa będzie zajęta przez Czerwoną Armię. Tę atmosferę wróżb oddaje T. S. Eliot w jednym ze swoich Kwartetów:\*)

...«uwalnianie wróżb

Za pomocą czaru, lub liści herbaty, siadanie tego co się stać musi  
Kartami do gry, i granie z pentagramem

Lub z kwasami, albo dysekcja

Powtarzającego się obrazu w przed-świadome obawy —

Badanie tona, lub grobu, lub snów; to wszystko zwykłe

Rozrywki lub narkotyki i cechy prasy codziennej;

I zawsze będą zwykłe, zwłaszcza niektóre z nich

Gdy jest rozterka narodów i niepokój,

Obojętnie czy na wybrzeżach Azji czy na Edgware Road.»

Przepowiednie zrodzone w dzisiejszej "rozterce narodów" dotyczą przeważnie stosunkowo bliskiej przyszłości. Europa przeczeka zbliżający się koniec. Cassandra ostrzega przed kataklizmem. Na tym zresztą — jak słusznie mówił Paweł Hostowicz w swym pięknym "Essayu dla Kassandry" — polega tragiczna rola proroka w "republice".

Istnieje jednak również inny rodzaj przepowiedni, który nazwę wizją przyszłości. Prorok czuje, że stoi u krańca cywilizacji, że zbliża się koniec jego "świata". Widzi śmiertelnych jeźdźców i słyszy trzask rozrywanych pieczęci. Lub — jak wirgiliuszowska Sybilla — przepowiada założenie Rzymu przez ostatniego uchodźcę z Troi.

### 2.

Wizja przyszłości jest bądź ostateczna, zdecydowana, determi-

nistyczna (obojętne czy będzie to utopia czy apokalipsa), bądź też ma charakter cykliczny, zgodny z poglądem, że historia nie ma początku ani końca.

Młode pokolenie Europejczyków karmione było i jest wizjami, które należą do pierwszej kategorii. Mając dwanaście czy trzynaście lat płakałem nad niemiecką powieścią (nie pamiętam tytułu ani nazwiska autora), przedstawiającą świat w roku 2000 jako potworne mrowisko, w którym ludzie — niewolnicy o numerach zamiast imion i nazwisk wykonują mechanicznie zlecone im prace. "Nowy Wspaniały Świat" Huxleya, "Dwa Końce Świata" Slonimskiego, "New Crete" Gravesa, "1984" Orwella — wymieniam przypadkowo powieści dobre i słabe, poważne i żartobliwe, wszystkie zawierające potworną wizję świata statystycznego, uregulowanego mechanicznie, w którym nie ma nadziei na zmianę, ani miejsca na człowieka. Pesymistyczne jasnowidztwo nie jest wyłącznie dziedziną powieściopisarzy. Ekonomista James Burnham najbardziej może logicznie przepowiada przyszłość w formie świata rządzonego przez "managerów".

Te wizje świata wchodzą poza koniec naszej cywilizacji: zapowiadają koniec ludzkości. Są one abstrakcją sowiecko-hitlerowsko-naukową współczesnego świata. Ich elementy są nam znane. Istniały one, czy istnieją w Niemczech hitlerowskich, w komunistycznej Rosji, w zmechanizowanej Ameryce, lub w laboratoriach uczonych. Specjalizacja, aglomeracja wielkiego przemysłu, nowoczesne metody propagandy, prasa, film, "społeczna inżynieria", potworne postępy techniki, można by wylizować bez końca te elementy, które zdaniem współczesnych proroków zapowiadają utopię czy apokalipsę, zależnie od tego czy — jak Wells — patrzą na przyszłość z suchym i głupim optymizmem techników, czy — jak Huxley — oczekują zabicia wolności i poezji przez mechanizację.

Tym światem przyszłości ma rządzić w sposób bezwzględny jakaś tajemnicza rada mędrców-techników, rodzaj kombinacji managera z uczonym, lub sataniczna kamaryla, której jedynym motywem jest głód władzy. Społeczeństwo abstrakcyjne, zbliżone do platońskiej Republiki, społeczeństwo, którego potworna doskonałość gwarantuje zarazem wieczne trwanie.

Każdy wiek wydaje takich proroków, na jakich zasługuje. Wszystkie te książki są koszmarnymi snami chorego współczesnego człowieka, podobnie jak "Złoty Wiek" Swinburne'a czy Morrisa był sennym marzeniem ludzi, którzy żyli w okresie postępu i wolności.

Zresztą dwa najbardziej dynamiczne światopoglądy, które ścierają się z sobą w dzisiejszym świecie — katolicyzm i komunizm — zawierają w sobie również deterministyczną wizję "końca historii", jeśli nie końca świata. Materializm historyczny, który podaje się za filozofię historii, jest co najwyżej komentarzem do urywka dziejów ludzkości. Ustrój rodzinny, szczyt, feodalizm, kapitalizm, rewolucja, dyktatura proletaria-

\*) "Dry Salvages"



tu — dotąd wszystko w porządku, jeśli kto chce. Ale utopia, złoty wiek, to zakończenie z bajki dla dzieci, gdzie społeczeństwo bezklasowe “żyje wiecznie szczęśliwe” — to już nie jest historia. Historia ma początek w świadomości ludzkiego gatunku, ale nie ma końca. Jest jak potok, który wiecznie płynie, szlifuje leżący na dnie żwir — nasze życie.

Z katolicyzmem sprawa przedstawia się w sposób bardziej złożony. Poszanowanie jednostki i uznanie wolnej woli sprawia że determinizm historyczny katolicyzmu przejawia się na poziomie na pół metafizycznym i trudno jest zdecydować ile ma z historią wspólnego. Tym niemniej każdy katolik musi wierzyć, że kiedyś, przed “końcem świata” będzie jeden pasterz i jedna owczarnia.

Nawiasem mówiąc, tkwi w tym dziwny paradoks. Zarówno Watykan jak Moskwa mają pewność ostatecznego zwycięstwa. Jakkolwiek się potoczą wypadki, niezależnie od polityki Stalina czy akcji papieża, pierwszy z nich wie, że musi nastać doczesna utopia, drugi zaś, że w ostatnim rozdziale Pankracy zawała “Galilee vicisti”! Pomimo to, najbardziej uniwersalnie aktywne ośrodki — to właśnie Watykan i Kreml.

To deterministyczne stanowisko, to oczekiwanie doczesnego, lub pół-mistycznego milenium, tkwi dziś głęboko w podświadomości każdego Europejczyka. Europejczyk czuje, że siły nad którymi nie posiada kontroli pchają naszą cywilizację w przepaść. W przepaść, z której nie ma powrotu, w utopię, lub w apokalipsę.

Trudno zresztą osądzić o ile owe apokaliptyczne wizje są traktowane dosłownie przez samych proroków. Dzisiejszy pisarz polityczny, powieściopisarz czy poeta operuje zapewne swoistymi metaforami, w których energia atomowa, rada mędrców, sztuczne zapłodnienie, odpowiada skrzydlatym lwom i stojącym słońcom z prorocत्व Daniela czy Ezechiela. W każdym razie liberał i humanista nie może bez zastrzeżeń poddać się sugestii tych wizji w których abstrakcja naukowa, ekonomiczna, czy metafizyczna wyklucza wiarę w człowieka, w jego instynktowne, wiecznie odradzające się przywiązanie do wolności. Wolny wybór i czyn, wybór pomiędzy jednym czynem i drugim — oto postawa liberała, która trzyma go wewnątrz ram własnej cywilizacji i stanowi zarazem jej obronę. I dlatego dla liberała otwarte jest tylko jedno okno na przyszłość — okno historii.

## 3.

Historia nie zna utopii, ani apokalipsy. Zasada historii jest ciągłość. Cykliczna ciągłość ruchu koła, czy stała, płynna ciągłość wód strumienia o prądzie raz wartkim, raz leniwym — to już kwestia interpretacji historii. Historia nie jest abstrakcyjną nauką, z której można wyciągnąć nieomyłne reguły. Myślę, że nie ma dziedziny bardziej konkretnej, o materiale w równym

stopniu “jedynym”, podobnie jak jedynym i niepowtarzalnym jest ludzkie życie.

Może jednak warto zwrócić uwagę na stosunek historyków do upadku przeszłych cywilizacji, aby z pewnej perspektywy móc spojrzeć na możliwy upadek naszej własnej.

Jako motto tych rozważań na marginesie lektury wezmę czwartą Eklógę Wirgiliusza:

*«Już nadszedł ostatni wiek Kumejskiej przepowiedni;  
Narodził się ponownie wielki porządek stuleci.  
Już powraca dziewica, powraca Złoty Wiek;  
Otoż i nowa rasa zesłana z wysokich niebios...  
Będzie znów nowy Tyfis i znów wypłynie tódż Argo  
Z wybranymi bohaterami; powtórzą się stare wojny  
I znów pod Troję wystany będzie wielki Achilles.»*

Dziwnie wzruszającą ma dla mnie wymowę ta zapowiedź sprzed 2000 lat, że “wypełniły się czasy”, że nowi Argonauci ponownie wyruszą na wiekopomną wędrówkę, zaś “wielki Achilles” znajdzie się kiedyś znowu pod murami Troi.

Dla historyków klasycznych problem przemijania był zrozumiałym i naturalnym (choć nie rozważali oni oczywiście zagadnienia przemijania cywilizacji). Tocydydes i Tacyt — to tragiczna i pesymistyczna interpretacja historii. Biegiem historii rządzi w ich pojęciu ślepy bożek — klasyczna Fortuna. Każdy człowiek i każde państwo ma swoją godzinę. Geniusz i cnota mogą zrealizować wszystkie możliwości tej szczęśliwej chwili, ale żadna siła ludzka nie byłaby w stanie przetrzymać jej i zatrzymać koła Fortuny. Jest w tym ujęciu głęboki pesymizm, ale również i element stoicznej rezygnacji. Smutek wynikający z pewności, że Ateny nie mogą trwać wiecznie, zrównoważony jest może świadomością, że kiedyś musi runąć również i perska tyrania.

Powtórzy kiedyś tę myśl w krótkim epigramie Wolter w rozważaniach nad upadkiem cesarstwa rzymskiego: “Cet empire est tombé parce qu'il existait. Il faut bien que tout tombe”.

W dzisiejszej chwili właśnie upadek Rzymu ma dla nas specjalną wymowę. Pamiętam jak przed dziesięcioma laty w szkockim wiejskim domu pierwszy raz zagłębiłem się w “History of the Decline and Fall of the Roman Empire” Gibbona, jak zwolna zaczął na mnie działać urok długich, kwiecistych zdań którymi ten dworzanin Augusta urodzony w XVIII wieku buduje swój lament nad upadkiem cesarstwa. Koniec XVIII wieku był istotnie pod wieloma względami repliką złotego wieku Augusta. Septycyzm, epikureizm, kultura literacka, elegancja życia i pewność istnienia, zasadniczy brak wątpliwości w celowość egzystencji swojej i świata łączy tych ludzi dwóch epok, które we wszystko inne wątpiły. I dlatego Gibbon pisze swoją historię, jak gdyby od wewnątrz, patrzy na wypadki oczami Horacego bardziej może niż Wirgiliusza. To co dla tyłu chrze-



ścijan jest cudem, zwycięstwo słabości nad siłą, ducha nad materią, jest dla Gibbona zwykłym rozwojem ludzkich spraw, w którym łatwowierność i entuzjazm tłumów w połączeniu z okolicznościami ekonomicznymi i wojskowymi epoki rujnuje wielką i podziwu godną cywilizację. Gibbon uważa Kościół i barbarzyńców za raka toczącego klasyczną cywilizację, osłabioną przez wojny Hannibala. I stąd "Historia schyłku i upadku cesarstwa rzymskiego", mimo że Gibbon doprowadzi ją aż do wzięcia Konstantynopola przez Turków, jest właściwie historią rozkładu wyłącznie, nie budowy. Dla Gibbona historia chrześcijańskiego cesarstwa i naszej cywilizacji, która z nim razem powstała jest historią cienia i iluzji. Cienia strzaskanej klasycznej kolumny. Gibbon załamuje ręce nad końcem jednej cywilizacji — nie chce uznać powstania następnej, która jego samego wydała.

Inny charakter od dzieła Gibbona ma "A Study of History" profesora Toynbee. Pierwsze z nich jest "historią", drugie właściwie "filozofią historii". Cały ciężar erudycji, cała sumienność badacza, cała intuicja genialnego historyka złożyły się na tę przekonywującą analizę powstania, wzrostu i upadku wszystkich przeszłych cywilizacji. We wszystkich działały te same elementy, wszędzie Toynbee potrafił ukazać podobny wzór. Ale Toynbee jest wierzącym chrześcijaninem i dlatego sądzi, że dwadzieścia cywilizacji przeminęło, ale nasza nie musi przeminąć. Historia pisana z wiarą, która zawiera w sobie już napisany ostatni rozdział dziejów ludzkości nie jest (podobnie jak historyczny materializm) historią.

## 4.

Pisząc powyżej o wizjach przyszłości porównałem ten ich gatunek, który w moim przekonaniu jest zgodny z myśleniem historycznym do wizji wirgiliuszowskiej Sybilli, przepowiadającej założenie Rzymu przez Eneasza.

Chciałbym dalej wyjaśnić cel tego krótkiego essayu, nawiązując do odczytu wypowiedzianego przez Gide'a w Oksfordzie w 1947 roku. Gide cytuje tam ustęp z Enejdy, w którym Wirgiliusz opisuje ucieczkę Eneasza z płonącej Troi ze swym sędziwym ojcem Anchizem na barkach. Zdaniem Gide'a, ustęp ten posiada głębokie symboliczne znaczenie: "Eneasze niósł na swych ramionach nie tylko swego ojca, ale również cały ciężar przeszłości i tradycji. W ten sam sposób, mówi Gide, uciekamy obecnie z płonącego grodu naszej cywilizacji, z ciężarem naszej chrześcijańskiej przeszłości na barkach, chrześcijańskiej cywilizacji opartej na poszanowaniu jednostki.

I dlatego może, między innymi, Enejda jest największym "klasycznym" poematem: z powodu tego powiązania Troi i Rzymu, Homera i Wirgiliusza, który przeciw z kolei będzie przewodnikiem Dantego po zaświatach.

Wierzę głęboko, że każdy człowiek jest wytworem cywilizacji

w której się urodził i że cywilizacja ta jest zamkniętym światem: nie możemy jej opuścić, nie możemy właściwie sądzić innych cywilizacji, gdyż nawet przypuszczając, że można opanować historię, literaturę, pojęcia cywilizacji odmiennej od naszej, zawsze nam będzie brak reakcji emocjonalnych, podświadomych, które wytworzyć mogą tylko pokolenia. Chociażby dlatego, obrona naszej cywilizacji w jej aspektach najbardziej zasadniczych nie jest wyłącznie zagadnieniem moralnego wyboru, ale również jedynym stanowiskiem, które możemy zająć angażując pełnię naszego istnienia.

I dlatego rozważania czy po upadku naszej cywilizacji nastąpi wieczna noc, czy też powstanie nowa cywilizacja w której dążenie człowieka do wolności znajdzie znów wyraz, aczkolwiek różny, posiada znaczenie czysto teoretyczne.

A jednak, chociaż bolesna wydaje się nam myśl, że nasza cywilizacja może nie być wieczna, i że na jej miejsce przyjdzie może nowa, poczęta nie nad Morzem Śródziemnym, lecz nad Missisipi czy na stokach Uralu, obraz Eneasza, który z płonącej Troi wynosił starego ojca bardziej jest zgodny z wiarą w wartość i wagę człowieka niż obraz bramy z napisem: "Lasciate ogni speranza...".

K. A. JELEŃSKI.

Przy FUNDACJI RZYMSKIEJ imienia margrabiny  
J. UMIASTOWSKIEJ zapoczątkowano organizowanie

## MUZEUM DOKUMENTÓW TWÓRCZOŚCI I PRACY POLAKÓW W ITALII

Gromadzone są książki, czasopisma, rękopisy, notatki biograficzne, dyskoteka, portrety, fotografie, rysunki, obrazy oraz wszelkie inne materiały, dotyczące działalności i życia Polaków we Włoszech, zarówno w latach ostatnich jak i w przeszłości.

Nadesłane dokumenty są katalogowane z wymienieniem nazwiska ofiarodawcy. Przewidziane są również zakupy i wynagrodzenia za ewentualne prace, wykonane na zamówienie Muzeum.

Wszyscy Polacy, zarówno zamieszkali we Włoszech jak i poza Włochami, a którzy posiadają jakiegokolwiek materiały, dotyczące Twórczości i Pracy Polaków w Italii, proszeni są o nadsyłanie informacji pod adresem **FONDAZIONE ROMANA** Marchesa Janina Umiaszowska, via G. B. Morgani 29. ROMA, Italia.



## Na marginesie literatury emigracyjnej 1945-50

Ci poloniści, którzy wbrew obawom Hostowca nie wymrą z głodu i z obrzydzenia, pierwszą z wymienionych w tytule dat zamianują niewątpliwie — przełomową w historii literatury ojczyznej. O drugiej na pewno nie wspomną.

W roku 1945 na emigracji skończyła się literatura czasu wojny, a w kraju — pięcioletnie milczenie. Literatura czasu wojny była pod niejednym względem przedłużeniem okresu przedwojennego. Pierwsze lata powojenne i w kraju i na emigracji stały pod znakiem literatury wojennej.

Poza ostatnim, zawstydzająco oczywistym stwierdzeniem trudno znaleźć jakiś wspólny mianownik dla tego, co się działo w naszej literaturze w ciągu ostatnich pięciu lat. Nie ulega wątpliwości, że w roku 1945 coś się skończyło, ale czy i co się zaczęło, odpowiedzieć dziś nie sposób. Można tylko zauważyć, że drogi literatury krajowej (w każdym razie — publikowanej) i emigracyjnej rozchodzą się coraz wyraźniej, przy czym krzyżowa droga pierwszej zbliża się znów, powoli lecz nieuchronnie, do stacji Milczenia, albo — do gorszego od milczenia "radzieckiego" bełkotu. Ograniczenie się tutaj do uwag o literaturze emigracyjnej znajduje uzasadnienie w tym rozejściu się dróg.

Literatura pierwszego pięciolecia politycznej, w odróżnieniu od — wojennej, emigracji, to literatura bez książek. Po chaotycznej ale obfitej produkcji lat 1940 — 1945 nastąpił ostry kryzys wydawniczy. Emigrant nie chce czy nie może kupować książek polskich i nie wiele pomagają reklamy "Pana Tadeusza" jako "historii kluczyczka do sypialni światowej damy". Pierwodruki dzieł autorów współczesnych zaczynają się ukazywać w przekładach (książka Wierzyńskiego o Szopenie, Mackiewicza o Dośtojewskim, wspomnienia sowieckie Herling-Grudzińskiego), a oryginały zółkną w rękopisach. Książki beletrystyczne wydaje się na zasadzie przedpiłaty (Krakowiecki, Giertych, T. Wittlin) — zabieg niezwykle chyba w branży wydawniczej, podobnie jak jest nim swego rodzaju "spółdzielnia poetów" pod nazwą "Oficyny Poetów i Malarzy".

Brak książek nadaje wyjątkowe znaczenie czasopismom, w

których jeszcze bezdomna literatura znajduje przytułek. Szczęście w nieszczęściu jest, że dwaj najbardziej rasowi redaktorzy przedwojenni żyją i działają za granicą. Można od biedy napisać studium o każdym okresie literackim bez znajomości ukazujących się wówczas czasopism, krytyk jednak piszący o literaturze naszej emigracji do nich przede wszystkim musi sięgnąć. Inaczej nie wiedziałby nawet o istnieniu takich autorów jak W. A. Zbyszewski, Janusz Kowalewski, W. Weintraub, J. Mackiewicz, A. Bobkowski czy smutnej a nieodżałowanej pamięci Z. Florczak. Nie istniałaby też dla niego powojenna twórczość Wańkowicza, Lechonia, Goetla, Zygmunta Nowakowskiego, Łobodowskiego. Można powiedzieć, że czasopisma kryją w sobie niejedną książkę. Nie lekceważmy rozproszonych w nich twórczości, skromności jej rozmiarów, to nieraz tylko złudzenie optyczne, bo przecież jeden numer "Wiadomości" równa się około 150 stronom "ósemki" drukowanej dużą czcionką, a spora powieść Koestlera nie zajęła nawet jednego zeszytu "Kultury". Większość "książek" wykrojonych w ten sposób z czasopism byłoby to bardzo luźne zbiory felietonów, większość, ale nie wszystkie. Ogłoszone w czasopismach wspomnienia Studnickiego, Goetla, Herling-Grudzińskiego, cykle Zbyszewskiego o Hiszpanii i "Uczmy się od Anglików", "Droga powrotna" Janusza Kowalewskiego, szkice historyczne Badeniego, opowiadania Tadeusza Nowakowskiego, "sowietologia" Wragi (by wziąć pierwsze z brzegu przykłady) — cechuje jednolitość tematu i tonu, która pozwala wymienione utwory nazwać co najmniej "potencjalnymi" książkami.

Nawet z tym zastrzeżeniem jednak nie można mówić o samym kryzysie wydawniczym, a nie widzieć nie mniej głębokiej depresji literackiej. Ma ona różne i złożone przyczyny. Jedną z głównych jest zresztą prosta, ta sama w obu kryzysach: w czasie wojny głównym wydawcą był rząd na wygnaniu, bez względu na to pod jaką występował firmą. Nawet wydawnictwa ten rząd zwalczające i przezeń zwalczane żyły z czytelników pobierających żołądki, pensje czy zasiłki. Rząd w ten sposób — i często w bardziej bezpośredni — był też mecenasem ludzi pióra, dawał im warunki umożliwiające pracę literacką. Gdy to się skończyło, iluż piszących za granicą może pracę literacką uważać za coś więcej niż szlachetne "hobby"? "Pieśniardz jest rzeczywiście najważniejszą na tym świecie rzeczą; wszelka zdrowa i wytrzymująca próbę życia moralność jednostki i społeczeństwa winna się opierać na tym fakcie" — powiada Shaw. Nie zapominajmy, że trójca wieszczów Wielkiej Emigracji było wyjątkowo dobrze sytuowana jak na uchodźców. Misja misją, ale do jej pełnienia trzeba mieć coś do jedzenia i czas na myślenie.

Warto by rozważyć, jak przymusowa dorywczość naszej roboty literackiej odbija się na jej stylu. Potrafił niedawno o ten temat Czapski wytykając jednemu z czołowych autorów emigracji fatalne a zabawne nieścisłości i pomyłki. Pedantyczny



redaktor "Wiadomości" zgromił swawolnego autora "Silva rerum" za lapsusy wynikłe z niesprawdzenia źródeł. "Sprawdzać, sprawdzać i jeszcze raz sprawdzać", ale... skąd na to wziąć czas? Nie tylko faktom dzieje się krzywda, nie lepiej jest z językiem, nawet u niektórych gwiazd pierwszej wielkości. Interesującym się tą sprawą służę swoją kolekcją wyświechtanych zwrotów, nieporadności składniowych, barbaryzmów i innych chwastów.

Brak czasu skłania piszących do szukania form mniej wymagających, nie zapiętych na ostatni guzik. Wszechwładnie panuje felieton, nawet na tematy filozoficzne, reportaże, wspomnienia. Wańkowicz ogłasza pół-prywatne listy, Zygmuni Nowakowski — "kartki z raptularza", Terlecki — "zapiski", Padora — "Puszkę", Lechoń i Solski — "notatnik", Hostowiec i Bobkowski — dzienniki podróży, a — si parva magnis comparare licet — piszący te słowa... kilka uwag, zamiast rozprawki jak się patrzy! Książek nie ma nie tylko dlatego, że się ich nie wydaje, ale że się ich nie pisze.

Na "tyranię felietonu" zżymał się w okresie międzywojennym Irzykowski, reportaże wydaje się rodzajem stworzonym dla pisarzy polskich, bardziej wrażliwych zwykle niż wnikliwych, wspominkarstwo natomiast uznaje się za cechę wybitnie emigrancką. Oprócz typowego dla emigrantów życia przeszłością, na zalew wspomnień wpłynęły jeszcze, o czym już była mowa, warunki pracy i — doniosłość przeżyć wojennych. Uchronić je od niepamięci i zakłamania było i jest niewątpliwie jednym z obowiązków literatury emigracyjnej. Ale nie jedynym.

Felieton, reportaże, wspomnienia, list, notatnik... Wszystko to są rodzaje z pogranicza literatury pięknej. Najlepiej napisany pamiętnik przeżyć z lat wojny nie zastąpi dobrej powieści wojennej. Czasem w noweli o Kołymie powiedzieć można więcej niż w książce o Kołymie. Koestler nie siedział w więzieniu sowieckim, ale mimo to jego powieść mówi o nim na pewno nie mniej niż tomy polskich wspomnień. Pamiętnik daje prawdę, ale — jednoznaczna, dwuwymiarowa, ułamkowa, prawdę zeznania, dzieło literackie — tylko fikcję (nie bez kozery Anglicy prozę beletrystyczną nazywają "fiction"), która jednak przez swą wieloznaczność, perspektywiczność i pełnię może się stać prawdą prawdziwszą, prawdą rozeznania. Najudatniejsze rzeczy napisane ostatnio na emigracji nie należą do literatury pięknej. Gdybyśmy mieli, jak to jest w modzie nie tylko w stosunku do sportowców, ale i intelektualistów — zrobić listę dziesięciu najlepszych piór omawianego pięciolecia, ilu przedstawicieli "fiction" by się na niej znalazło? Ze zrozumiałych względów nie chcę przesądzać sprawy (tu trzeba by dać wynaleziony przez Boya znak pisarski pod nazwą "perskie oko"), ale w każdym razie rezerwuję na tej liście miejsca dla Hostowca, Czapskiego, Stanisława Mackiewicza, W. A. Zbyszewskiego i Grubińskiego, którego dlatego wymieniam na końcu, że jest w tej piątce jedynym przedstawicielem "belles lettres", a i je-

go dwie ostatnie książki, choć są piękną literaturą, nie są "czystą" literaturą piękną. Jeśli by się na wzór przedwojennych "Roczników Literackich" wydało... "pięciorocznik" literatury emigracyjnej, to wiele tradycyjnych działów takiego wydawnictwa zionęłoby pustką. Poezja, powieść, dramat, krytyka literacka... dalibóg, więcej jest tych nagłówków niż dzieł do omówienia!

Zart na bok. Potrzeba robienia okresowego bilansu jest istotna i poważnie wysuwam pomysł wydawnictwa sumującego i porządkującego w rodzaju "Rocznika Literackiego". Nie powinno się ono zresztą ograniczać do literatury emigracyjnej, ale winno wybierać, przejrzysto grupować i niezależnie oceniać to, co w produkcji krajowej zasługuje na miano literatury polskiej. Wbrew emigreytanom (Karol Zbyszewski zechce mi wybaczyć, że mu świsnąłem ten kalambur) — będzie tego dosyć na wypełnienie wszystkich wymienionych wyżej działów. W części poświęconej emigracji przyszłoby się chyba wziąć rozbrat z tradycyjnym układem, a za to, na miejsce nagłówków bez dalszego ciągu, wprowadzić by trzeba dwa nowe rozdziały, kto wie, czy nie najistotniejsze dla oceny wychodźczego piśmiennictwa.

Pierwszy z nich można by zatytułować: "Jaki użytek robimy z wolności?". Odpowiedź nie byłaby niestety pochlebna: Wypełniamy pod tym względem program minimalny, i to — niejako automatyczny, samą siłą faktu, że nie krepuje nas żadna cenzura. Możemy pisać o tych sprawach, o których w kraju słówka nie wolno pisać, a o wszystkich innych — swobodnie. Mamy publicystykę, której kraj właściwie jest pozbawiony. Mamy w dorobku niejednego cenny przyczynek do historii międzywojennej, wojennej i najnowszej. I wreszcie, co jest nie mniej ważne, choć może nie rzuca się w oczy — zachowujemy, względnie tolerujemy bodaj w innych, pewien styl myślenia i pisania, którego kanonem jest prawo pisarza do wyrażania myśli własnych, choćby o wątpliwej na pozór wartości społecznej, prawo do sceptycyzmu, relatywizmu, estetyzmu, egocentryzmu i innych zgniłych "izmów", do szargania świętości, do stawiania na głowie i pokazywania języka, do buntów, dziwactw, wdzięku i kpin. Jest to styl wolności. Jest to styl europejski. Styl katolika — Chestertona, ateusza — Wellsa, komunisty (przed powrotem z Z.S.S.R.) — Gide'a, faszysty — Marinettiego, socjalisty — Shawa, liberała — Boya. Nie często występuje on tu u nas w najlepszym gatunku, ale jest, żyje, podtrzymuje tradycję, podczas gdy w kraju, nawet w obozie katolickiej opozycji literackiej jeden Kisiel, "heretyk na ambonie", z prawdziwym przejęciem broni tej ostatniej barykady "kulturalnego wstecznicstwa" dla jednych, a "wybujałego indywidualizmu", sprzecznego z duchem chrześcijaństwa, dla drugich.

Tyle o plusach. Przechodząc do minusów, pragnę zaryzykować twierdzenie, że właściwy i pełny użytek z wolności robi tylko pisarz mówiący rzeczy, które mu wprawdzie mówić wolno, ale



za które nikt go nie pogładzi po głowie, za które można nawet czasem oberwać w tej czy innej formie od każdej P. T. publiczności choćby najbardziej szanującej wolność słowa. Wolność łączy się z odwagą głoszenia niepopularnych przekonań, nakłada obowiązek takiej odwagi. Przekonywanie przekonanych, wymyślanie Stalinowi, sarkanie na Angloamerykanów, którzy tego nie czytają, nie mówiąc już o zjadliwej krytyce "sanacji", myjącej obecnie talerze w londyńskich knajpach, psioczenie na rząd pozbawiony władzy i stronnictwa bez członków — wszystko to trudno nazwać aktami odwagi.

Kłócąc się do szaleństwa o drobiazgi, jesteśmy niepokojąco zgodni w sprawach zasadniczych. Czyżby cała ideologia emigracji miała się wyrażać w haśle "Polski niepodległej, całej, wolnej", ewentualnie z dodatkiem: "sprawiedliwej społecznie", albo: "chrześcijańskiej", zależnie od gustu? Spieszę oświadczyć, że nie mam nic przeciwko temu sloganowi, ale nie może on zastąpić ideologii, nie może być przyjęty na słowo honoru w czasach, które żądają śmiałego, porządnego przetrzepania zakurzonych pojęć o suwerenności państwowej, świętości granic, o wolności, sprawiedliwości społecznej i chrześcijaństwie. O tych zagadnieniach rozpalających najlepsze umysły zachodniego świata, głucho jest w naszym zaścianku. My Polacy nie kochamy się niestety w "teoretyzowaniu". Dziwnie jednak nieśmiało i nieliczne są też próby wyciągnięcia praktycznych wniosków z naszej klęski i — zrewidowania stanowisk, które się do jej rozmiaru przyczyniły. Starym polskim obyczajem wszystkie dyskusje na ten temat rozchodzą się po kościach, nie się nie łączy i nie ząbąbia, jeden mówi do sasa, drugi do lasa, nieraz kończy się na osobistych dąsach. Wszystko to rozgrywa się na papierze gazetowym i poziomie dziennikarskim, nie przenikając prawie wcale do literatury.

Uderzającą cechą życia literackiego na emigracji jest brak jakichkolwiek ostrzejszych linii podziału ideologicznego czy artystycznego. Wielka czy choćby tylko dobra literatura powstaje zwykle w czasach, w których ludzie dzielą się na wyraźne obozy, na klasyków i romantyków, epigonów romantyzmu i pozytywistów, filistrów i dekadentów. Istotne spory rozgrzewają mózgi, wzmagają dar wymowy, czasem rozpalają płomień natchnienia. Wyraźnym liniom ideologicznego podziału na "żydo-komunę" i "endecję" (są to oczywiście żartobliwe etykiety) i artystycznego — na "tradycjonalistów" i "awan-gardę" — zawdzięczaliśmy, jeśli nie świetność, to w każdym razie — żywość literatury dwudziestolecia między wojnami. Te i inne linie podziału nie przeżyły wojny. Zarysowująca się z lekka, w czasie dyskusji "wracać czy nie wracać?" oraz "drukować czy nie drukować w kraju", różnica stanowisk między tzw. "nieprzejednanymi" a "trzeźwymi"\*) stanowią rację bytu

\*) Myślę tu o Wańkowiczu czy Bielatowiczu, którzy nie podpisali znanej uchwały Związku Pisarzy, o Hostowcu, który ogłosił nekrolog

wobec przemian zaszłych w kraju, które przyznały słusność "nieprzejednanym", tylko że... z kilkuletnim opóźnieniem. Podział na tych, co są "za" i "przeciw" Skarbowi Narodowemu nie zasługuje na miano poważnego podziału ideologicznego. W literaturze, a może i w polityce, nie mamy obozów, kierunków, grup, co najwyżej — przypadkowe koteryjki.

Z tą sprawą wiąże się, może jako jedna z jej przyczyn, inna charakterystyczna cecha literatury omawianego pięciolecia: Niemal zupełny brak wybitniejszych nowych nazwisk, nie licząc... Hostowca. O nagrodę młodych ufundowaną przez "Veritas" ubiegali się debiutanci zaledwie zbliżający się do sześćdziesiątki. W liryce (ludzie!) prym nadal dzierżą starsi panowie: Wierzyński, Lechoń, Stanisław Baliński, i to — zjawisko wyjątkowe w historii literatury — na ogół nie zniżając lotu. Miłą niespodzianką jest niezwykle na polskie stosunki żywotność najstarszego pokolenia. Ignacy Baliński, Władysław Studnicki, Stanisław Stroński, Wacław Grubiński. Niech klimat kraju Shawa służy im jak najlepiej! Jedynym bodaj godnym kochankiem lżejszej Muzy jest dobrze już przyprószone siwizną autor "Marchewki".

Brak narybku literackiego nie tylko wywołuje zrozumiałe strach o przyszłość, ale i tłumaczy niejedno z teraźniejszości. Według teorii "pokoleń literackich" (zajmował się nią kiedyś u nas Kazimierz Wyka), nowe prądy w literaturze rodzą się z chwilą dojścia do głosu zastępu pisarzy ukształtowanych "światopoglądowo" w okresie jakiegoś wielkiego wydarzenia historycznego, noszącego w tej teorii nazwę "przeżycia pokoleniowego". Młodość życia jest rzeźbiarką... "Przeżyciem pokoleniowym" jest wydarzenie przypadające na czas, kiedy przyszli twórcy liczą sobie od 15 — 25 lat, kiedy wrażliwość ich jest najbardziej uczulona, chłonna, gąbkowata. Dla romantyków polskich była takim przeżyciem ostateczna utrata niepodległości, dla pozytywistów — powstanie styczniowe, dla skamandrytów — pierwsza wojna światowa. Teoria, jak to teoria, jest może trochę naciągnięta, zwłaszcza w tym telegraficznym skrócie, ale są w niej grube ziarna prawdy. Dla większości autorów emigracyjnych "przeżyciem pokoleniowym" było "wybuchnięcie Polski", dla niektórych — jeszcze rok 1905. Nic dziwnego, że nie potrafią oni uwiecznić w sztuce wojny ostatecznej, która nimi wstrząsnęła, ale ich nie przebudowała, ani sprostać wymaganiom czasów, które są tej wojny owocem.

Młodość jest łasa na nowinki. Nowinki literackie przychodziły do nas zawsze z Zachodu. Tędy przeskakujemy do drugiego rozdziału naszego "pięciorocznika": "Jak wykorzystujemy wyjątkowo bliskie, masowe i długotrwałe zetknięcie się z Zachodem?". Wiaże się ten rozdział ściśle z poprzednim, w którym już padły, tu właściwie należące, gorzkie słowa o głuchocie M-

poświęcony pamięci "warszawskiego" konsula, o Kuncewiczowej, a nie o karierowiczach czy ludziach złamanych.







pisała coś na maszynie, przygotowywała swój wyjazd do sąsiedniego miasta, pakując przeróżne nylony. Nie było w jej zachowaniu śladu zahamowań, wątpliwości czy to wypada czy nie wypada. Mówiła nam dużo ciekawych rzeczy o psychologii Niemców i Amerykanów, o zmianach zaszłych w Niemczech w ciągu ostatnich dwóch lat. W ciekawej rozmowie nie zauważyłem żadnych zasadniczych różnic, dzielących nasze poglądy.

Tu, w ogrodzie prezydenta Berlina, widzę z daleka jej smukłą postać, przenikliwe ciemne oczy i rudą czuprynę na drobnej główce. Podchodzi do mnie — widzę, że jest szczerze wzburzona.

— Proszę pana, to jest niemożliwe, trzeba reagować. Pan musi zareagować. Stała się rzecz naprawdę oburzająca.

— ?

— Kiedy wchodziłam do ogrodu prezydenta jeden z policjantów wyraźnie mi zasalutował! Ależ to jest okropne. To przecież jest kongres cywilnych intelektualistów — i nagle ten obrzydliwy, wojskowy gest.

Z początku nie zrozumiałem o co jej chodzi. Policjanci mają niskie elipsowate czaka z szarej materii. "Czy pani chciała, żeby na przywitanie zdejmowali te czaka?"

— Tak, czy inaczej, nie mają prawa salutować. I nagle zatrzymała się patrząc mi pytająco w oczy. "Więc może u was także policjanci salutowali?"

Odpowiedziałem z pewnym zakłopotaniem, że tak. Amerykanka zamilkła, ale jestem pewny, że zdecydowała, że i mnie trzeba poddać reedukacji, że i ja jestem militarystycznym zacołańcem europejskim. Gest dla mnie normalny zdawał się jej wprost haniebny. Podkreślam — to była naprawdę dziewczyna bardzo inteligentna, a oburzenie było wcale nie powierzchowne. Trzeba by znać wiele głębiej historię Ameryki, nawarstwienia i wątki jej tradycji, by dobrać się do *korzeni* tej świeżej i szczerzej reakcji, żeby rozwikłać jakie były świadome i nieświadome powody tego odruchu.

Była to reakcja obywatelki kraju, gdzie wojsko jest złem koniecznym, o którym trzeba jak najprędzej zapomnieć, gdy tylko pokój został zawarty; kraju, który jednocześnie, w tempie nigdy nie widzianym, umie rozbudowywać swoją armię stwarzając niebywałą przewagę techniczną nad przeciwnikiem; kraju, którego synowie umieją umierać bez skargi, nie tylko za swój kraj, ale dla idei jeszcze bardziej abstrakcyjnych i uniwersalnych jak Karty Atlantyckie i Karty Wolności; kraju gdzie brutalność wcale nie jest rzadszym zjawiskiem niż w Europie, ale gdzie panuje głęboka niechęć do wszelkiej formy, przypominającej z góry narzuconą nieimprowowaną dyscyplinę, gdyż to razi odruchowo ich egalitaryzm demokratyczny. Niechęć do każdego gestu, stwarzającego *dystans*, automatyczne podporządkowanie hierarchii\*).

\*) W książce Geoffrey Gorera pt.: *The Americans*, (Edition Calman-Lévy, r. 1950, str. 287), która wyszła po francusku znajduje

Zastanowiła mnie różnica pomiędzy tą reakcją a moją, Polaka, Europejczyka, u którego ten banalny gest wojskowy budzi wspomnienia, asocjacje wcale nie tylko gwałtów i hitlerowskiego czy innego barbarzyństwa, ale także pewnej tradycji wiekowej i rycerskiej. Nawet tu, w Berlinie, nie przyszło mi do głowy, by wiązać go natychmiast ze sprawami denazyfikacji i reedukacji.

Ileż razy — pomyślałem — *moje* reakcje na życie amerykańskie i jego obyczaje, moje odruchowe zgorzsenia muszą się zdawać Amerykanom naiwne, niezrozumiałe czy drażniące. Ale cóż z tego. Oburzenie Amerykanki powiedziało mi o Ameryce więcej, niż niejedna o Ameryce książka. Wnikanie właśnie w istotę sprzecznych odruchów, a nie zamazywanie ich może pomóc we wzajemnym zrozumieniu.

Dawniej, malarze, gdy malowali portrety używali czarnych lusterek, przystawiali te lusterka do obrazów i natychmiast wykrywali błędy: nos, trochę krzywy w lewo, w lusterku przekrzywił się w prawo. Uczciwe obserwacje Europejczyka w Ameryce, czy Amerykanina w Europie powinnyby odgrywać rolę czarnego lusterka. Po tym przydługim wstępie wracam do Chicago.



Święto Trzeciego Maja. Nabożeństwo w kościele Świętej Trójcy. Dostojnicy i "bossowie" organizacji i związków. Sporo mundurów nie tylko z ostatniej wojny, więcej jeszcze hallerowskich. Kościół wielki, kolorowy. Witraże, rzeźby, freski. Dzieśiątki rzeźb rozmalowanych mocnymi kolorami. Chrystus-Dziecię w potężnej, złotej koronie, Chrystus Zmartwychwstający, jak z różowego lukru, Matka Boska i inni święci. Na jednym z witrażów — wypędzenie z raję: dwa ciała Adama i Ewy na tle ciemnych kranachowskich tonów. Ten witraż w starannym rysunku, w doborze dyskretnych kolorów, odcina się od wszystkich innych malowideł i rzeźb. Na głównym ołtarzu, wśród niezliczonych, białych ze złotem, kolumnienek naliczyłem 118 lampek elektrycznych. Właściwie ten jasny kościół, to dla wielu, tutaj, ideał wiejskiego kościoła w Polsce. Tyle, że stokroć bogatszy. Ale też swojego rodzaju barok, też pełen figur, złota i kolorów. Cóż z tego, że ani jedna rzeźba tutaj nie ma wartości artystycznej, że żadnej z nich nie można porównać z naszymi wiejskimi świątkami, ustawionymi na rozdżozach, w naszych ubogich kapliczkach, z Chrystusami frasobliwymi, wyciosanymi z drzewa, czy wykutymi w kamieniu przez naszych wiejskich artystów, że nic nie przypomina pięknych, religijnych malowideł na szkle naszych górali. Przecie i nasze wiej-

— takie zdanie: "zawody najmniej szanowane i najbardziej podejrzane (w Ameryce — przyp. mój) to te, które zawierają w sobie wykonywanie władzy: polityka, a w czasie pokoju kariera wojskowa... Młody człowiek, utalentowany, pozbawiony szczególnych protekcji, oraz tradycji wojskowej w rodzinie, który by wybrał w czasie pokoju karierę oficera w armii czy marynarce, byłby ogładany z nieufnością.



skie kościoły były pełne zakupywanych w miastach, słodkich, tandetnych, kolorowych figur, które usuwały w cień to, co w tych kościołach było prawdziwie piękne.

Sztandary i mundury chorążych w rogatywkach, nawet górale ze starymi skrzypkami, w starych, w Polsce jeszcze robionych, kierpcach, zapełniają kościół. Po nabożeństwie wszyscy wypływają na plac przed kościołem i tworzą pochód. Na schodach kościoła naturalnie zatrzymują ich fotografowie. Ustawiają się, prezes Rozmarek, i gość dzisiejszy, sędzia Gunther, i energiczna wiceprezeska pani Dymek, przedstawiciele Legionu Weteranów, redaktorzy naczelni etc., etc. A pośrodku małeńki góralik w góralskim kapelusiku. Wszyscy, wszyscy mają szerokie niewymuszone uśmiechy na twarzy. Maszerujemy wszyscy przez ulicę. Gra orkiestra. Wszyscy się z sobą witają i słysze wciąż przebijający język angielski.

Dopiero po obiedzie w Parku Humboldta, w pobliżu pomnika Kościuszki, będzie defilada organizacji, oddziałów, sztandarów. Przyjmować ją będzie Prezes Kongresu Polonii i Prezes Związku Narodowego, Karol Rozmarek.

Po południu jadę do Parku. Słońce wiosenne, ale wieje wiatr lodowaty. Rozmarek otoczony delegatami, współpracownikami, gośćmi zaproszonymi na trybunę, rozmawia z dystygowanym Irlandczykiem, Mayorem Chicago, który też przybył na defiladę i też będzie przemawiał. Mowy i defilada przetykane są wystąpieniami prezesa Rozmarka, który mówi po polsku, po angielsku, w pewnym momencie nawet po hiszpańsku. Głosem stentorowym przedstawia przybyszów, gości, sędziów, bankierów, konsulów, działaczy, nie szczędząc nikomu najwyższych komplementów. Wszyscy jesteście wielcy i wspaniali.

Patrzę ponad głowami zebranych tłumów na miły pomnik Kościuszki. Kościuszko wygląda młodo, na zgrabnym koniku, zgrabnym ruchem podnosi szabelkę. Delegacja zebrana z trybuny nieświe wieńce pod jego cokół. Ale gdyby naraz Kościuszko zechciał zejść ze swego konika i przyjść tu do nas na trybunę, albo może przedefilować na koniku z szablą wzniesioną, nie byłoby już w słownictwie polskim czy amerykańskim żadnych wyższych superlatywów, wyższych niż te, którymi obdarzano sławnych bankierów, wielkich bohaterów, wspaniałych sędziów tu, na trybunie, obecnych.

Myślę o nekrologach zmarłych magnatów i szlachciców w 17-tym wieku, w Polsce. W oracjach pośmiertnych każdy z nich pochodził przynajmniej od Brutusa, Cezara czy Aleksandra Macedońskiego. Natężenie superlatywów musiało być podobne. Czy stamtąd idzie ten kult przesady, jak mi się zdawało w pierwszej chwili. "Kultura poszlachecka" — powiedziałaby Wańkowicz. *Nie*, a jeżeli, to chyba w drobnym tylko ułamku. Jest to przede wszystkim wpływ amerykański i styl *amerykański*. Niezliczone mowy wyborcze, nieustannie używane propagandowe chwytły, styl języka, który muszą rozumieć wszyscy wyborcy, więc ci także imigranci, co ledwo mówią po angielsku. Więc

ubóstwo i emfaticzność słownictwa, gdzie między zwykłą oceną, a skrajnym superlatywem nie ma prawie przesłanego pośrednika. W mowach *polskich*, a również w artykułach jest to jeszcze bardziej podkreślone, gdyż stara emigracja z rzadkimi wyjątkami ma słownictwo polskie zubożone, zwęża się ono coraz bardziej, jakby wysycha w miarę jak wzbogaca się jej słownictwo angielskie. Naturalnie jest to najbardziej drastyczne w drugim pokoleniu.

Spotkałem w Bostonie młodego Amerykanina polskiego pochodzenia, którego mi z dumą przestawiono, jako że będąc Polakiem piastował już odpowiedzialne stanowisko w gubernatorstwie. Powinszowałem mu, że tak dobrze jeszcze mówi po polsku. — Czy pan również jeszcze czyta po polsku? — zapytałem. — O tak — odpowiedział z miłym uśmiechem — to zupełnie łatwo. I dodał po chwili — tylko, że jak czytam to nic nie rozumiem. Za trudne słowa!

Mówcy na wszystkich wiecach, na wszystkich zjazdach narodowych muszą się liczyć z takimi słuchaczami. Ale dla świeżo z Europy przybyłego słuchacza, ten uproszczony styl niewycienowanej chwalby robi wrażenie już nic nieznanego i nieśmianie tych samych frazesów.

Na drugi dzień w gazetach cyfra zebranych tłumów była określana najbardziej dowolnie. Osobiście, po rozpytaniu paru ludzi znajdujących się tam, myślę, że w ogrodzie było maksymalnie 10.000 ludzi. Gazety jednakże szafują cyframi 100 i 200 tysięcy uczestników. W chicagowskim "Sun Times" p. Pluciński pisze o 100.000 obecnych oraz o 10.000 delegatów 4.000 polskich organizacji. "Nowy świat" w New Yorku opisuje to święto prawie jak wypadek historyczny. Dziwię się skąd te cyfry. Zwykła przesada propagandowa? Wyjaśniają mi, że w Chicago liczy się uczestników *wszystkich*, a więc wszystkich gapiów na ulicy i nawet tych co wyglądają z okien. Na dorocznej manifestacji komunistycznej obliczono spadek wpływów komunistycznych, bo gapiów było tylko dwa rzędy z dwóch stron pochodu komunistycznego, a kilka lat przedtem pięć. Ale jakże się nie gapić na pochód polski, kiedy jadą rydwany ukwiecone, bogate. Na rydwanie Związku Narodowego (lora wyklejona srebrnym papierem) stoją kolumny greckie, angielskie napisy, w środku siedzi p. Maria Piech — symboliczna postać "kobiety-związkowcy"; na rydwanie Spójni Narodowej — olbrzymie "serce dla Ameryki i Polski" z czerwonego papieru sterczy do góry na płaskim wozie, oklejonym papierem biały i czerwonym.

Rozmarek w swoim przemówieniu grzmi na ignominious Jałtę. Na drugi dzień widzę to zdanie powtórzone w prasie amerykańskiej, ale, jak mi mówią, Rozmarek grzmiał na Jałtę z równą gwałtownością wtedy, gdy większość prasy amerykańskiej śpiewała na cześć Jałty peany.

Zbiórka na Dipisów, agitacja za sprowadzaniem ich, jest głównym, konkretnym "chwilem" uroczystości. Dziewczęta w strojach krakowskich, w gęsto złotem wyszywanych aksamitnych



stanikach i z ogromnymi wieńcami ze sztucznych kwiatów na głowie, przechodzą przez tłum niosąc wielkie przeszcieradło, na które zebrani rzucają więcej dolarów niż centów. Dipisi, to cel zrozumiąły. To nasi ludzie żyjący w Niemczech, oczekujący na wizy, bez żadnej tam, na miejscu, przyszłości, a z przeszłością przeważnie straszliwą. Iluż ludziom nieznany Polak-Amerykanin umożliwił przyjazd do Ameryki, zapewnił pracę, dając mu *affidevit* i zgadzając się być sponsorem ludzi, o których tylko tyle wiedział, że są Polakami. A to są gesty wcale nie platoniczne. One angażują moralnie i materialnie. Przy tym Polskie Towarzystwa Ubezpieczeniowe organizują to sprowadzanie, agituja za nim, dysponując w tej dziedzinie wielkimi możliwościami. Każdy nowo przybyły, prawie że automatycznie zapisuje się do tych towarzystw. Jeżeli zaś chodzi o Związek Narodowy, którego prezesem jest Rozmarek, to jest on właśnie największym towarzystwem ubezpieczeniowym. Jak mi mówią w Chicago — Związkowi Narodowemu zawdzięcza największą ilość Dipisów przybycie do Ameryki i pracę na miejscu. (W Związku Narodowym jedna ósma centa z miesięcznej składki każdego członka idzie na polskie cele oświatowe. To niewiele, ale to przecież daje pewne możliwości pracy na odcinku kulturalnym).

Pochód, który przesunął się przez miasto dociera do Parku Humboldta. Dziesiątki potężnych sztandarów, przeważnie amerykańskich, ale są także i polskie. Rewia wojskowa jest w tym pochodzie członem centralnym. Idą oddziały, które widzę po raz pierwszy w życiu. Szeregi "weteranów" — tak nazywają się tu wszyscy żołnierze z poprzednich wojen, są poprzedzone i zamknięte innymi oddziałami, powiedziałabym fantazyjnymi. Kobiety w mundurach czerwonych, niebieskich, aż kapiących od złota, pasmanterii, guzików i epoletów, z czakami niewiarygodnej wysokości. Te panienki maszerują w kuszach spódniczkach, zgrabnie wyrzucając przed siebie wydepilowane nogi, ruchem już nie teatralnym, ale rewiiowo-cyrkowym, kręcąc biodrami, pierściami. Tłumy widzów szaleją w oklaskach. Jak mówi Rozmarek "wspaniałe dywizje doboszek i cymbalistów". Sławny cyrk Barnuma nie miał tylu statystów. Idą również oddziały męskie. Starsi panowie z zażywnymi, ale podciągniętymi brzuchami, młodzi chłopcy wyszamerowani i w pióropuszech. Kobiety zaś, idące na czele tych oddziałów doboszek i cymbalistów, trzymają w ręku srebrne laseczki lub nawet srebrne buławy i przechodząc przed trybuną wykonują nimi akrobatyczne sztuki: podrzucając je wysoko, łapiąc w lot, lub przerzucając sobie za plecami. Cóż mam robić! Jestem już tak stary, że jak słyszę słowo "wojsko", "dywizje", przypomina mi się prawdziwe wojsko, a jak widzę buławy, przypomina mi się prawdziwa buława w rękach Marszałka Piłsudskiego, kiedy jechał w 1920 r. powozem zaprzężonym w dwa białe konie z Zamku do Belwederu. Buława, którą otrzymał jako pierwszy Marszałek Polski za zwycięską wojnę. Ani razu jej nie podrzucił.

Dla Amerykanina te pochody to zjawisko najbardziej ba-

nalne. Rewia Lojalności czy Rewia Irlandzka mają w New Yorku dosłownie ten sam charakter.

Po pierwszych oddziałach doboszek idą inne szeregi. To już prawdziwi żołnierze, weterani ostatniej i przedostatniej wojny. Wśród mundurów amerykańskich poznają i nasze mundury z Drugiego Korpusu. Czarne berety, "syreny", "choinki". I zaraz tu, w tym tłumie szczęśliwym, stają mi przed oczami Włochy wojenne, nasze wtedy, jeszcze wbrew wszystkiemu, nadzieje, nasi zabici i te słowa, za które ludzie płacili wówczas pełny rachunek krwi. Jaki ciężar i jaki wydźwięk miały wtedy te słowa. Ci chłopcy między frontem a krótkimi urlopami w Neapolu i w Rzymie, ich szalona radość życia, płynącego tak wartko tuż na skraju śmierci. Ten oddział weteranów jest wtopiony w dywizje "fantazyjne".

Ale między tymi świetnymi oddziałami pióropuszy i gołych nóg dostrzegam nagle kilkunastu maszerujących ludzi. Niosą lichy transparent z napisem: "Oni bronili Warszawy". Ludzie niemłodzi w ciemnych płaszczach i jedna plama jaśniejsza — płaszcz od deszczu, wytarty, zielonkawy na kobiecie trochę zgarbionej, z siwymi włosami wymykającymi się spod czarnego beretu. Oklaski — deszczu oklasków. I znowu dziewczątka z buławami i gołe łydki i bujne, jakże pięknie ułożone loki, wypływające strugami spod purpurowych i szafirowych czak. Burza oklasków.

— Widział pan takie coś kiedy? — pyta mnie z entuzjazmem jeden z organizatorów. "Nie, nigdy nie widziałem" — przyznaje szczerze.

Nagle zrywa się znów barwna wstęga mundurów i orkiestr. Idzie ciemny wąż "granatowych chłopców" — Dipisów. Idą w mundurach prawie czarnych, bez guzików i pasmanterii i bez orderów. Przeszli Warszawę i przeszli lata obozów. Dziś, tu, dzięki opiece Polaków z Chicago, zaczynają nowe życie.

Opuszczam święto z uczuciem sprzecznym. Co wynoszę pozytywnego z tej wielkiej ceremonii: pogodny, szczęśliwy nastrój współuczestników, poczucie *równości* — wbrew superlatywom mówców — między "wielkimi" dostojnikami, a tuż przy niskiej trybunie zebrany tłumem. Poza podkreślanie na każdym kroku gorącej miłości i całkowitego lojalizmu dla nowej ojczyzny-Ameryki, wyczuwam również stosunek do Polski ciepły i wspólnujący. Wzrusza mnie pamięć serdeczna o Polsce, tego największego skupiska emigracji. Cieszy mnie, że ten tłum starej emigracji wygląda tu zadowolony i naprawdę szczęśliwy. Ale nie umiem przełknąć tych wspomnień tragicznych w ramie operetkowej. Nie sądzę — konstatuje. Inne reakcje, tak inne, że kłamałbym, gdybym to pominął milczeniem.

To Tołstoj w "Wojnie i Pokoju" opisuje wrażenia Natasy Rostowej, gdy pierwszy raz wchodzi do łoży opery po rozpoczętym przedstawieniu. Gesty patetyczne wielkiej aktorki, trele i grymasy na scenie zdają się jej jedynie śmieszne i przy-



kre. Gdyby znała historię opery, wiedziała jak ta stylizacja operowa narastała, gdyby rozumiała sens gestów umownych, może by słuchała opery ze łzami zachwytu.

Tu w Ameryce są inne gesty umowne, inna symbolika, inna dekoracja. To wszystko wykwit innej amerykańskiej gleby. Patrząc na to wszystko i patrząc na różnicę reakcji Polaka zamerykanizowanego z moją, odczuwam może najgłębiej, że przejechać Atlantyckie to nie fraszka.

— Niech pan teraz zajdzie do nas — mówi mi po skończonym obchodzie Dipis, którego dziś poznałem. Wszyscy ci, którzy z Europy przyjechali niedawno, zbierają się w niedzielę w małej salce Towarzystwa Matejki. Sala jak tysiące innych, z oknami na brzydką ulicę domów niskich i bez charakteru. Bufet, parę drewnianych długich stołów, jakieś akwarele na ścianach, przedstawiające ścieżki wiejskie i nasze brzozy. Do sali napływają coraz to nowi ludzie, przeważnie starsi mężczyźni. Patrząc na twarze, słuchając tego co mówili, przeżyłem tego dnia w Ameryce jedno z paru wrażeń niezatartych. Nic nie powiedział mi nowego. Gdy pytałem jak im się powodzi, wszyscy mówili, że dobrze. Tak samo jak inni emigranci, których na zebraniu noworocznym spotkałem w Montrealu. Wszyscy mają dach nad głową, wszyscy mają pracę. A Ameryka uratowała ich od materialnych tragedii, których pełno chociażby tu, w Paryżu. Nikt z tych ludzi nie głoduje. Ale wystarczy popatrzyć bacznie na te oczy, na smutek tych oczu podkrążonych, bruzdy na twarzy, przerzedzone siwe włosy, żeby stwierdzić, że starych drzew się nie przesadza, że wykorzystanie ich jest największą krzywdą, którą można zrobić człowiekowi. Adwokat 60-cio letni, pracujący w fabryce mebli w stylu romańskim, major wojsk polskich, trzech dziennikarzy, z których jeden jest krawcem (zerwał sobie ścięgna ręki w wypadku w fabryce wagonów, potem długo leżał w szpitalu). Opowiadają mi, że paru kolegów leży w szpitalu z gruźlicą. Słyszę również o innych, których trzeba było oddać do domu obłąkanych. Więc i tu, gdzie ci ludzie przynajmniej nie głodują, ginie reszta sił duchowych i fizycznych, ocalonych z Niemiec, dzięki temu najprościej, że wielu z tych ludzi wprost nie wytrzymuje jeszcze jednej adaptacji. Ale jedno chcę podkreślić — to wrażenie na tyle ostre, że nie może mylić: głuchy, niewymowny smutek tych spojrzeń i wielka godność ludzi, którzy dźwigają swój los naprawdę bez słowa skargi.

Ileż takich twarzy już widziałem — od Starobielska do Paryża — twarzy ludzi wybitnych, czy zupełnie przeciętnych, uparcie walczących o to, by się utrzymać na fali. Ci są przeważnie z niemieckich obozów, ale twarze te same. Resztką całego pokolenia.

Naturalnie, że słyszałem podczas mego pobytu w Ameryce skargi starej emigracji na sprowadzonych Dipisów i na odwrót. Były to prędzej wyjątki, ale jest to w naturze rzeczy. Inaczej

być nie może. Ież pretensji w swoim czasie było w Polsce między galicjanami, poznaniakami, kresowcami. A w okresie ostatniej wojny ileż, od Iraku, napatrzyłem się niechęci, wzajemnych podejrzeń pomiędzy "lordami", "faraonami" i "prawosławnymi". Tak przezywano żołnierzy polskich z Anglii, Brygady Karpackiej i Rosji. Trzeba było kampanii włoskiej, koleżeństwa *w walce*, aby te animozje przewyciężyć. Tu, w Ameryce, ten napływ nowej emigracji, przeważnie politycznej, a nie zarobkowej, z ogromnym procentem ludzi starszych, z całkiem innymi poza sobą przeżyciami i doświadczeniami, wywołuje też wzajemne żale i wzajemną podejrzliwość.

Pewien sympatyczny Polak ze starej emigracji, który się sam przyczynił do sprowadzania Dipisów, żali się: — Dajemy affidavity, pomagamy, a tu mój kolega sprowadził na farmę dwóch takich do roboty i słyszy za drzwiami, jak jeden mówi do drugiego: "te chamy mają carpety (dywany), a my musimy na nich pracować". A tu znów Dipis, niemniej sympatyczny, zaręczał mi, że stara emigracja nie chce dopuścić "nowych" do żadnej współpracy na odcinku społecznym, że jeden ze starych działaczy miał powiedzieć "ech, my tych przybyszów wcale się nie boimy w naszych organizacjach. Niech sobie rok popracują w fabrykach, to już będą wykończeni". Zupełnie nie jestem pewny, czy te słowa były powiedziane, czy znalazł się wśród nowej emigracji taki, który zaczął od zazdroszczenia ciężko zdobytego przez starą emigrację komfortu, i czy rzeczywiście stary działacz amerykański mógł tak określić możliwość współpracy obu emigracji. Sam zresztą znam ludzi z nowej emigracji, którzy już w tamtejszych organizacjach społecznych pracują. Ale powiedzenia, zdeformowane przez podejrzliwość, mogą być symptomatyczne, rzucają światło na odruchy, które z czasem muszą być zupełnie przewyciężone, bo w Ameryce jest miejsce dla wszystkich.

— Zdziwiająca jest — mówi mi wybitny Polak, już od wielu lat zamieszkały w Ameryce — jak liczebnie potężna Polonia amerykańska nie potrafiła się dotychczas wybić ani na odcinku kulturalnym, ani politycznym, ani finansowym, *współmiernie* z masą, którą reprezentuje. Nie mówię o elemencie anglosaskim, który wciąż jeszcze nadaje ton, ale Niemcy mają wielkie stanowiska w przemyśle, w świecie uniwersyteckim i także na wysokich szczeblach w wojsku, Irlandczycy trzymają w rękach cały aparat administracyjno-polityczny, nie mówię już o Żydach, którzy na odcinku finansowym, kulturalnym i naukowym odgrywają ogromną rolę, Polaków spotyka się w wojsku, rzadko na stanowiskach wyższych oficerów. W dziedzinie naukowej, pomimo tak wielkiego nazwiska jak prof. Znaniecki i paru innych, nie możemy się równać z Niemcami czy Żydami. Jesteśmy w sytuacji podobnej do emigracji włoskiej, również niezmiernie licznej, ale i ona ma większy od nas ciężar gatunkowy. Przypływ nowych energii i nowej inteligencji może tylko pomóc starej emigracji i podnieść ciężar ga-



tunkowy Polonii na terenie nie tylko emigracyjnym, ale i ogólnie amerykańskim.

Patrzę na ubogą salę Matejki, na tych ludzi przy piwie i szachach. Jeden z nich, utalentowany dziennikarz, opowiada mi jak lakieruje stoły, pracuje w fabryce mebli i razem z drogą zajmuje mu to 10 godzin dziennie. Później już niebardzo ma siły na pracę społeczną czy pisanie. Iluż z nich wykolejonych nawet zdemoralizowanych latami obozów, odzwyczajonych od walki o byt, albo wprost — wbrew najlepszym chęciom — bez sił do nowego życia, starych, ze słabnącymi siłami, nie mówiących wcale, lub bardzo źle po angielsku; czują się tutaj oderwani od wszystkiego co było ich życiem (nawet od swego zawodu) i nikomu niepotrzebni.

Po triumfalnej rewii doboszek i cymbalistów te zmarszczki, ta siwizna i oczy podkrążone nad szklanką piwa. Rodziny wymordowane czy wymarłe, albo rozdzielone tysiącami kilometrów i latami rozłąki, koledzy i przyjaciele zabici. Mary i mary wspomnień

*„Śpiewajcie w chór zebrani  
Ja zmieszać mógłbym śpiew  
Triumfującej litanii  
Jam widział krew...”*

Tak, w tej triumfującej litanii, nie "przed żłobkiem, gdzie jest Bóg", ale przed gwiaździstym sztandarem i ideałem amerykańskim głos tych ludzi, twarze tych ludzi, wyraz ich oczu "mieszają śpiew".

Józef CZAPSKI.

## „POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym

tygodnikiem społeczno-religijnym

Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza ..... 15 Frs.

Prenumerata kwartalna ..... 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1<sup>er</sup>

C.C.P. 4955-03

## Monsieur Chlewaski

W korespondencji P.-L. Couriera, uchodzącej słusznym tytułem za arcydzieło prozy francuskiej, znajdują się cztery listy do "pana Chlewaskiego" w Tuluzie. Pierwsze trzy, datowane z Lyonu i Rzymu, pochodzą z lat 1798 - 1799, ostatni jest pisany w Tarencie w 1806.

W "Lettres de France et d'Italie" listy te zajmują odrębne miejsce, i autor przypisywał im zapewne szczególną wagę. Korespondentów Couriera można by podzielić na trzy kategorie: na bibliotekarzy i hellenistów, na przełożonych lub kolegów z armii Napoleona i wreszcie na kobiety. "Pan Chlewaski" nie mieści się w żadnej z tych grup. Listy pisane doń przez Couriera zdradzają więcej namysłu i skupienia. Są to listy do starszego przyjaciela, przed którym autor usiłuje zachować poprawność myśli szkolonej na wielkich wzorach. Gdyby listy te nie zostały zachowane, Paul-Louis Courier wydawałby się nam indywidualnością skromniejszą, mniej wyrastającą ponad przypadki swego curriculum vitae. W listach tych ujawnia się poraż pierwszy odległa i pogodna postawa autora w stosunku do toczących się dokoła wypadków. W chwili spotkania z Chlewaskim, w 1796 - 1797, Courier był 25-letnim oficerem artylerii, przed którym — w rozpoczynającym się właśnie okresie wojen napoleońskich — stały otworem różne błyskotliwe kariery. Młody oficer wybrał inną drogę. Uważna lektura jego listów nasuwa przypuszczenie, że wybór ten dokonał się w nim podczas przechadzek z Chlewaskim, "pod topołami" w Tuluzie.

Do przypuszczenia tego upoważnia jeszcze jedna okoliczność. P.-L. Courier jest obserwatorem pogodnym lecz ironicznym, pozbawionym wszelkiego szacunku dla ustalonych autorytetów. W dialogu napisanym w 1812 dowodzi, że sława wielkich wodzów nie jest warta sławy artystów. O Napoleonie, znajdującym się na szczycie potęgi, odzywa się ledwie mimochodem, z zdumiewającym lekceważeniem. Rozstaje się na ogół lekko z przyjaciółmi i towarzyszymi broni. W listach do przełożonych brak mu tradycyjnego w tego rodzaju korespondencji poczucia hierarchii. Jedynym człowiekiem, na którego towarzysztwie i listach mu zależy, z którym rozmowy wspomina po



latach ze wzruszeniem i do którego pisze z uczuciem przyjaźni i szacunku, jest jego znajomy z Tuluzy.

Pierwsza lektura listów budzi nawet podejrzenie czy "pan Chlewaski" nie jest korespondentem fikcyjnym, tworem wyobraźni samego Couriera, rodzajem zwierciadła, w którym autor przegląda się w chwilach euforii. Z listów bowiem Couriera dowiadujemy się bardzo mało o jego tuluzańskim przyjacielu. Courier nie zachował nawet nazwiska swego rozmówcy. "Chlewaski" jest tylko przezwiskiem wychodzącym z tej samej fabryki co imiona, jakie Alfred Jarry dał synom swego groteskowego króla: Stanislas, Boleslas et Bougrelas. Z aluzji zawartych w listach możemy wnosić, że "pan Chlewaski" był członkiem niezwykle wykształconym, o bardzo szerokich zainteresowaniach: znawca literatury, tak greckiej jak bieżącej, bywalec teatrów, członek towarzystw naukowych "usiłujących przyspieszyć postęp oświaty i zapobiec zepsuciu smaku". W tych niejasnych rysach wyczuwamy humanitaryzm i wrażliwość ludzi wieku oświecenia. Wzmiankując, w liście z 1806, wojnę w Kalabrii, Courier pisze, że widok jej mógłby obudzić w jego przyjacielu jedynie zgrozę i litość. Ton listów do Chlewaskiego przypomina chwilami "Ruiny" Volneya. Możemy przypuszczać, że rozmowy obu przyjaciół w Tuluzie toczyły się w najlepszych tradycjach XVIII-go wieku.

Mimo pewnej mglistości konturów "Pan Chlewaski" nie był fikcją literacką, lecz postacią historyczną, człowiekiem żywym. W komentarzach, jakimi Armand Carrel zaopatrzył w 1829 "Listy z Francji i Włoch" znajdujemy obok pierwszego listu do Chlewaskiego następujące objaśnienie: "W Tuluzie pan Courier spotkał przypadkiem w księgarni pana Chlewaskiego, Polaka wyróżniającego się wielką erudycją. Wspólne upodobania stały się źródłem ich bardzo bliskiej przyjaźni. Zamykali się często razem na cały dzień. Po tych długich konferencjach pan Courier przebierał się i szedł na bal. W latach 1796 - 1797, po ponurych latach rewolucji, całą Francję ogarnęła nieprzeparata chęć rozrywki".

W życiorysie poprzedzającym to wydanie dzieł Couriera z 1829, Armand Carrel pisze: "W Tuluzie p. Courier posiadał licznych przyjaciół; szczególnie żywym uczuciem darzył zwłaszcza pewnego Polaka o wielkim wykształceniu i wyszukany smaku. Spędzał z nim sam na sam całe dnie, w mieszkaniu lub przechadzając się w alei biegnącej wzdłuż kanału południowego. O treści tych rozmów można wnosić z nielicznych niestety listów pisanych przez Couriera z Włoch do p. Chlewaskiego". Armand Carrel korzystał zapewne ze wspomnień żony Couriera, córki francuskiego hellenisty imieniem Clavier, mógł wreszcie znać Chlewaskiego osobiście. W każdym razie musiał wiedzieć o tajemniczym Polaku znacznie więcej niż my. I Carrel jednak zachowuje dyskrecję, nazywając Chlewaskiego jego przezwiskiem i nie wychodząc poza ogólniki, których możemy się sami domyślić z listów Couriera. W trzecim liście do Chle-

waskiego brak ostatniej części, jak gdyby opuszczono tam coś co mogłoby ułatwić identyfikację adresata. Małomówność Couriera w tej materii przejęli więc także wydawcy jego spuścizny literackiej.

Jakie mogły być przyczyny tej dyskrecji? Na próżno szukamy ich w zmiennych stosunkach politycznych tej epoki. Courier pisał do Chlewaskiego w latach rewolucji, dyktoria-tu i cesarstwa; Armand Carrel pisał o nim w okresie restauracji. Trudno sobie wyobrazić polityczne motywy dyskrecji utrzymujące aktualność przez taki długi czas, pośród tylu odmiennych reżimów. Unikanie rozgłosu i zachowywanie rezerwy jest oczywiście najstosowniejszym sposobem bycia w czasach ciągłych przewrotów politycznych, zwłaszcza dla osób obawiających się "zepsucia smaku", brak jednak jakichkolwiek wskazówek, aby ta właśnie przyczyna zmuszała do ukrywania prawdziwego nazwiska "pana Chlewaskiego".

Nieco więcej światła zdaje się rzucać "wspólność upodobań" obu przyjaciół. Gdyby Paul-Louis Courier nie był znakomitym pisarzem, pozostałby zapewne osobistością równie nieznaną i tajemniczą jak jego tuluzański przyjaciel. I jego bowiem, zwłaszcza w młodych latach, cechowała uderzająca dyskrecja. Urodzony w 1773 r. w Paryżu, syn zamożnych mieszczan, wychowany w duchu oświecenia, w okresie rewolucyjnym Courier wstępuje do szkoły artylerii, wychodzi z niej w stopniu oficera i bierze udział w wojnie 1793 - 1795 w Nadrenii. Odtąd, nie porzucając służby wojskowej, stara się o przydziały dalekie od frontu i zostawiające mu wiele wolnego czasu, który obraca na studia hellenistyczne. Jedno z tych skromnych zajęć, polegające według jego własnych słów na liczeniu pocisków w składach artyleryjskich, prowadzi go do Tuluzy i do spotkania z Chlewaskim. Po wyjeździe z Tuluzy stara się o przydział do armii francuskiej we Włoszech, gdzie spędza wiele lat, przeważnie na tyłach, zajęty głównie studium greckich rękopisów w bibliotekach. W ciągu 15 lat służby wojskowej (1793 - 1808), w okresie rewolucji i cesarstwa, oficer artylerii o 5 lat młodszy od Napoleona nie wychodzi poza rangę kapitana. Można stąd wnosić, że nie tylko nie starał się nigdy o awans, lecz unikał starannie wszelkiej do niego okazji. W jego listach do przełożonych i kolegów wojskowych znajdujemy głównie prośby o przeniesienie do garnizonów leżących w pobliżu ciekawskich bibliotek.

W liście do Chlewaskiego, datowanym w Tarencie latem 1806, Courier robi rodzaj rachunku sumienia z lat spędzonych na wojnie we Włoszech:

"Myśli moje są jak gdyby zasnute dymem armat. Pan, jako spokojny widz, chwytą i notuje wszystko, gdy mnie unosi orkan nie pozwalający nawet rozeznąć dokładnie przedmiotów... O czym mógłbym Panu pisać? O szaleństwach, barbarzyńskich lub śmiesznych, w których sam nie wiadomo po co biorę udział... Z każdej rzeczy jednak można zrobić coś uży-



tecznego. Służąc sztuce masakrowania, jak ją nazywa La Fontaine, usiłuję wykorzystać ją dla lepszych celów. Z zawodu wrogiemu na pozór wszelkiej nauce udało mi się zrobić główne źródło mego wykształcenia w różnych dziedzinach. Musiałem korzystać z przywilejów munduru, aby poznać Włochy, zwłaszcza prowincje, w których podróżować mogą tylko siły zbrojne. Podróżom tym zawdzięczam spostrzeżenia, wiadomości i pojęcia, jakich nie potrafiłbym zdobyć w żaden inny sposób. Weźmy chociażby język: czy mogę uważać za stracony czas, który poświęciłem nauce języka składającego się z najpiękniejszych dźwięków jakie kiedykolwiek udało mi się słyszeć? Brakło mi dotąd znajomości Sycylii, lecz mam nadzieję znaleźć się tam w niedługim czasie... Moja ciekawość, wykorzystując ambicje zdobywców, staje się równie rozległa jak one... Byłem zakochany w Kalabrii, i gdy wszyscy starali się wykręcić od tej ekspedycji, ja jeden zabiegałem o wzięcie w niej udziału. Teraz oglądam przez lunetę Sycylię i marzę o łąkach otaczających Ennę i o marmurach Agrigentum. Muszę nadmienić, że zostałem amatorem starożytności, być może nie najbiedniejszym lecz w każdym razie trudnym do oszukania; nie kupuję bowiem nic jak ów *conte Haga che tutto vede, poco compra e meno paga*. Epigramat ten Rzymianie, najzłotliwszy lud świata, ułożyli na króla szwedzkiego, który podróżował tu pod nazwiskiem hrabiego Haga. Nie wywożę więc z Rzymu nic prócz wspomnień i kilku epigrafów".

W listach Couriera do innych osób znajdujemy w tym czasie liczne obrazy wojny w Kalabrii, prowadzonej z barbarzyństwem właściwym tzw. wojnom ideologicznym, w których wykluczające się nawzajem koncepcje władzy i legalności ścierają się w zbrojnym konflikcie. Znajdujemy więc tam opisy nieustannych grabieży, wojny z partyzantami, egzekucji, represji, palenia wsi, mordowania ludności i wreszcie ucieczki Francuzów. "Pan Chlewaski" nie gustował widocznie w tego rodzaju scenach, bo Courier pomija je przed nim milczeniem. Odczuwa natomiast potrzebę wytłumaczenia się przed swym przyjacielem z udziału w tej ekspedycji. W liście tym, pisanym w 7 lat po wyjeździe z Tuluzi, Courier wydaje się odległy od Chlewaskiego, niepewny, szukający alibi i wykręcający się anegdotami. Znacznie piękniejszy jest jego pierwszy list z Rzymu, z stycznia 1799, pisany jeszcze pod świeżym urokiem "rozmów pod topolami". Oto jeden z jego końcowych ustępów:

"Niech pan radzi śpieszyć się wszystkim kto chciałby zobaczyć Rzym, bo każdego dnia szabla żołnierzy i szpony urzędników francuskich odzieraają go z jego uroków i ozdób. Być może, przyzwyczajony do prostego i szlachetnego języka starożytnych, uzna pan te słowa za pretensjonalne. Nie znam jednak słów dość smutnych, aby oddać ruinę, nędzę i hańbę spadłe na ten biedny Rzym, który za pańskich czasów był jeszcze tak wystawny. Zjeżdżano się tu wówczas z całego świata. Ilu obcych, przybyłych na kilka miesięcy zimowych, spędziło tu

całe życie! Dziś pozostali tu tylko ci, kto nie mógł uciec lub ci, co z nożem w ręku przetrząsają łachmany ginącego z głodu ludu, w poszukiwaniu ostatnich sztuk złota, jakie mogły się ukryć od tyłu poprzednich wymuszeń i rabunków. Pomijam szczegóły, bo nie wiedziałbym gdzie się zatrzymać. Zresztą sądzę, że dla różnych względów nie powinienem panu wyjawiać wszystkiego. Z naszkicowanego tu ułamka obrazu domyśli się pan łatwo reszty".

W świetle tych kilku fragmentów możemy sobie częściowo wyobrazić formę i sens "rozmów pod topolami" w Tuluzie. W obłoku greckich i łacińskich cytatów skrywała się myśl, która zdecydowała być może o powołaniu Couriera, zachowując pewną aktualność także dla dzisiejszego czytelnika.

Chlewaski i Courier nie byli być może tak bez reszty greccy, jak to sobie wyobrażali. W ich słowach i gestach leżała ukryta myśl głęboko chrześcijańska, stanowiąca w czasach Napoleona żywą siłę ancien régime'u. W Europie chrześcijańskiej zbawienie duszy było zawsze sprawą osobistą, indywidualną, której żadna władza doczesna nie mogła ani pomóc ani przeszkodzić. Prywatność jej była przez długie wieki oczywista. Nie było potrzeby bronienia jej przed sądem ateńskim ani picia cykuty dla nadania jej rozgłosu. Stąd, jak sądził Guglielmo Ferrero — pochodzi tolerancja Europejczyków dla ułomności królów i instytucji monarchicznych. Zakres działania tych ostatnich nie obejmował bowiem najważniejszych spraw poddanych. W wieku oświecenia pojęcie zbawienia duszy uległo znacznemu rozszerzeniu. Można było rozumieć je w sensie chrześcijańskim, bądź też w sensie stoickim, drogim zapewne hellenistom z Tuluzi, bądź wreszcie w luźnym i szerokim sensie wolteriańskim: *aimer et penser c'est la véritable vie de l'esprit*. Tak czy inaczej pojęte, życie wewnętrzne, duchowe pozostawało w ówczesnych pojęciach poza zasięgiem działalności państwa. Państwo pretendujące do mobilizacji totalnej, rozciągającej się na życie prywatne i duchowe obywateli, jest zjawiskiem późniejszym. Pierwsza próba takiej mobilizacji, podjęta przez Napoleona, spotkała się z biernym oporem jego poddanych, z absentyzmem, z oddaleniem się, którego jedną z form były "rozmowy pod topolami", dziwna kariera wojskowa P.-L. Couriera i wymijająca tajemniczość "pana Chlewaskiego".

Wszystko to jednak pozostawało moim domysłem, wysnutym z lektury Couriera, Volneya, Chateaubrianda, Benjamina Constanta, Humboldta. Postać drugiego protagonisty rozmów w Tuluzie pozostawała dla mnie niejasna, tajemnicza. Pamięci o niej nie przechowała ani literatura francuska ani emigracja polska.

Kiedyś, w wiele lat po tych lekturach, zapytałem Szymona Askenazego czy nie wie kim był polski korespondent Couriera. Askenazy spojrział na mnie bystro i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Był to mały, wychodzący na podwórze i dość ciemny po-



kój o zielonych obiciach. Stały w nim dwie szafy i półka, na której leżały teczki z rękopisami i notatkami mistrza. Po chwili Askenazy wrócił niosąc w ręku pierwszy tom listów Couriera i zeszyt pokryty drobnym, nieczytelnym pismem. Było to gotowe niemal do druku studium o Chlewaskim, przeznaczone do nowego tomu "Wczasów historycznych", który nie miał się już nigdy ukazać.

O Chlewaskim Askenazy znalazł materiały archiwalne, w których zachowały się między innymi jego listy do Couriera. Sam Chlewaski był jedną z najbardziej romantycznych i uroczych postaci końca XVIII-go wieku. Urodzony na Wołyniu, był najstarszym, nieślubnym synem ks. Czartoryskiego, generała ziem podolskich. Ojciec, nie ujawniając nazwiska matki, dał mu nazwisko Klewański, pochodne od nazwy miasteczka Klewań, miejsca urodzenia późniejszego przyjaciela Couriera. Przywiązany do swego pierwszego syna, generał ziem podolskich, nie mogąc zostawić mu ani imienia ani majątku, postanowił dać mu coś, co według ówczesnych pojęć miało najwyższą wartość, mianowicie najstaranniejsze i najwszechstronniejsze wykształcenie. Stąd fantastyczna "erudycja" i szerokość zainteresowań Chlewaskiego, o których wspominają Courier i Armand Carrel.

Jako nieślubny syn znakomitego ojca, Klewański czuł się zobowiązany do dyskrekcji. Ambicją jego było — korzystając ze wszystkich uprawnień do "véritable vie de l'esprit" — przejść przez życie jak życzliwy i dobroczynny cień i potem zniknąć bez śladu. W końcu życia wycofał i zniszczył korespondencję z licznymi przyjaciółmi. Nie mogąc przeszkodzić ogłoszeniu listów pisanych doń przez Couriera, postarał się o zniekształcenie w nich swego nazwiska.

"Monsieur Chlewaski" nie znikł jednak całkowicie. Duch jego zdaje się być wciąż czynny, wciąż zajęty zacieraniem śladów po swej ziemskiej egzystencji. W rok po śmierci Askenazego dowiedziałem się od jego żony, że notatki jej męża o Chlewaskim znikły w niewytłumaczony sposób, i wszelkie poszukiwania ich pozostały bez skutku.

**Paweł HOSTOWIEC.**

## Marx, Palmerston i sprawa polska

Konflikt, który wywołał wojnę krymską, był jednym z podstawowych konfliktów polityki mocarstw XIX wieku, ale sama wojna wybuchła wbrew woli dwóch głównych antagonistów, Wielkiej Brytanii i Rosji.

Przyczyną konfliktu była ekspansja Rosji w kierunku na Bałkany i Konstantynopol. Ekspansję tę Mikołaj I uważał za jeden z głównych celów swojej polityki. Rosja była już bardzo bliska osiągnięcia tego celu w r. 1833, kiedy traktat w Unkiar Skelessi dawał jej beżmała protektorat nad Turcją, poważnie podówczas zagrożoną buntem Mehemeta Alego. Nie dane jej było jednak spożywać owoców tego dyplomatycznego zwycięstwa. Mocarstwom udało się wtedy Turcję spod rosyjskiego protektoratu uwolnić.

Po roku 1849 napór rosyjski na Turcję znowu się wzmógł. Polityka cara w Europie była wtedy szczególnie mocna. Rewolucja ominęła jego państwo. Swoją zbrojną interwencją złamała rewolucję węgierską i ocalił monarchię austriacką. Mógł się spodziewać, że osłabiona świeżymi wstrząsami i upokorzona Austria będzie zmuszona tym razem biernie przypatrywać się jego bałkańskiej ekspansji. Prawdziwych współzawodników w swej polityce tureckiej miał car na Zachodzie, we Francji i w Wielkiej Brytanii. Napoleon III szukał egzotycznych terenów akcji dyplomatycznej i okazji do sukcesów wojennych, które by go otoczyły i na szerokim świecie, i we Francji samej glorią dziedzica tradycji napoleońskiej. Przy całej jednak awanturności swojej polityki, na wojnę z Rosją sam na sam Napoleon III nigdy by się nie wazył. Gotów był pójść tylko na wojnę koalicyjną przeciwko Rosji, prowadzoną razem z Wielką Brytanią.

Wielka Brytania zaś do takiej wojny wcale się nie kwapiła. I nie paliła się do niej Rosja. Zasadą polityki Mikołaja I było zdobycie na Turcji maksimum tego, co zdobyć można, bez prowokowania Anglii do zbrojnego konfliktu. W latach czterdziestych idealne rozwiązanie car widział we wspólnej akcji w Turcji Rosji i Anglii. W r. 1844, kiedy ministrem spraw zagranicznych w konserwatywnym gabinecie Peela był rusofil, lord Aberdeen, postanowił on wysondować w tym kierunku grunt londyński w czasie swej wizyty angielskiej. Anglicy nie podjęli jednak dyskusji. Skończyło się na ogólnikach, ale przyjaznych ogólnikach<sup>1)</sup>.

1) Opinia Tarlego w jego książce *Krymska wojna*, Moskwa 1944, t. I, str. 78, jakoby Peel rozstrzygał wtedy projekty podziału Turcji,



Toteż kiedy w r. 1853 rządy w Wielkiej Brytanii objęła koalicja konserwatystów grupy Peela i whigów pod wodzą tegoż właśnie Aberdeena, car mógł myśleć, że znajdzie w Londynie dla swojej polityki ekspansji w Turcji atmosferę jeśli już nie przychylną, to przynajmniej taką, która by mu nie groziła jakimiś niebezpiecznymi konsekwencjami. Mógł tak sądzić tym bardziej, że lord Palmerston, uważany w Petersburgu za szczególnie niebezpiecznego wroga, został tym razem dzięki sprzeciwowi królowej Wiktorii przynajmniej formalnie odsunięty od kierownictwa brytyjską polityką zagraniczną. Dano mu tekę spraw wewnętrznych, Home Office. Miał więc car prawo uważać, że sytuacja dyplomatyczna układa się dla niego podówczas także i od strony londyńskiej szczególnie pomyślnie. Jak świadczył jego rozmowa z amb. Seymourem z początku 1853 r., Mikołaj próbował także i wtedy uzgodnić z Anglią plany wspólnej akcji w Turcji.

Jest rzeczą prawdopodobną, że gdyby decyzja zależała naprawdę od lorda Aberdeena, Mikołaj i mógłby się daleko posunąć w swoich planach zdobywczych, nie natrafiając na zdecydowany odpór brytyjski. Decyzje te były jednak w ręku nie tylko Aberdeena i, co ważniejsze, zagrały tu siły, których Aberdeen nie przewidywał, i którymi nie potrafił pokierować. W Stambule ambasadorem brytyjskim był wtedy jeden z najznakomitszych dyplomatów angielskich XIX w., lord Stratford de Redcliffe, cieszący się olbrzymim autorytetem w Turcji, mający bardzo mocną pozycję w Londynie i będący zdecydowanym wyznawcą polityki silnej ręki wobec Rosji. On to będzie usztywniał politykę Porty wobec Petersburga i sprawi, że wszelkie próby cara osiągnięcia swoich celów politycznych drogą nacisków dyplomatycznych na Turcję — jak wiadomo, oficjalnym pretekstem była opieka nad miejscami świętymi w Palestynie — spełzną na niczym. Carowi przyjdzie uciec się do stosowania wobec Turcji siły.

W samym zaś Londynie spiritus movens polityki antyrosyjskiej był Palmerston. Formalnie odsunięty od spraw zagranicznych, zbyt dobrze znał się na nich i był zbyt silną indywidualnością, aby w naradach gabinetu głos jego nie miał dużej wagi. Po jego stronie stanął też lord John Russell, do lutego 1853 r. oficjalny kierownik brytyjskiej polityki zagranicznej, później minister bez portfelu.

Głos Palmerstona ważył tym więcej, że miał on za sobą niemalże całą opinię publiczną. Palmerston nie tylko doceniał rolę prasy i opinii publicznej, ale, co ważniejsze, umiał na tej opinii publicznej doskonale grać. Jego mowy parlamentarne były zawsze trochę mowami dla galerii. Wpływał też na prasę bezpośrednio drogą listów, kontaktów z dziennikarzami. W konflikcie, który miał przynieść wojnę krymską, grał na dwóch rejestrach: na sympatiach dla ruchów narodowościowych w Europie oraz na angielskiej dumie narodowej<sup>1)</sup>. Miał za sobą

liberałów, nienawidzących Mikołaja jako oporę europejskiej reakcji, główną przeszkodę na drodze urzeczywistnienia ideałów narodowych w Niemczech, w Polsce, na Węgrzech, i pociągał za sobą znaczny odłam torysów, czyniąc ze sprawy tureckiej sprawę honoru brytyjskiego, prestiżu Wielkiej Brytanii w świecie. Przeciwno sobie miał rusofilski odłam torysów, który nie cieszył się wielkim poparciem opinii, oraz różne grupy radykałów i radykalnych liberałów, którzy odnosili się do niego wrogo za jego niewątpliwy konserwatyzm społeczny, w nadchodzącej wojnie widzieli niebezpieczeństwo dla brytyjskiego handlu zagranicznego, na Turcję zaś patrzeli z niechęcią jako na zafobaną despotię wschodnią, skazaną na zagładę.

Oba te prorosyjskie odłamy były jednak bez wielkich wpływów. Przez kraj przeciągała wielka fala oburzenia na Rosję. Pociągnęła ona w końcu za sobą nawet początkowo prorosyjski i bardzo ostrożny "Times". Szczególnie silnie zareagowała brytyjska opinia publiczna jesienią 1853 r. na bitwę morską pod Synopą, kiedy to flota rosyjska zatopiła pod nosem Anglików tureckie okręty wojenne wraz z załogami. W prasie angielskiej zawrzało. Bitwę napiętnowano jako "masakrę", uznano ją za policzek, wymierzony Wielkiej Brytanii.

W oczach opinii publicznej sytuacja rysowała się tak: jest słaby, niezdecydowany rząd, nie umiejący godnie bronić interesów państwowych, i jest w tym rządzie jeden człowiek przewidujący, energiczny, mocny, dzierżący wysoko sztandar honoru narodowego ale, niestety, nie mający pełnej swobody ruchów, — Palmerston. Kiedy jesienią 1853 r. Palmerston na krótko zresztą wystąpił z gabinetu w rezultacie konfliktu, nie mającego — przynajmniej formalnie — nic wspólnego ze sprawą wschodnią, opinia widziała w nim ofiarę niecznych machinacji rusofilów. Wrócił do gabinetu jako triumfator. A już później, w trakcie wojny, kiedy opinię publiczną wstrząśnie świadomość, że kraj był do tej wojny nieprzygotowany, że jest ona prowadzona nieudolnie i że kosztuje dużo więcej — tak w ludziach, jak i w pieniądzu — niż to pierwotnie przypuszczano, ta sama opinia publiczna wyniesie w r. 1855 Palmerstona na stanowisko premiera. Będzie ona wtedy widziała w nim jedynego człowieka, zdolnego prowadzić wojnę w sposób stanowczy i energiczny. Zaś po wojnie przeciwnicy polityczni będą Palmerstonowi zarzucali, że wybuchła ona z jego winy, że 50.000 Anglików padło, aby zaspokoić jego ambicję.

Ale wszystko to jest jeszcze sprawą przyszłości. Tymczasem, w r. 1853, sytuacja wyglądała tak, że premier, który chciałby pójść na kompromis z Rosją a wojnę uważa za wielkie nieszczęście, będzie ustępował po niewoli przed Palmerstonem, mającym za sobą przeważającą część roznamietnionej opinii publicznej.

Ta właśnie sprzeczność między polityką premiera Aberdeena a polityką Palmerstona okazała się dla cara szczególnie groźna. Aberdeen bowiem wielokrotnie zapewniał ambasadora rosyjskie-

nie ma podstaw źródłowych. Por. w tej sprawie G. H. Bolsover, *Nicolas I and the Partition of Turkev*, Slavonic Review, t. XXVII (1948), str. 132.

1) Istnieje specjalna, świetnie napisana książka, poświęcona przedstawieniu oddziaływania Palmerstona na opinię publiczną w przededniu wojny krymskiej: B. Kingsley Martin, *The Triumph of Lord Pal-*

merston, Londyn, 1924. — Książka ta, mimo że zajmuje się szczegółowo stosunkami prasy brytyjskiej do Palmerstona w r. 1853, artykuły Marxa zupełnie zlekceważyła. Wspomina je tylko raz, i to przelotnie, w przypisku do str. 51, jako dowód obok mów Kossutha, że Palmerston był przez rewolucjonistów tak samo znienawidzony, jak i przez ich wrogów.



go Brunnowa, że jest jak najlepiej usposobiony dla cara i robi wszystko co może, aby konflikt załatwić polubownie. Uspakajany raportami swego ambasadora car uważał, że mu ze strony brytyjskiej żadne istotne niebezpieczeństwo nie grozi, że może sobie w konflikcie z Turcją pozwolić na bardzo dużo. A równocześnie każde jego nowe posunięcie przeciwko Turcji podsycało ogień oburzenia angielskiej opinii publicznej. Silny poparciem tej opinii Palmerston mógł coraz energiczniej preferować swoją politykę stanowczego przeciwstawiania się dalszej ekspansji rosyjskiej.

Ta fatalna w konsekwencjach dla cara sprzeczność między poglądami Aberdeena a Palmerstona kazała historykowi sowieckiemu Tarlemu w jego dziele o wojnie krymskiej, pisanym w latach 1939 — 1941, a więc w latach dobrych stosunków niemiecko-rosyjskich, wystąpić pod adresem ówczesnej polityki brytyjskiej z zarzutem, że nieporozumienia między Aberdeensem a jego ministrem spraw wewnętrznych były tylko pozorne, że były jedynie grą, ukartowaną w tym celu, aby łatwowiernego cara Mikołaja I wciągnąć w pułapkę<sup>1)</sup>. Bardzo łatwo, z od dawna znaną korespondencją Aberdeena w rękę, dowieść, że pogląd ten jest fałszywy<sup>2)</sup>.

Na przeciwnym stanowisku stanął nieżyjący już dziś znakomity historyk angielski, Harold Temperley. Wojna krymska była wojną, która pociągnęła za sobą dużo ofiar, wlokła się długo, kosztowała drogo, a przyniosła skromne rezultaty. Stąd nie jest ona w historiografii brytyjskiej popularna. Toteż Temperley starał się w specjalnych rozprawach i w swojej książce "England and the Near East. The Crimea" (1936) oczyścić od zarzutu świadomego sprowokowania wojny przede wszystkim lorda Stratforda de Redcliffe, w historiografii rosyjskiej od dawna uznanego za złego ducha ówczesnej dyplomacji brytyjskiej, a także i Palmerstona. Jeśli idzie o Palmerstona, ma on o tyle rację, że jak to z ogłoszonych dziś dokumentów wiemy, nie był on wcale entuzjastą wojny dla wojny. Gdy jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych nasuwała się możliwość rozładowania konfliktu w drodze rokowań dyplomatycznych, na możliwość tę chętnie się godził. Uważał on jednak, że trzeba koniecznie powstrzymać ekspansję rosyjską czy to w drodze dyplomatycznej, czy — jeśli ta zawiedzie — z bronią w rękę.

W każdym bądź razie dla ówczesnej opinii publicznej, która w bieżącą korespondencję dyplomatyczną nie miała wglądu

1) Krymska wojna, zob. zvl. t. I, Moskwa 1944, str. 156 - 7.

2) O różnicy zdań w gabinecie brytyjskim zob. Kingsley Martin, j. w., str. 111 - 112. O stosunku Aberdeena do nadchodzącej wojny zob. zvl. H. Temperley, England and the Near East, The Crimea, Londyn 1936, str. 352, oraz H. C. Bell, Lord Palmerston, Londyn 1936, t. II, str. 85. O tendencji książki Tarlego i jego przedstawieniu polityki brytyjskiej w przededniu wojny krymskiej szerzej pisałem w *Blaskach i nędzach dziejów życia prof. Tarlego*, Teki Historyczne, t. II (1948), str. 125 - 130. — Zarzut Tarlego ma pewne uzasadnienie jedynie w odniesieniu do ostatnich tygodni przed wypowiedzeniem wojny. W liście Palmerstona do Aberdeena — z 2 listopada 1853 — ob. Kingsley Martin, j. w., str. 162 — czytamy: "Będzie dla nas rzeczą bardzo cenną, jeśli w stosunkach z Brunnowem utrzymamy tajemniczą nieokreśloność i niepewność co do rodzaju i stopnia pomocy, jakiej Anglia i Francja uznają za stosowne udzielić Turcji".

du, Palmerston był sztandarowym wyrazicielem polityki antyrosyjskiej, polityki silnej ręki.

I oto przeciwko temu to człowiekowi ukazało się niemal że w przeddzień wypowiedzenia wojny, w pełnych napięcia miesiącach jesiennych 1853 r., w chartystowskim tygodniku "People's Paper" osiem artykułów, oskarżających go, że tylko udaje antyrosyjskość, a w gruncie rzeczy jest posłusznym narzędziem polityki rosyjskiej. Większość tych artykułów pojawiła się także w wielkim dzienniku amerykańskim "New York Tribune". Dwa z nich wyszły również drukiem jako oddzielne broszury, "fly - sheets". W znacznym skrócie i przebudowane pojawiły się te artykuły w r. 1855 we wrocławskiej "Neue Oder Zeitung". W "People's Paper" były one podpisane imieniem i nazwiskiem autora — Karl Marx.

Artykuły te stanowią fragment bardzo obfitej działalności publicystycznej Marxa z lat pięćdziesiątych, która po dziś dzień jest kopciuszkami w jego spuściźnie pisarskiej i znana jest w wydaniach książkowych tylko w wyborze. Cykl artykułów o Palmerstonie jest o tyle uprzywilejowany, że w r. 1899 ukazał się on w opracowaniu córki Marxa, Eleonory Aveling, w osobnym wydaniu książkowym. Znaleźć je też można w przekładach wyboru publicystyki Marxa na języki francuski i niemiecki. W tłumaczeniu rosyjskim dostępne są one tylko w tomie X starego wydanie dzieł Marxa i Engelsa, opracowanego przez D. Riazanowa i ogłoszonego jeszcze w r. 1924. Z końcem lat dwudziestych bolszewicy przystąpili, jak wiadomo, do wydawania z jak najprecyzyjniejszym aparatem naukowym dwóch wielkich edycji dzieł Marxa i Engelsa, jednej w oryginałach, a drugiej w przekładzie rosyjskim. Z czasem wydania Marxa i Engelsa w oryginałach zaniedbali, natomiast wydanie rosyjskie jest dzisiaj, po wojnie, niemal że gotowe. Niemal, ale nie ze wszystkim. Brak mu bowiem właśnie tomów z publicystyką Marxa z lat pięćdziesiątych (włączając w to i serię artykułów o Palmerstonie). Tomy te nigdy nie ukazały się także w wydaniu pism Marxa i Engelsa w oryginałach. I wolno wątpić czy mimo całego oficjalnego pietyzmu rosyjskiego dla Marxa w ogóle się ukażą.

Dla uzasadnienia tych wątpliwości wystarczy przytoczyć początek zśostego artykułu o Palmerstonie. Brzmi on:

"Słowo honor nie istnieje w języku rosyjskim. A samo pojęcie uważane jest za francuskie urojenie. "Co takiego 'honneur', to francuska chimera" — mówi rosyjskie przysłowie. Za wynalezienie rosyjskiego honoru świat jest zobowiązany wyłącznie lordowi Palmerstonowi, który w ciągu ćwierćwiecza miał zwyczaj przysięgania w najuroczystszy sposób na 'honor' cara"<sup>1)</sup>.

Kiedy indziej, w czwartym artykule, przytaczając wypowiedziane w Izbie Gmin słowa Palmerstona, który w odpowiedzi na pogłoski, że Rosja chce przenieść swą stolicę do Konstantynopola, dał wyraz wątpliwościom, czy "naród rosyjski byłby gotów na takie przeniesienie siedziby władzy, stolicy i dworu", Marx stawia od siebie ironiczny nawias: "Just think of a Russian

1) *The Story of Lord Palmerston*, Londyn 1899, str. 53. — W wydaniu książkowym rzekome przysłowie przytoczone jest w fantastycznej ruszczyźnie "Schto takoi honneur? Ett Francusski chimere". Języka rosyjskiego nauczył się Marx dużo później, w latach sześćdziesiątych.



nation" — "Pomyśleć tylko, jakiś naród rosyjski"<sup>6)</sup>. Wstręt dawał wyraz zdziwieniu Marxa, że ktoś może uciec się do tak naiwnego argumentu, jak powoływanie się na "jakiś naród rosyjski" jako podmiot woli politycznej.

Oto dlaczego publicystyka Marxa z owych lat jest czymś tak kłopotliwym dla bolszewików dzisiaj. Technie ona nie tylko nienawiścią do caratu, ale także i fanatyczną nienawiścią do wszystkiego co rosyjskie w ogóle. Jeśli by zaś miało się koniecznie przeprowadzać rozróżnienia między stosunkiem Marxa do caratu z jednej, a narodu rosyjskiego z drugiej strony, różnice te wyrażałyby się tylko w tym, że caratu Marx nienawidził (jakkolwiek w nienawiści tej dźwięczy nuta pewnego podziwu dla energii, bezwzględności i złości, z jaką przeprowadzał on swoją politykę), natomiast Rosjanami podówczas gardził, uważając ich za naród barbarzyński, biernie znoszący rządy despotyczne (później przyjdzie mu sąd ten zmienić). A taką pogardę jeszcze trudniej wybaczyć niż nienawiść.

Studium Marxa zaczyna się od charakterystyki Palmerstona jako człowieka i polityka. Literacko jest to najciekawsza część całej broszury i jeden z najlepszych przykładów inwektyw politycznej Marxa. Napisana jest z nerwem, błyskotliwie, żywo. Uderza w niej — jak i we wszystkich artykułach — obfitość aluzji literackich: do Falstaffa, Pickwicka, Fausta, Pindara, postaci z Ariosta. Palmerston został tu przedstawiony jako cyniczny żongler polityczny, mistrz w sztuce wprowadzania opinii w błąd, zacierania po sobie śladów. Zdaniem Marxa pozuje on tylko na liberała, obrońcę demokracji, wroga państw autokratycznych, w rzeczywistości zaś jest cynicznym reakcjonistą, chytrze i od dawna wysługującym się najgroźniejszej, najdrapieżniejszej z autokracji — rosyjskiej. Studium ma właśnie na celu zdemaskowanie go. Materiału po temu szuka Marx w starych sprawozdaniach parlamentarnych, Hansardach, które też dla tego celu wertował, ale główne myśli zaczerpnął — jak zobaczymy — gdzie indziej.

Palmerston był politycznym liberałem, bardzo jednak konserwatywnym w swoich poglądach społecznych. Kiedy w parlamencie zaproponowano ustawowe ograniczenie długości dnia roboczego, zaprotestował. Starczyło mu na tyle humanitaryzmu, aby zgodzić się na zakaz pracy dzieci w wieku od 8 do 12 lat przed 6 rano i po 6 wieczorem. Kazać wychodzić takim dzieciom do pracy o piątej czy wpół do szóstej rano, zwłaszcza w zimie i zwłaszcza kiedy mają czasem po 3 — 4 mile do przebycia od miejsca zamieszkania do miejsca pracy, byłoby — przynajmniej — rzeczą nieludzką. Trzeba też — tłumaczył — wziąć pod uwagę "niezwykle dużą śmiertelność wśród dzieci robotników fabrycznych". Przeciwno jakiemukolwiek jednak ograniczaniu godzin pracy robotników dorosłych protestował, i to właśnie w imię interesu — robotników. Robotnik — dowodził — ma prawo pracowania tak długo czy tak krótko jak mu się tylko żywnie podoba. Jest przecież wolnym człowiekiem. Wszelka interwencja ustawodawcy w te sprawy byłaby ograniczeniem jego wolności<sup>2)</sup>.

Wystąpienie Palmerstona w sprawie ustawodawstwa pracy miało miejsce 5 czerwca 1853 r. Artykuły o Palmerstonie pisał

1) The Story, j. w., str. 44.

2) Hansard, Parliamentary Debates, t. CCXVIII, kol. 1264.

Marx jesienią tegoż roku. Wydawałoby się więc, że powinien je mieć świeżo w pamięci. I wydawałoby się, że kto jak kto, ale właśnie on, który z taką pasją będzie w "Kapitale" piętnował wyzysk robotnika fabrycznego w Anglii, powinien być na tego rodzaju cynizm szczególnie wrażliwy i szczególnie ostro nań reagować.

Spotka nas zawód. Owszem, Palmerston jest dla Marxa czarnym reakcjonistą. Wypomni mu, z jakim niefrasobliwym cynizmem umiał prześlizgnąć się w debatach nad nędzą chłopów irlandzkich, wypomni mu też, że jako torysowski minister wojny bronił obecności na ziemi angielskiej zwyciężonego wojska niemieckiego, w którym to wojsku radykałowie widzieli niebezpieczeństwo dla brytyjskich swobód parlamentarnych, — ale wszystko to zrobi tylko króciutko, przelotnie. O cynicznym wystąpieniu Palmerstona przeciwko ustawodawstwu pracy ani nie wspomni.

Spieszno mu bowiem do innej rozprawy, do zaatakowania polityki zagranicznej Palmerstona. Palmerston został ministrem spraw zagranicznych w whigowskim gabinecie Grey'a w r. 1830 i od tego czasu był, nie licząc pięciolecia 1841 — 1846, niemal że bez przerwy odpowiedzialny za brytyjską politykę zagraniczną. Materiału więc Marxowi nie brakło. Z tego bogatego materiału wybrał on jednak tylko dwa zagadnienia. W artykułach mamy co prawda złośliwe aluzje do interwencji Palmerstona w Hiszpanii i w Portugalii, ale sprawy te poruszone zostały w nich tylko pobieżnie, marginesowo. Całą uwagę skupił Marx na stosunku Palmerstona do sprawy polskiej i do Turcji. Na tych dwóch odcinkach przypuścił główny atak.

Polityce polskiej Palmerstona poświęcony jest trzeci artykuł, który ukazał się w "People's Paper" 5 listopada 1853 r. i który został ponadto wydany w osobnej broszurze przez Tuckera.

"Szlachetny lord — czytamy tam — jest powszechnie znany jako rycerski obrońca Polaków". Wielokrotnie dawał on wyraz swoim sympatiom dla Polaków, rok rocznie przyjmuje delegacje w sprawie polskiej. Wszystko to — dowodzi Marx — jest tylko obłudną maską. W rzeczywistości Palmerston dla sprawy polskiej nic nie zrobił. Przeciwnie, sprawie tej tylko w Anglii szkodził. Nie zdobył się na żadną pomoc w czasie powstania 1830 - 31 roku, nie interweniował potem, kiedy wojska czy to rosyjskie, czy trzech państw zaborczych okupowały Wolne Miasto Kraków, nie chciał — mimo że go do tego w Izbie Gmin nawoływano — ustanowić w Krakowie urzędu stałego brytyjskiego agenta konsularnego, a kiedy ostatecznie, w r. 1846, Kraków został wcielony do Austrii, ograniczył się do głoślowego i słabego protestu.

W jakiej mierze obraz ten odpowiada rzeczywistości? — W świetle znanych nam dzisiaj dokumentów, przede wszystkim korespondencji Palmerstona, nie trudno na to pytanie odpowiedzieć<sup>1)</sup>. Palmerston żywił naprawdę dużo sympatii dla Pola-

1) Najtrafniej i najprecyzyjniej ujął stosunek Palmerstona do sprawy polskiej Józef Feldman w znakomitym studium U podstaw stosunków polsko-angielskich, 1788 - 1863, ogłoszonym w t. I "Polityki Narodów" z r. 1933. Zob. zwł. zeszyt 3 (marzec), str. 11 - 12, 19, 46 - 47, i zeszyt 4 (kwiecień), str. 47 - 48. — Zob. też Henryk Wereszycki, Anglia a Polska w latach 1860-1865, Lwów 1934, str. 12-13.



ków i sprawy polskiej. Książę Adam mógł dla swojej korespondencji politycznej korzystać z angielskiej poczty dyplomatycznej. Ułatwiał wyjazd na Bliski Wschód polskich agentów dyplomatycznych, dorywczo też zatrudniał na Wschodzie Polaków. W ogóle w różnych drobnych sprawach szedł Polakom na rękę. Ale od tej, prywatnej niejako, życzliwości do propozycji posunięć politycznych było daleko. Palmerston uważał, że Anglia nie jest politycznie zainteresowana w niepodległości Polski i że dlatego polityki angielskiej w sprawę polską wciągać mu nie wolno. Dosadnie sformułował ten paradoks stosunku Palmerstona do Polaków Stanisław Koźmian, pisząc o nim, że "jeśli w mundurze był Moskałem, to w cywilnej sukni stawał się dobrym Polakiem" <sup>1)</sup>.

Po upadku powstania sławna księżna Lieven, żona ambasadora rosyjskiego, nadaremnie protestowała przeciwko przyjęciu przez Palmerstona ks. Adama Czartoryskiego. Ale też ta sama księżna Lieven będzie musiała przyznać, że stosunek Palmerstona do powstania był z rosyjskiego punktu widzenia bez zarzutu. Prawdą jest też, że Palmerston nie chciał energicznie protestować przeciwko wcieleniu do Austrii Krakowa, i to nawet wbrew premierowi Russellowi, który gotów był tym razem do ostrzejszych wystąpień <sup>2)</sup>. Podobnie nie mieli Rosjanie żadnych powodów do skarg w r. 1848. Palmerston obiecał Nesselrodemu, iż mimo sympatii angielskiej opinii publicznej dla Polski zachowa w sprawie polskiej neutralność, i dotrzymał obietnicy <sup>3)</sup>.

"Madame Lieven wywierała wielki wpływ na lorda Grey'a i nalala dużo wody do mojego wina, podczas gdy w Petersburgu nieokielzana próżność Durhama <sup>4)</sup> i jego żądza dobrych stosunków z dworem rosyjskim zupełnie zakneblowały mu usta jako naszemu rzecznikowi w sprawie polskiej. Dlatego to, sędzę, nie postawiliśmy się jak należy w owych czasach, jeśli idzie o nasz język i kierunek polityki" <sup>5)</sup> — pisał Palmerston z czasem o swoim stosunku do sprawy polskiej z owych lat.

Słowa te pisane były w r. 1863. Księżny Lieven nie było już wtedy między żywymi, Palmerston jako premier rządu miał w swym ręku ster polityki brytyjskiej, a Polska znajdowała się właśnie w innej wojnie powstańczej z Rosją. Zdawałoby się więc, że tym razem wino Palmerstona powinno być mocniejsze. Ale i wtedy sympatie jego nie na wiele się sprawie polskiej przydały. Polityka jego w sprawie polskiej była i wtedy słaba, ostrożna, niezdecydowana <sup>6)</sup>.

Widzimy zatem, że chociaż Marx mylił się, jeśli szło o moty-

1) Anglia i Polska, t. I. Poznań 1862, str. 56.

2) M. Handelsman, Adam Czartoryski, Warszawa 1949, t. II, str. 193.

3) J. Feldman, Sprawa polska w 1848 r., Kraków 1933, str. 210.

4) Palmerstona zawiodła tu pamięć. Lord Durham został mianowany ambasadorem w Petersburgu już po upadku powstania, w r. 1832. Gorący obrońca sprawy polskiej w Londynie, w Petersburgu pracował nad zbliżeniem brytyjsko-rosyjskim. — Zob. J. Feldman, U podstaw, j. w., zeszyt 3, str. 41 - 42.

5) H. C. F. Bell, Lord Palmerston, Londyn 1936, t. II, str. 165; — z listu z 26 lutego 1863, pisanego w przeddzień wielkiej debaty Izby Gmin w sprawie polskiej. Fragment z podanego tu cytatu przytoczył również Wereszycki, j. w., str. 65.

6) O stosunku Palmerstona do powstania styczniowego zob. Bell, j. w., t. II, str. 343 - 352 i przytoczoną wyżej książkę Wereszyckiego.

wy psychologiczne polskiej polityki Palmerstona, nie mylił się co do istoty tej polityki, co do tego mianowicie, że była to polityka szlachetnych słów, nie mających pokrycia w czynach. Nic też dziwnego, że zarzuty Marxa zbiegały się z oskarżeniami publicystyki emigracyjnej, takimi jak gwałtowna odezwa demokratów z r. 1846 "Poland. The Seizure of Cracow" czy paryska broszura z r. 1863 gen. Macieja Rybińskiego "La Pologne et Lord Palmerston", która upatrywała w Palmerstonie systematycznego szkodnika sprawy polskiej.

Marx zarzucał także Palmerstonowi, iż działał na szkodę emigrantów polskich w Anglii, powołując się tu na jego wystąpienie w debacie Izby Gmin z 25 marca 1834 nad wnioskiem płk. Evansa o przyznanie zapomogi uchodźcom polskim <sup>1)</sup>. — Rzeczywiście, Palmerston wnioskowi Evansa się sprzeciwił, uważając, iż stworzyłby on kłopotliwy precedens, ale trzeba też stwierdzić, iż to jego wystąpienie wcale nie było typowe dla jego stosunku do emigracji polskiej. Wręcz przeciwnie. Oto świadectwo Stanisława Kuźmiana:

"Czy to przez zgrzyoty sumienia, czy przez popęd dobrośliwego serca starał się on nagradzać prywatnie za to, że publicznie krępował postęp naszej sprawy. Licha to nagroda, ale mówię o człowieku, nie o ministrze. Dla Polaków przystęp do niego był najłatwiejszy; troskliwie wypytywał się o stan naszego kraju; wzywał pomyślniejszych okoliczności; szturmował do ministra skarbu o żołąd dla wygnańców; z prywatnej swej kasy biegł używać pomocy w nagłych i nadzwyczajnych zdarzeniach, imieniem swoim pozwalał wojować po afiszach, ogłaszających zabawy na rzecz uchodźców... Dawał Polakom prace i hojnie płacił, wysyłał ich w tajemniczych misjach; w Turcji utrzymywał oficerów naszych kosztem angielskim" <sup>2)</sup>.

Ubocznie zahacza jeszcze o sprawy polskie inny zarzut, jaki Marx Palmerstonowi w artykułach swoich postawił, zarzut kłuczenia i złej woli w sprawie opublikowania kompromitujących Rosjan dokumentów — "Portfolio".

Szło tu o dokumenty, które były w posiadaniu wielkiego księcia Konstantego w Warszawie, wpadły w ręce powstańców, zostały przez Czartoryskiego przewiezione na emigrację, a następnie z polecenia Władysława Zamoyskiego wręczone przez Małachowskiego Palmerstonowi. Palmerston przetrzymał je około roku, po czym wróciły one do Władysława Zamoyskiego, który z kolei przekazał je Davidowi Urquhartowi, świeżo mianowanemu sekretarzowi ambasady brytyjskiej w Konstantynopolu, będącemu wtedy na wyjeździe do Turcji. Urquhart zdażył jeszcze przed swoim wyjazdem zająć się publikacją tych dokumentów. Ukazały się one w specjalnie dla tego celu stworzonym periodyku "Portfolio".

Ogłoszenie tej korespondencji, przynoszącej różne niedyskrecje oraz obelżywe określenia pod adresem polityków europejskich, wywołało w świecie wielką sensację. Wkrótce potem Urquhart za inne swoje postęпки został przez Palmerstona zwolniony ze służby dyplomatycznej. Mszcząc się, ogłosił wtedy, że

1) Thy Story, j. w., str. 25. Wystąpienie Palmerstona: Hansard, Parliamentary Debates, t. XXII, kol. 654 - 656. — Por. też o debacie u Koźmiana, j. w., t. I, str. 54.

2) J. w., str. 56.



prawdziwym inicjatorem wydania "Portfolia" był Palmerston. Wybuch skandalu. Palmerston złożył uroczyste zaprzeczenie.

Ogłaszanie cichcem dokumentów, kompromitujących Rosję, nie bardzo przystawałoby do człowieka, który miał być rzekomo narzędziem polityki rosyjskiej. Toteż u Marxa znajdujemy nieco inne wytłumaczenie afery, zgodne zresztą z tym, jakie wysunął potem i sam Urquhart.

Ogłaszanie cichcem dokumentów, kompromitujących Rosję, odbyło się przy uczestnictwie Palmerstona, który jednak nie zrobił tego dobrowolnie, lecz przymuszony przez znanego ze swej antypatii do Rosji króla Wilhelma IV. Gdy tylko król w r. 1837 umarł, Palmerston umył ręce, odciął się od całej imprezy.

W świetle danych, jakimi dysponujemy dzisiaj, wiadomo, że Palmerston o całej imprezie był poinformowany. Wiemy, że kiedy 12 listopada 1835 r. podsekretarz stanu, Strangways, przedstawił mu dwa dokumenty, miał wątpliwości czy w ogóle warto je wydawać, i domagał się, aby — gdyby już miały być wydane — usunięto z nich drażliwe ustępy. Przy innej okazji uznał, iż będzie rzeczą "bardzo pożyteczną" wydrukowanie przedstawionego mu dokumentu ("I think it would be very useful to publish the whole of this dispatch"). Sam Strangways był dużo bardziej włączony w aferę. Doradzał on jednak wydanie dokumentów poza granicami Anglii, tak aby nie budzić podejrzeń. Inicjatywa wydawania ich w periodyku, i to w Londynie, należy do Urquharta, może także i Polaków. Opowiadanie zaś, jakoby król miał przymuszać Palmerstona do podejmowania wydania, trzeba włożyć między bajki<sup>1)</sup>. Zmysł rzeczywistości politycznej zawiódł tutaj Marxa.

Zawiódł go jeszcze bardziej przy ocenie polityki tureckiej Palmerstona.

Marx ma przede wszystkim za złe Palmerstonowi, że był w dawnych latach filhellenem: "Powtarzał wiernie wszystkie hasła, puszczane w ruch przez Rosję, na temat okrucieństw tureckich, cywilizacji greckiej, wolności sumienia, chrześcijaństwa" — wspomina mu w swych artykułach<sup>2)</sup>. Tylko za cichą zgodą Palmerstona — dowodzi Marx — mogły się pojawić w lutym 1833 r. pod Konstantynopolem flota i wojsko rosyjskie. Pisząc o tym, Marx wpada w styl patetyczny: "Wiekowe marzenie Rosji zostało nareszcie spełnione. Barbarzyńca znad mroźnych brzegów Nowy trzymał w swoim ręku pełne przepychu Bizancjum i obla- ne słońcem wybrzeże Bosforu"<sup>3)</sup>.

Palmerston — tłumaczy Marx dalej — wiedział od samego początku o tajnych klauzulach traktatu rosyjsko-tureckiego z r. 1833, zawartego w Unkiar Skelessi. Postarał się umyślnie o to, aby w momencie gdy traktat ten podpisywano, nie było w Konstantynopolu niewygodnego świadka, ambasadora brytyjskiego. Kiedy zaś wiadomości o tych klauzulach zaczęły do Londynu przeciekać, uspakajał Izbę Gmin fałszywymi zapewnieniami. Co więcej, gdy David Urquhart opracował projekt korzystnego dla Wielkiej Brytanii traktatu handlowego z Turcją, Palmerston już po usunięciu Urquharta ze służby zmienił jego klauzule na in-

1) Sprawę wydania "Portfolia" najdokładniej przedstawił Sir Charles Webster w rozprawie Urquhart, Ponsonby and Palmerston, English Historical Review, t. LXVIII (1947), str. 332 - 337.

2) The Story, j. w., str. 16 - 17.

3) Thy Story, j. w., str. 37.

ne, korzystniejsze dla Rosji. Nie przeciwdziałał temu, że Rosja wbrew przepisom traktatowym owdądnęła ujściem Dunaju i ustanowiła tam swoją komorę celną. Nie umiał też przeszkodzić zdobyciu przez Rosję Kaukazu. W głośnej aferze żaglowca Vixen, skonfiskowanego przez Rosjan w Suczuk Kale, nie potrafił obrońcy honoru flagi brytyjskiej, połknął obelgę, sprawę zatuszował.

Trudno wchodzić tutaj w szczegółową analizę wszystkich zarzutów Marxa. Trzeba tylko powiedzieć, że obraz tureckiej polityki Palmerstona jest w przedstawieniu Marxa — inaczej niż obraz jego polskiej polityki — karykaturą rzeczywistości. Obronę Turcji przed zakusami rosyjskimi Palmerston uważał za sprawę bardzo żywotną. W swej mowie z 11 lipca 1833 r. stwierdzał, że "Caołość i niezależność imperium ottomańskiego są niezbędne dla zachowania spokoju, wolności i równowagi sił w reszcie Europy"<sup>1)</sup>. Po traktacie w Unkiar Skelessi polityka jego nabiera wyraźnego charakteru antyrosyjskiego. Właśnie ten traktat stał się dla niego rodzajem sygnału na trwogę. Znakomity angielski historyk kwestii wschodniej, Harold Temperley, tak ujmuje znaczenie tego traktatu w polityce brytyjskiej: "Unkiar Skelessi jest prawdziwym punktem zwrotnym, jeśli idzie o stosunek do Rosji brytyjskich mężów stanu. Zrodził on w Palmerstonie fatalną wrogość wobec Rosji i nawet whigów nawrócił na torysowską politykę popierania Turcji"<sup>2)</sup>.

Przykładów tej wrogości Palmerstona w jego wypowiedziach i listach co niemiara. Oto jak np. pisał w r. 1836 do Wiednia, że Rosja jest "mocarstwem dość silnym na to, aby było groźne, ale nie na tyle silnym, aby się mu nie można było przeciwstawić, państwem, którego ambicje są jeszcze większe niż siła, którego chętność jest nie mniejsza niż ambicje i które wyzyskuje małoduszne ustępstwa swoich sojuszników na to, aby co dzień wzmacniać się ich kosztem i dla ich przyszłej szkody"<sup>3)</sup>.

Sfalszowanie perspektyw u Marxa wynikało przede wszystkim z tego powodu, iż ignoruje on fakt, że w walce o wpływy w Turcji i o dziedzictwo tureckie było nie dwóch, ale trzech współzawodników. Wielka Brytania ścierała się tutaj nie tylko z Rosją, ale i z Francją, jak to zwłaszcza pokazała wojna z Mehemetem Alim w latach 1839 — 1840<sup>4)</sup>. Oczywiście, musiało to bardzo komplikować obraz rozgrywek dyplomatycznych. Mimo wszystkich jednak komplikacji trzeba stwierdzić, że polityka turecka Palmerstona, chwilami ostrożna, ale na ogół

1) H. Temperley, England and the Near East. The Crimea, Londyn 1936, str. 73. — Wyraźne echo tej mowy znajdujemy w następującym sformułowaniu Marxa: "For half a century one phrase has stood between Russia and Constantinople — the phrase of the integrity of the Turkish Empire being necessary to the ballance of power" — The Story, j. w., str. 18.

2) England and the Near East, j. w., str. 74.

3) Temperley, j. w., str. 75.

4) O tym, jak ten antagonizm zaciążył na stosunku Palmerstona do sprawy polskiej, zob. Handelsmana, Adam Czartoryski, t. II, Warszawa 1949, str. 86 - 87.



zręczna, umiała skutecznie powstrzymać zapędy rosyjskie na Bliskim Wschodzie<sup>1)</sup>. Nic dziwnego, że rosyjskiego ministra spraw zagranicznych, Nesselrodego, tak zaniepokoiła w r. 1846 wieść o powrocie Palmerstona do Foreign Office i że w trzy lata później zapewniał w poufnej korespondencji o swej nawiści do niego<sup>2)</sup>.

Jak Marx tłumaczył sobie motywy tej rzekomo stałe prorosyjskiej polityki Palmerstona? — Odpowiedź, jaką nam artykuły jego dają, jest tylko zasugerowana. Ale jest to odpowiedź bardzo niezwykła. Pewne mianowicie aluzje i niedopowiedzenia naprowadzają czytelnika na myśl, że Palmerston jest po prostu na żóldzie Rosjan. Już w pierwszym artykule czytamy, że podczas gdy jedni widzą w Palmerstonie niemal że rewolucjonistę, podejrzewają go o karbonaryzm, to istnieje i taka partia, która oskarża go o to, iż jest "na żóldzie Rosji (in the pay of Russia)"<sup>3)</sup>. Z artykułu piątego dowiadujemy się znów, że "rozgłaszany sojusz z Francją miał na celu ukrycie w tym momencie (1834) faktu jego tajnego pójścia w lenno rosyjskie (the secret infeoffment to Russia)"<sup>4)</sup>. W artykule szóstym nowa aluzja. Palmerston — czytamy tam — był przyrównywany do "haniebnego markiza de Carmarthen, sekretarza stanu za Wilhelma III, którego car Piotr I umiał podczas swej wizyty na dworze angielskim kupić dla swoich celów ziótem kupców angielskich"<sup>5)</sup>.

W prywatnej korespondencji był Marx dużo bardziej otwarty. "Choć ci się to może wydać dziwne — pisał do Engelsa 2 listopada 1853 r. — to jednak idąc dokładnie trop w trop za szlachetnym wicehrabią w ciągu lat dwudziestu, doszedłem do tego samego wniosku co monoman Urquhart — że Palmerston od wielu dziesięcioleci jest na żóldzie Rosji (dass Palmerston seit mehreren Dezennien an Russland verkauft ist)"<sup>6)</sup>.

W liście do Engelsa padło nazwisko Urquharta. Jest to ten sam Urquhart, który wydawał "Portfolio", który był spiritus movens afery staku Vixen i którego pełno jest w artykułach Marxa o Palmerstonie: Marx powołuje się na jego "Postępy

1) Warto też dodać, że niezasadnione są zarzuty Marxa, związane z traktatem handlowym brytyjsko-tureckim. Zdaniem Sir Charlesa Webstera traktat ten oznaczał "osiągnięcie najważniejszych celów brytyjskich i był wzorem, który inne państwa pośpiesznie skopiowały". Zob. jego *Urquhart, Ponsonby and Palmerston*, j. w., str. 348. Por. też Temperley, j. w., str. 37 - 38 i o krytyce Urquharta, str. 408.

2) Bell, j. w., t. II, str. 19.

3) *The Story*, j. w., str. 9.

4) *The Story*, j. w., str. 50.

5) *The Story*, j. w., str. 58.

6) Marx - Engels, *Gesamtausgabe*, III Abteilung, Bd. I. Berlin 1930 str. 511. — Marx pisał także w książce przeciwko Vogtowi o tym, że Urquhart podsunął mu myśl, iż Palmerston jest zaprzędany Rosji: "Urquharts Schriften über Russland und gegen Palmerston hatten mich angeregt, aber nicht überzeugt. Um zu einer festen Ansicht zu gelangen unterwarf ich Hansard's "Parliamentary Debates" und die Bluebooks von 1807 bis 1850 einer mühesamen Analyse. Die erste Frucht dieser Studien war eine Reihe Leitartikel in der "New York Tribune" (Ende 1853) wo ich Palmerston's Zusammenhang mit dem Petersburger Kabinet auf seinen Transaktionen mit Polen, der Türkei, Zirkassien u. s. nachgewies". Herr Vogt, Londyn 1860, str. 58.

Rosji", mówi o jego projekcie traktatu handlowego turecko-brytyjskiego, grozi też Palmerstonowi rewelacjami Urquharta, mianowicie ogłoszeniem rzekomo znajdującej się w jego rękę a kompromitującej Palmerstona korespondencji Wilhelma IV z jego sekretarzem.

David Urquhart (1805 - 1877) był jednym z najosobliwszych i najbarwniejszych dziwaków, jakich wydało angielskie życie polityczne XIX wieku<sup>1)</sup>. W młodości i on należał do romantycznych entuzjastów wolności greckiej i pojechał bić się o niepodległość Grecji. Bardzo szybko jednak swoje sympatie przeniósł z Grecji na Turcję i na całe już życie został namiętłym, nieprzytomnym entuzjastą Turcji i wszyskiego cò tureckie. Kiedy z początkiem r. 1854 poznał się osobście z Marxem, zaskoczył go komplementem, iż jego artykuły o Palmerstonie były tak doskonałe, że mogłyby być wyjść spod pióra Turka. Sam poznał świetnie Turcję, mówił po turecku, stał się też w Anglii swego rodzaju specjalistą od spraw tureckich. Ambicją jego było doprowadzenie do skutku traktatu handlowego brytyjsko-tureckiego, który by jak najściślej związał oba państwa. Przy poparciu króla Wilhelma IV i jego sekretarza Sir Herberta Taylora otrzymał w tym celu nominację na sekretarza ambasady w Konstantynopolu.

Nominacja ta stała się dla Foreign Office źródłem całej serii kłopotów i skandali. Przede wszystkim nowo mianowany sekretarz ambasady jeszcze przed wyjazdem do Konstantynopola wywołał sensację ogłoszeniem w "Portfolio" kompromitujących Rosję dokumentów, o których była wyżej mowa. W Konstantynopolu po krótkim okresie względnie gładkiej współpracy pokłócił się z ambasadorem Ponsonby. Uznał, że nie ma potrzeby go słuchać, zaczął się uważać za dyplomatę od ambasadora swego niezależnego, który może prowadzić politykę na własną rękę. Zorganizował kampanię prasową przeciwko Ponsonby'emu. Na dobitkę wszyskiego wyprowadził się z ambasady do Pery i zaczął żyć po turecku.

Co najważniejsza jednak, postanowił on sprowokować ni mniej ni więcej tylko wojnę rosyjsko-brytyjską. W tym celu właśnie zmontował on wyprawę żaglowca Vixen<sup>2)</sup>. Szło o to, że traktatem z Turcją w Adrianopolu z r. 1829 Rosja zdobyła zachodnie wybrzeże Kaukazu. Zdobyć ta nie była przez Anglię oficjalnie uznawana. Korzystając z tego, Urquhart w porozumieniu z przedsiębiorcą Bellem postanowił wysłać statek do plemion kaukaskich z transportem oficjalnie soli, a w rzeczywistości najprawdopodobniej i broni. Jak się zdaje, w orga-

1) Nie ma dobrej biografii Urquharta. Książka Gertrude Robinson, *David Urquhart*, Londyn 1920 (dla nas o tyle sympatyczna, iż ma motto z Księgi Mickiewicza), jest naiwną i bardzo powierzchowną próbą apologii człowieka. Lepiej informują: szkic E. I. C. w t. LVIII *Dictionary of National Biography*, rozprawa G. H. Bolsovera, *David Urquhart and the Eastern Question, 1833 - 37*, *Journal of Modern History*, t. VIII (1936), str. 444 - 467, nade wszysko zaś studium Sir Charlesa Webstera, *Urquhart, Ponsonby and Palmerston*, *The English Historical Review*, t. LXII (1947), str. 327-351. — Zob. też St. Koźmiana, *Anglia i Polska*, Poznań 1862, str. 46 - 47.

2) W sprawie wyprawy parowca Vixen zob. obok studiów Bolsovera i Webstera, j. w., także Ludwika Widerszala, *Sprawy kaukaskie w polityce europejskiej w latach 1831 - 1861*, Warszawa 1934, str. 55 - 61.



nizowaniu tego transportu brali udział także i Polacy. Statek miał przybić do brzegów Kaukazu, nie licząc się z żadnymi rosyjskimi przepisami celnymi, tak jakby w ogóle Rosjan tam nie było. Liczono na to, że albo Rosjanie się zlekąją i statku molestować nie będą, a wtedy wyprawa zademonstruje przed światem, że Kaukaz nie jest posiadłością rosyjską, albo też statek zatrzymają, a wtedy rząd brytyjski, skoro nie uznaje praw Rosji do Kaukazu, będzie musiał interweniować. I gotów konflikt. Jakoż Rosjanie statek nie tylko zatrzymali, ale i skonfiskowali. Afera wywołała w Londynie duże podniecenie. Palmerston jednak, któremu konflikt wtedy był nie na rękę, wybrnął z kłopotu przy pomocy pewnego kruczka prawnego. Zaboru Kaukazu w dalszym ciągu nie uznał, ale uznał prawo Rosji do posiadania komory celnej w Suczuk Kale, gdzie statek został skonfiskowany. Zbyt zaś przedsiębiorczego sekretarza ambasady wyrzucił ze służby. Rozpoczęte przez Urquharta prace nad traktatem handlowym doprowadził do pomyślnego końca w r. 1838 już inny sekretarz ambasady, Henry Lytton Bulver. Urquhart do służby dyplomatycznej już nigdy więcej nie wrócił. Zapowiadająca się wspaniale kariera dyplomatyczna została raz na zawsze pogrzebana.

Odtąd Urquhart zapalał do Palmerstona nienawiścią. Wmówił w siebie, że Palmerston jest na zoldzie Petersburga i włożył niesamowitą ilość energii w przekonanie świata o tej jego rzekomej zdradzie. Poświęcił tej swojej chimery mnóstwo listów do gazet, artykułów, broszur, zakładał dla jej propagowania specjalne towarzystwa, intrygował przeciwko Palmerstonowi we Francji. Zbyteczne dodawać, że kampania ta pogrążyła go jeszcze bardziej w opinii, wyrabiając mu markę maniaka i paszkwilanta. W Izbie Gmin znalazł sobie co prawda poplecznika w osobie posła Anstey'a — którego mowę z r. 1848, atakującą Palmerstona, Marx gęsto z Hansardów cytował w swoich artykułach — ale, rzecz prosta, sfer politycznych nie przekonał.

Nieco lepiej powodziło mu się w agitacji wśród robotników. W r. 1839, kiedy w Marylebone kandydował jako torys do Izby Gmin, zetknął się po raz pierwszy z ruchem chartystowskim. Doszedł wówczas do przekonania, że jest to tajna organizacja, kierowana przez obcą agenturę, rosyjską. Żeby przeciwdziałać ruchowi chartystów, zaczął organizować wśród robotników komitety dla spraw polityki zagranicznej. Miał prostą receptę rozwiązania kwestii robotniczej. Poziom życia robotnika — doprowadził — podniesie się wtedy, kiedy wzmoże się handel zagraniczny. Handel ten jednak niszczy w interesie Rosji Palmerston. On więc jest winien nędzy robotniczej. Na to, aby kwestię robotniczą rozwiązać, trzeba uciąć Palmerstonowi głowę. W kołach rządowych uważano komitety Urquharta za odmianę ruchu charystowskiego. Chartyści widzieli w nich prowokację torysowską<sup>1)</sup>.

1) O komitetach Urquharta zob. Gertrude Robinson, j. w., str. 81 - 103 oraz G. J. Holyoake, *Sixty Years of an Agitator's Life*, Londyn 1892, t. II, str. 77. — A titre de curiosité warto dodać, że wśród przywódców chartystowskich Urquhart dopatrzył się szpiega rosyjskiego w Polaku, Bartłomieju Beniowskim, lekarzu i uczestniku powstania 1831 r., potem emigrancie. Lewak w swym szkicu biograficznym o Beniowskim w *Polskim Słowniku Biograficznym* III, 429, omawia jego działalność wśród chartystów tylko ogólnikowo: "W Anglii

Zemsta Urquharta sięgała i poza grób. Śmierć swego wroga uczcił obszerną broszurą pt. "Materiały do prawdziwej historii lorda Palmerstona"<sup>1)</sup>, w której zebrał artykuły, jakie drukował w wydawanej przez siebie "Free Press". Czego tam nie ma? — Można się np. z tych "Materiałów" dowiedzieć, że Palmerston dostał od Rosjan w latach dwudziestych dwukrotnie po 10.000 funtów na opłacenie swoich długów karcianych. Jest tam też i osobliwe polonicum. Dowiadujemy się mianowicie, że lord Grey, premier pierwszego rządu whigowskiego, w którym Palmerston został ministrem spraw zagranicznych, na krótko przed śmiercią napisał do księcia Adama Czartoryskiego, prosząc go, aby przybył do niego, do Howick. Kiedy książę Adam się zjawił, Grey miał zwrócić się do niego z następującymi słowami: "Muszę przed śmiercią wybiłgać od ciebie przebaczenia. Jestem mordercą Polski". — A na pytające spojrzenie księcia dodał: "To ja zrobiłem tego człowieka ministrem spraw zagranicznych" (str. 16 - 17). Książę Adam nie żył już wtedy, nie było komu protestować. Urquhart mógł więc fantazjować do woli.

Namiętny turkofil, Urquhart równocześnie fanatycznie nienawidził Rosji i dzięki temu był naturalnym sojusznikiem Polaków. Współpracował też z Polakami, i to nie tylko przy wydawaniu "Portfolio". Ale nie był to sojusznik łatwy, ani przyjemny. Autorka jego biografii jako przykład niezależności jego poglądów podaje, iż umiał ostre reprimandy palić ks. Adamowi Czartoryskiemu<sup>2)</sup>. Jenerałowa Zamoyska zaś opisując w liście do matki, ze stycznia 1861 r., wizytę Urquharta, przyrównywała go do złośliwego psa:

"Mieliśmy na obiedzie pana Urquharta. Dziwak, wariat, nie wiem co; trzeba być moim mężem, żeby z nim wytrzymać. Rozumiem doskonale, poznawszy go, co przeciw niemu ma lord Harrowby. Przypomina mi zupełnie Sedzeta, kiedy gryzł i złościł się spod jakiego stołu czy stołka"<sup>3)</sup>.

Russofobia Urquharta rozciągała się nie tylko na rząd carski, ale i na rewolucjonistów rosyjskich. Sympatię Marxa zyskał sobie w r. 1853 m. in. i tym, że w "Morning Advertiser" ogłosił w sierpniu tego roku artykuł, w którym przestrzegał przed Bakuninem, jako że może to być szpieg rosyjski. Dowód był prosty: Bakunin uważa się za rewolucjonistę, a jest Ro-

brał bardzo czynny udział w radykalnym ruchu, zmierzającym do reform ustrojowych i społecznych Anglii, tzw. chartyzmie. Należał do agitatorów i organizatorów meetingów w Londynie. Był, zdaje się, jednym z najradykalniejszych, ścierał się z przywódcą katolickich Irlandczyków O'Connell'em i z oficjalnymi przedstawicielami chartyzmu, działającymi w Izbie Gmin". — W prasie angielskiej przypomniano niedawno jego nieudany udział w ataku chartystów na Newport w 1839 r., o czym zob. notatkę w nr. z maja 1949 r. londyńskiego "Robotnika Polskiego w Wielkiej Brytanii", str. 10. Działalność Beniowskiego jako działacza chartystowskiego czeka jeszcze na opracowanie.

1) *Materials for the True History of Lord Palmerston*, Londyn 1866.

2) "His letters show that he reproved as wholeheartedly and severely his friends Prince Czartoryski and Prince Frederick of Augustenberg as he did his working-men disciples". — Gertrude Robinson, *David Urquhart*, Oxford 1920, str. 27.

3) Jenerał Zamoyski, t. VI, Poznań 1930, str. 378 - 9. — O stosunkach Urquharta z Polakami sporo wiadomości w rozdz. 9 t. III *Jen. Zamoyskiego*.



sjaninem, wiadomo zaś, że nie ma Rosjan rewolucjonistów. O artykule tym i o wywołanych nim polemikach Marx donosił Engelowski — w liście z 28 sierpnia 1853 r. — z pewnym rozważaniem, ale i z wyraźną satysfakcją. "Bądź co bądź — konkludował — les intrigants russes zauważają, że tutaj nie jest tak łatwo jak u biednej demokracji francuskiej zadomowić się, zdobyć wpływy i zachowywać się jako swego rodzaju arystokracja wśród rewolucyjnej emigracji"<sup>1)</sup>.

Od takiego to człowieka Marx przejął absurdalny pomysł, że Palmerston jest agentem na żołdzie rosyjskim. Jak się to mogło stać? — Marx nieraz się w swoich diagnozach politycznych mylił, ale był też zdolny i do wyjątkowo bystrych ocen. Wystarczy przypomnieć, jak w r. 1871 wyprorokował, że zabór Alzacji i Lotaryngii przez Niemcy przyniesie w rezultacie sojusz francusko-rosyjski, a w dalszym rezultacie wojnę, która stworzy sytuację rewolucyjną. Tutaj zaś dał sobie wmówić opinię po prostu pomyłka.

Nic tedy dziwnego, że dla bałwóchwalców Marxa artykuły te były ciężkim orzechem do zgryzienia. Szło tu przecież już nie tylko o to, że Marx się mylił, ale o to, że błąd jego jest taki absurdalny, tak jaskrawo trąci maniactwem. Toteż Fr. Mehring w swej "oficjalnej" biografii pisze o tych artykułach z wyraźnym zakłopotaniem. "Marxa twierdzenia (o współpracy Petersburga i Londynu) — pisze — spotkały się ze sprzeciwami". Dla Mehringa jednak "nie ma wątpliwości", że Marx widział jasniej, ostrzej niż rządy europejskie czy europejscy liberałowie "brak skrupułów" Palmerstona czy jego półśrodki. Mimo to i on musi przyznać, że "nie wynika z tego, aby Palmerston był kupiony przez Rosję". Ale — dekretuje zaraz — cała ta sprawa nie jest ważna. "Najważniejsze jest to, że Marx nauczył klasę robotniczą krytycznie badać historię międzynarodowej dyplomacji, demaskować machinacje dyplomatów"<sup>2)</sup>.

D. Riazanow w swoich objaśnieniach do artykułów Marxa uciekł się znów do innego sofizmu. "Czytając artykuły Marxa, tak jak one wyszły spod jego pióra w pierwszej redakcji — pisze on — widzi się bez trudu, że nigdzie tekst jego nie jest pod wpływem hipotezy, że Palmerston to 'przekupiony agent rosyjski'". Marx — dowodzi on — postawił sobie tylko pytanie, "czy prawdziwy 'przekupiony agent rosyjski', jeśli wziąć pod uwagę warunki polityki wewnętrznej Anglii i konieczność liczenia się z 'opinią publiczną', mógł lepiej bronić interesów Rosji, niż to robił ów rzekomy 'rusofob' i 'czerwony' mąż stanu"<sup>3)</sup>.

Dla wykazania dalej iluzoryczności tłumaczenia Riazanowa nie trzeba sięgać daleko. Wystarczy zajrzeć tylko do tego samego komentarza o stronę wcześniej, aby spotkać się tam ze sformułowaniem Riazanowa, iż Marx "po kwietniu 1854 nigdy już więcej nie wracał do swego twierdzenia, że Palmerston to agent Rosji"<sup>4)</sup>. Jak widzimy, mamy tu do czynienia z obroną w stylu

1) Marx - Engels, Gesamtausgabe, III Abt., Bd. I, Berlin 1930, str. 495.

2) Zob. przekład angielski jego książki, Karl Marx. The Story of His Life, London 1936, str. 240.

3) Marx-Engels, Soczinenia pod red. D. Riazanowa, Moskwa 1924, t. X, str. 545.

4) J. w., str. 544. — Tamże Riazanow twierdzi, że "nawet Urquhart nigdy nie przedstawiał sprawy tak, jakby Palmerston był zwykłym,

znanej anegdoty o adwokacie: po pierwsze Marx nie powiedział, że Palmerston jest agentem rosyjskim, a po drugie nie wracał do tego twierdzenia po kwietniu 1854 r.

Jak widzimy, kapiani kultu Marxa nie potrafią nam dostarczyć klucza do wyjaśnienia zagadki, jak to się stało, że człowiek o poziomie inteligencji Marxa mógł głosić tego rodzaju maniackie i absurdałne opinie. Tłumaczenia przyjdzie nam szukać na własną rękę. Przy czym nie będzie to tłumaczenie proste. Na zaślepienie Marxa w tym wypadku złożyło się bowiem wiele przyczyn.

Przede wszystkim podejrzenia te harmonizowały z zasadami teorii politycznej Marxa. Marx wierzył, że solidarność klasowa jest silniejsza od antagonizmów narodowych. Jeśli zaś tak jest, to Palmerston, arystokrata, wielki właściciel ziemski, reakcjonista społeczny, powinien był być poplecznikiem, rzecznikiem tego mocarstwa, które było przecież główną oporą europejskiej reakcji, Rosji. Odpowiadało też takie podejrzenie postawie człowieka nieufnego, zdającego sobie dobrze sprawę, że to co się w polityce naprawdę dzieje, jest bardzo różne od tej fasady, jaką widzi ogół, a nie mającego, zwłaszcza jeśli szło o politykę brytyjską, wglądu poza tę fasadę.

Po drugie w przekonaniu Marxa ścisła współpraca rosyjsko-brytyjska była kamieniem węgielnym ówczesnego porządku politycznego i miała stare tradycje. Już w 1848 redagowana przez "Marxa" "Neue Rheinische Zeitung" uważała W. Brytanię (której polityką zagraniczną kierował wówczas Palmerston) za ostoję reakcji europejskiej, na równi z Rosją i Prusami<sup>1)</sup>. Zaś zaraz po wojnie krymskiej, w latach 1856 - 1857, Marx ogłosił w Urquhartowskiej "Free Press" serię artykułów z "Dyplomatycznej historii osiemnastego wieku" (zebranych po jego śmierci już przez córkę w książce pt. "Secret Diplomatic History of the XVIII-th Century"), które miały dowodzić, że od epoki Piotra Wielkiego aż pod koniec XVIII wieku istniała stała cicha współpraca dyplomatyczna rosyjsko-brytyjska.

Poza tym, swoje wyobrażenie o funkcjonowaniu organizmu politycznego Marx urobił przede wszystkim na swoich doświadczeniach niemieckich z młodości. Zaś lata młodości Marxa były okresem głębokiego upadku politycznego Niemiec, nad którymi rodzaj protektoratu spełniała Rosja, mieszając się w wewnętrzne sprawy niemieckie, intrygując po dworach, przekupując lokalnych dostojników. Podejrzewając Palmerstona o pozostawanie na żołdzie rosyjskim, Marx rzutował na Londyn stosunki polityczne, możliwe w jakiejś Turynii czy Hesji.

Co najważniejsze wreszcie, Marx był w naszym wypadku szczególnie skłonny emocjonalnie do takich podejrzeń, i to właśnie w związku ze stosunkiem Rosji do Niemiec.

Car uważał się w Niemczech za gwaranta legitymizmu, protektora wszystkich panujących Rzeszy. Miał tu na oku dwa cele. Nie chciał dopuścić do zrośnięcia się tej mozaiki księstw i królestw w jedno silne państwo niemieckie, które mogłoby oka-

najemnym agentem Rosji", co, jak widzieliśmy, nie odpowiada prawdzie: w Materials for the True History of Lord Palmerston Urquhart taki właśnie zarzut postawił.

1) Zob. N. Riazanow, Marx über denn Ursprung des Vorherrschaft Russlands in Europa, Neue Zeit, Ergänzungshefte, Nr. 6, Stuttgart 1909, str. 2.



zać się dla Rosji niebezpiecznym sąsiadem. I nie chciał dopuścić do rozpowszechnienia się w Niemczech prądów rewolucyjnych, których pożar mógłby się przerzucić na samą Rosję.

Marx zaś był rewolucjonistą. Jako Niemiec nadzieje swoje wiązał przede wszystkim z Niemcami — rewolucyjnymi i zjednoczonymi. O takie Niemcy walczył z całą pasją, na jaką stać było jego namiętą naturę, w roku Wiosny Ludów. Ze zgrozą stwierdził wtedy, że główną przyczyną słabości, małoduszności radykałów niemieckich jest obawa przed Rosją. Lewicę niemiecką paraliżowała świadomość, że nawet gdyby udało się jej uporać z rodzimą reakcją, to i tak ze zwycięstwa tego nie byłoby wielkiej pociechy, bo sprowokowałoby ono tylko wmieszanie się Mikołaja I, który siłą przywróciłby dawny régime. Interwencja rosyjska na Węgrzech w r. 1849 dowiodła, że obawy te wcale nie były urojone.

Dlatego w Marxie ugruntowało się przekonanie, że na to aby w Niemczech mogły powstać warunki dla zjednoczenia i owocnej działalności partii rewolucyjnej, musi przedtem zostać złamany carat rosyjski. I dlatego tak potrzebna mu była niepodległa Polska jako przegroda, oddzielająca Niemcy od Rosji, najlepsza gwarancja prawdziwej niepodległości Niemiec.

I dlatego to będzie on tak namiętnie łaknął wojny z Rosją. Będzie w takiej wojnie widział nieodzowny warunek możliwości rewolucji w Niemczech. Ale wojna, której tak łaknął, to była wojna "totalna", taka która by złamała carat, raz na zawsze skończyła z jego przewagą w Europie i odepchnęła Rosję daleko od Niemiec. Zdawał zaś sobie doskonale sprawę z tego, że ta wojna, w którą Anglia wstępuje trochę wbrew własnej woli, ociągając się, niechętnie, będzie wojną zupełnie innego rodzaju, wojną o bardzo ograniczonych zadaniach, mającą na celu powstrzymanie ekspansji Rosji w Turcji, nie zaś rozbięcie Rosji. Dlatego to im bardziej angielska opinia publiczna rozogniała się, im mocniej entuzjazmowała się Palmerstonem, im powszechniej widziała w nim herolda krucjaty antyrosyjskiej, tym bardziej gniew i gorycz musiały wzbierać w Marxie. On sobie inną wojnę z Rosją marzył, a ta, która nadciągała, musiała mu się wydawać szyderstwem z jego nadziei.

Na takim tle obudzonych, a gorzko zawiedzionych nadziei, nieufności do angielskiej klasy rządzącej, doświadczeń niemieckich — mogło się narodzić w umyśle Marxa w podnieconej atmosferze 1853 r. przekonanie, że zarzuty Urquharta, oskarżającego Palmerstona, iż jest na żoździe Rosji, są słuszne.

Pozostaje jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Czy na prawdę w brytyjskich sferach politycznych nadciągającą wojnę uważano wtedy wyłącznie za wojnę o ściśle ograniczonym celu, czy nikomu z brytyjskich mężów stanu nie myślała się wówczas wojna inna, taka o jakiej właśnie marzył Marx, wojna o rozbięcie carskiej Rosji.

Otóż był jeden polityk brytyjski, który w gorącej atmosferze pierwszych miesięcy działań wojennych snuł plany takiej właśnie wojny o rozbięcie Rosji. Polaków co prawda polityk ten będzie mroził oświadczeniami, że w wojnie tej Wielka Brytania nie ma wcale zamiaru łamania czy niszczenia Rosji. Dla ks. Adama Czartoryskiego będzie on miał "visage de bois". Zaś Władysława Zamoyskiego będzie zapewniał, że nie jest to "woj-

na à outrance, a tylko próba sił" <sup>1)</sup>. Ale te oświadczenia miały wtedy w ustach jego tylko taktyczne znaczenie. Szło mianowicie o to, że Anglia i Francja chciały do koalicji przeciwrosyjskiej wciągnąć Austrię. Nie chciały więc poruszać publicznie sprawę polskiej, żeby Austrii nie odstraszać, choć w rokowaniach dyplomatycznych uciekały się do groźby podniesienia tej sprawy dla wywarcia nacisku na Wiedeń <sup>2)</sup>. Ale swojemu przyjacielowi w poufnej korespondencji polityk ten będzie tłumaczył, że ograniczenie celów wojny jedynie do wypędzenia Rosji z księstw nadnadańskich i pozostawienia jej niezłamanej, "znaczyłoby tyle, co wypędzenie włamywacza po to, aby mógł się on włamać znowu przy lepszej nadarzającej się okazji. Najlepszym i najwenniejszym zabezpieczeniem przyszłego pokoju Europy — polityk ów ciągnął dalej — byłoby oderwanie od Rosji pewnych terenów pogranicznych, które zdobyła w ostatnich czasach, Gruzji, Zakaukazji, Krymu, Bessarabii, Polski i Finlandii... Pozostałaby ona wtedy i nadal olbrzymim mocarstwem, ale w położeniu dużo gorszym, jeśli idzie o możliwości napaści na sąsiadów" <sup>3)</sup>.

Politykiem, który snuł plany takiej wojny, był Palmerston.

Wiktor WEINTRAUB.

1) Ks. Adam Czartoryski, *Memoirs*, Londyn 1880, t. II, str. 348 i 353 - 4. Por. też M. Handelsman, *Adam Czartoryski*, t. II, Warszawa 1949, str. 303 - 4.

2) Zob. H. Wereszycki, *O sprawę polską w latach 1854 - 1855*, *Kwartalnik Historyczny*, t. XLI (1927), str. 66 - 67. W rozprawie Wereszyckiego znaleźć też można interesujące dane o roli sprawy polskiej w rokowaniach francusko-austriackich.

3) Bell, j. w., t. II, str. 105 (z listu do Johna Russella z 26 maja 1854). Por. też memoriał Palmerstona z 19 marca 1854, ogłoszony w r. 1925 przez Goocha, który przytacza Feldman, *U podstaw*, j. w., str. 11, gdzie czytamy, że celem wojny ma być m. in. "silne Królestwo Polskie jako bariera między Niemcami a Rosją".



## Podróż inspekcyjna do Kurumanu

Papskiemu poświęcam

Moje podróże inspekcyjne po Afryce Południowej odbywają się w następujący sposób: "Spanner — powiadam do Murzyna szofera — przygotujesz samochód na jutro rano, oliwa, benzyna, woda, przejrzyj gumy — zgłosisz się u mnie jutro o ósmej rano. Understood?" Ja, baas — odpowiada Spanner.

W domu ten sam proceder, tylko w formie bardziej wersalskiej: Basiu, proszę sandwicze na jutro rano. Wyjeżdżam na tydzień do Kurumanu.

Owe sandwicze są nieodzowną częścią mego ekwipunku. Są one hołdem złożonym gospodarstwu mojej żony i wyrazem abominacji jakiej nie przestałem odczuwać wobec tej gałęzi sztuki, którą Anglicy z zadziwiającym powodzeniem rozprzestrzenili na globie ziemskim — sztuki kulinarnej. Sandwicze oddała moment, kiedy zmuszony będę oddać się na łaskę hotelowego "spring cabbage" i niezawodnego custard'u. Przedłużę nic łączącą mnie z domem. Kuruman oddalony jest od stolicy Unii i siedziby Chief Native Commissioner (czyli czegoś w rodzaju wojewody dla spraw murzyńskich) o dobre 500 mil (dla porównania — odległość z Krakowa do Wenecji) i leży w samym środku wielkich rezerwatów murzyńskich. Nasza sekcja inżynierska wykonuje tam pewne roboty, syple groble nawskroś suchych potoków, by łapać wodę deszczową, wierci studnie, i właśnie postęp tych robót mam zlustrować.

Nazajutrz, o godz. 8 rano, Spanner z wzorową punktualnością zajeżdża przed dom. Żegnając się z moją żoną łapię w obie ręce różne drobiazgi których zapomniałem zapakować. Wsiadam w służbowy samochód wypolerowany do czysta, nie mogąc powstrzymać się — ile razy ten ceremoniał się powtarza — od refleksji, że tak wspaniałym amerykańskim smokiem porusza się i poruszała przed wojną po Polsce tylko Głowa Państwa, dawniej bez, a teraz w cudzysłowie.

Sandwicze, mapy, instrument mierniczy, łóżko polowe, namiot, prymus i miednica nikną w czeluściach rozdziawionego zaду Chevroleta. Wyjeżdżamy.

Asfaltowa szosa towarzyszy nam przez pierwsze 200 mil. Potem się urywa i jedziemy zwykłą szutrówką z jej nieodstępny

w tym klimacie zjawiskiem korugacji. Zostawiamy za sobą ścianę kurzu wygiętą w kształt krzywizn szosy. Mijające samochody przyskają w nas kamykami z siłą, która bawołu położyć by mogła. Blizny po nich zaznaczają się na lśniącej skórze mego Chevroleta w postaci małych odprysków lakieru.

Pofałdowana złotoonośnym skurczem powierzchnia ziemi w okolicach Johannesburga prostuje się w miarę jak rwiemy na Zachód. Olbrzymi płaskowyz afrykański opada łagodnie ku Oceanowi Atlantyckiemu. Opadając ku Zachodowi z kraju ogrodów i uprawnych pól zamienia się zwolna w pustynny step. Nikną kolejno drzewa i sady, by ustąpić miejsca trawie. W końcu i ta się przerzedza, pstrzyć się zaczyna ciernistym krzewem, a jeszcze dalej na zachód i ta nędzna roślinność zanika.

Kuruman leży na krawędzi pustyni Kalahari i jest jego stolicą. Na Zachód od tego miasta leży już no-man's-land, królestwo pierwotnego bushmena, artysty zapładniającego fantazję malarzką pięknoduchów na Montmartre. Jego wpływ — w miarę jak zbliżamy się do Kurumanu widoczny jest w coraz bardziej groteskowym wypięciu zaду miejscowych Murzynów.

Ramię cywilizacji i zarazem moja działalność inspekcyjna nie sięga do Kalahari. Rezerwaty, które mam objechać, leżą jeszcze w granicach pomierzonego i skartowanego kraju, zamieszkałego przez Murzynów należących do rasy nieporównanie wyższej pod względem rozwojowym, którą to rasę określa się ogólnikową nazwą "Bantu". Nie spotkam na pewno Bushmena w czasie mojej wędrówki, a nawet gdyby taki znalazł się w moim polu widzenia na pewno nie będzie przez mnie dostrzeżony. Bushmeni siedzą głęboko w sercu Kalahari — tam gdzie ciągle żerują jeszcze niezliczone stada zwierzyny wszelkiego gatunku, i nie wając się zapuszczać na tereny zajęte przez białych farmerów. W zrozumieniu bowiem Bura, Bushman nie jest człowiekiem, jest czymś w gatunku "vermin", której odstrzął jest aktem wysoce pożytecznym.

— Ostatniego Bushmana na naszej farmie zabił mój św. pamięci ojciec — opowiada mi pewien farmer, tak jak gdyby chodziło tu o specjalnego gatunku antylopy lub dziką kaczkę.

Zmieniamy się co 100 mil przy kierownicy ze Spanner'em. W południe zatrzymujemy się pod kolczastą mimozą. Strzępy tłustych papierów i skorupki od jaj świadczą, że ktoś tu niedawno przed nami piknikował. Druty kolczaste biegną po obu stronach szosy w niezakończonym z nią nigdy wyścigu. Posesje farmerskie każdej wielkości latyfundium radziwiłłowskiego, są zawsze starannie odrutowane. Spoza drutów krowy patrzą na nas spojrzeniem które było natchnieniem starożytnych, a które mnie wydaje się bezgranicznie głupie.

Nad nami jest niebo błękitne i nieruchome. Nie skazi go białość obłoku przez miesiące. Step jest płowy i te dwa kolory błękit i płowy są jedynymi na jakie się natura tu wysadza.

Po opróżnieniu termosy z kawy i zjedzeniu kanapek ruszamy dalej. Co 40 mil miasteczko o identycznym rysunku. Kwadrato-



wy rynek z Town Hall'em czyli Magistratem w środku i sklepami wokoło. Ulice rozbiegające się pod kątem prostym z czterech rogów dzielą miasto w kształt tabliczki czekolady firmy Wedla. Architektura — beton plus blacha falista. Burowie, przejąwszy styl życia od zniechęconych przez siebie Anglików, odziedziczyli po nich brak zdolności do sztuk plastycznych. Rzadko kiedy natrafić można w budownictwie na wysiłek nawet uczynienia jakiegokolwiek ustępstwa na rzecz zmysłu wzroku. W takim otoczeniu muszą wychować się pokolenia, którym nieznaną jest tęsknota za pięknem. Jeśli znajoma moja Koninianka powiedziała mi w 39 roku po powrocie z wycieczki do Gdyni, że miasto to podobało jej się wiele więcej od Krakowa z jego niehigienicznymi ulicami, to pochlebiałem sobie i pochlebiam, że panienka ta była wyjątkiem. W Afryce Południowej — byłaby regułą.

Główna ulica w każdym miasteczku nazywa się Vortreker straat. Vortrekerzy byli Południowo-Afrykańską Pierwszą Brygadą, która wyruszyła na podbój wnętrza łądu i otworzyła w początkach 19-tego stulecia kraj dla białej kolonizacji. Wrogami Vortrekerów byli Murzyni i dzikie zwierzęta. Każdy szanujący się Bur pochodzi od Vortrekerów i pradziad jego walczył z Zuluzami nad Krwawą Rzeką (stosunek strat jak 400:1) a ojciec przeciw Anglikom w wojnie burskiej.

Tak więc ulicą Vortrekerów mknę teraz pod zachodzące słońce w stronę Kurumanu. Jeszcze 40 mil. Na drutach telefonicznych siedzą jaskółki rajcujące o romansach pod polską (może) strzechą, przez szosę przebiegają undulując zabawnie ciałem (jak wycinek krzywej sinusoidalnej) wiewiórki, mieszkające tu jak krety w norach. Słońce pęcznieje nad horyzontem i na krótko przed zachodem zdobywa się na wysiłek fantazji kolorowej. Więc granatowość odległych gór, jaskrawa czerwień nieba, żółto-żółtość stepu, słowem cała paleta kolorów, których wierne oddanie przez malarzy wywołuje zawsze wrażenie wulgarności im wierniej zbliża się do prawdy.

Przy ostatnich blaskach zorzy wjeżdżamy do Kurumanu. Spanner zatrzymuje samochód przed hotelem, w którym telefonicznie zamówiłem pokój. Właściciel hotelu p. Sieradzki wita mnie jak starego przyjaciela.

— How are you? Hav'nt seen you for a long time. How was the journey. The road was not too bad?

— Hullo, Mr. Sieradzki — odpowiadam z wyrazem entuzjazmu w głosie, jako że właśnie taki wyraz ekstatycznego zadowolenia przy powitaniu, skopiowany z podobizn mężów stanu amerykańskich, jest obowiązkowy w Afryce Południowej. "Nice to see you again".

Pan Sieradzki jest zamożnym obywatelem Kurumanu i konie jego biegają na corocznym Derby afrykańskim w Durbanie. Jego ojciec przybył przed laty z Polski zrobił majątek na strusich piórach wtenczas gdy modą było w Europie natarczywego kochanka skarcić muśnięciem strusiego wachlarza po policzku.

Potem pióra wyszły z mody, ale odkryto diamenty, złoto, mangan, żelazo i azbest. Stary Mr. Sieradzki w porę sprzedał strusią farmę i kolejno przerzucał się na inne bardziej intratne businessy.

Obecny właściciel hotelu "Central" w Kurumanie jest niezmiernie bogaty. Ma już w ruchach tę pewną okrągłość, rzekłbym pańskość, gdy z wysokości zajazdu wita przybywających podróżnych. Pani Sieradzka ma natomiast upodobania artystyczne. Pochodzi z Berlina. "Ach, — wzdycha — to było życie, skazana tu jestem, — i ogląda się wokoło, czy jej kto nie usłyszy — skazana jestem na prymityw. Ci ludzie (Those people) — ma na myśli Burów — oczywiście nie interesują się dosłownie niczym...

Pani Sieradzka umie również być dworna. Gdy jej małżonek przedstawił mnie sakramentalnymi słowami "Sarah, did you meet Mr. L.", odpowiedziała wyciągając ku mnie pulchną rączkę "A ski to a cki" czym prawdopodobnie zaznaczyć chciała, że mimo różnicy majątkowej uznaje mnie towarzysko za równego sobie.

Po kolacji pan Sieradzki zaprasza mnie do swoich apartamentów. Ma jednak, jako do krajana pewną słabość do mnie, rozpytuje o polskie miasteczka, o Sieradz z którego się wywodzi.

— Widziałem jak się palił we wrześniu 39 r. — opowiadał z okiem utkwionym w ciemną afrykańską noc przed nami. I w miarę jak mówię, rzutują mi się na czarne tło nieba języki pożarów i czarne postacie familiantów pewno pana Sieradzkiego, zawodzących na kupach spiętrzonych piernatów...

— Z drogi, z drogi, — ryczałem ochrypłym głosem, gołą szabłą torując drogę mojej baterii, płazując przerażone tłumy zatłaczające ulice...

Taki widziałem Sieradz ostatni raz. Taki zapadł mi w pamięci.

Mr. Sieradzki słucha w milczeniu mego opowiadania. W przyległym pokoju radio młóci ogłupiający jazz, jakaś dziwa amerykańska ziewa swoją aharmonijną pieśń.

— Jest tu jeszcze inny Polak — mówi po chwili — czasem przyjeżdża do mnie. Wie Pan, — mówi ścisłym głosem, jakby zwierzał się z tajemnicy — on jest hrabia polski.

— Taak? Jak się nazywa?

— Hrabia Koropek.

Błękitny almanach polski, a raczej jego samozwańczy dodatek nie oszczędził więc nawet Kurumanu.

Nazajutrz idę do Urzędu Native Commissioner'a. Czekają już tam na mnie i nastrój jest nieco odświętny. Zawsze to taki "re-wizor" — więc lepiej się mieć na baczności. A nuż napisze donos. Więc się uśmiechają, pan Native Commissioner częstuje herbatą i opowiada o swoich kłopotach. Że susza, że trawy żdźbła nie ma w rezerwatach, że bydło z głodu zdycha, że Centrala nie troszczy się o jego dystrykt, że pominięto go przy awansach...



— Panie — powiadam mu na pocieszenie wytartą formułkę, którą zawsze częstuję w takich wypadkach moich rozmówców — niech się Pan nie przejmuj. Znam biurokrację czterech krajów, polską, angielską, francuską, a teraz na ostatek waszą. Wszystkie takie same, trochę gorsze trochę lepsze, wasza raczej lepsza. Ale zasadą i myślą przewodnią każdego urzędnika w każdej biurokracji jest primo — nie przejmować się — i secundo — unikać odpowiedzialności. Niech się Pan nie przejmuj — mówię mu z uśmiechem klepiąc go przyjaźnie po zmartwionym ramieniu. Huję more miniir, totsien, — dodają po afrykańsku, by okazać moją dobrą wolę i szczere wysiłki w opanowaniu języka tubylców.

Pan de Villiers, the Agricultural Officer czeka już na mnie w półciężarówce wyładowanej po brzegi namiotami, bańkami z wodą, żywnością, zapasowymi częściami i dwoma Murzynami. Mój Spanner dołącza do nich i w trójkę moszcza sobie siedzenie w pudle ciężarówki. Siadam do szoferki z panem agronomem i już za chwilę mijamy ostatnie domki białych, potem budy murzyńskie sklecone z pudełek od konserw. A dalej jest znów ten sam step, miliony kwadratowych mil stepu...

Murzyński rezerwat rozciągnięty jest tu wzdłuż doliny rzeki Kuruman. Jest to rzeka bez wody, trup rzeki powracający do życia na parę godzin, gdy raz na kilka lat oberwie się chmura nad jej zlewiskiem. Ale niegdyś musiała to być potężna rzeka o czym świadczy jej dolina głęboko wcięta między wapienne zbocza. By napić się wody z rzeki Kuruman trzeba najpierw wykopać studnię głęboką w jej łożysku. Zgasie na powierzchni życie sączy się jeszcze kropelkami wilgoci pod ziemią.

Lepianki murzyńskie przyklepione są do białych wapiennych stoków doliny. Między nimi biegają gole murzyńskie białe od brudu. Na przyzbach siedzą mężczyźni i patrzą na nas przerywając na chwilę bezczynność.

Bo i cóż tu zrobić? Jak okiem sięgnąć te same wzgórza wzdłuż rzeki, a za nimi ten sam płaski step popstrzony, jak głowa murzyńska, kępami krzaczastej roślinności. Kukurydzy ziemia nie urodzi, bo za sucho, więc tylko te kozy i liche krowy wygnać raz na dobę w step.

— Słyszał Pan dzisiejszy komunikat radiowy? — nawiązuje rozmowę de Villiers.

— Nie, nie słyszałem — i w tej chwili przypominam sobie, że dziś jest 2 maja. Spodziewano się strajku i rozruchów czarnych w przemysłowych okręgach kraju.

— W Johannesburgu policja strzelała do tłumu Murzynów. Jest 18 zabitych i kilkadziesiąt rannych...

— Taak? — mówię poprawiając się na siedzeniu, — 18 zabitych to dużo. A ilu z policji?

— Z policji? Cóż pan myśli, że policja czekała na to żeby ich Murzyni porznęli nożami? Gdy tłum czarnych, mimo wezwania policji, nie rozproszył się, a nawet przybrał wyzywającą postawę, policja oddała salwę.

— Salwę w tłum?

— A w co pan myślał, że w niebo?

— Tak się czasami robi w innych krajach.

— Może się robi w innych krajach ale tu nie zdałoby się to na wiele. Powinni byli 200 Murzynów zastrzelić, może nauczyłoby ich to respektu.

Wzbierała we mnie złość. Pchają mi się na język słowa które obraziłyby mojego rozmówcę śmiertelnie. Więc milczę i dopiero po chwili tłumaczę mu mą myśl. — "Niech mnie Pan źle nie zrozumie panie de Villiers, gdy panu powiem, że zła jest polityka, która pozwala strzelać do ludzi jak do królików. Taka polityka stwarza męczenników sprawy i wcześniej czy później skończy się katastrofą. Czy wie pan, że w jakimkolwiek demokratycznym kraju Rząd odpowiedzialny za taki wybryk przewróciłby się nazajutrz?"

— Pan nie zna Afryki — odpowiada agronom rzuciwszy na mnie okiem znad kierownicy.

W płytkiej dolince wre. Chmury kurzu dymią w niebo. Kilka naście zaprzęgów w 8 wołów lub tuzin osłów wlecze szufle nasypane ziemią. Biczami ze skóry wołowej skręconymi Murzyni trzaskają nad głowami zwierząt. Rośnie grobla. Letnie deszcze napełnią wodą stawek wytworzony przez zamknięcie wałem dolinki. Powstanie nowy punkt wodny.

Europejczyk (A European) pchukuje na Murzynów. Przeklina aż do ochrypnięcia, rozstawia czarną rodzinę po kątach. Ale Murzyni go lubią bo tylko w gębie mocny, a serce ma gołębie o czym świadczy wielki brzuch, jaki nosi przed sobą.

— Hullo, Mr. du Toit, how are you — pozdrawiam go.

— Hullo, Mr. Leudoszo... Damn it, never can pronounce it correctly...

Podręczny boy p. du Toit'a już dmucha w ogień i nalewa wody do czajnika. W międzyczasie idziemy do namiotu by omówić różne szczegóły techniczne. Potem idziemy wzdłuż narastającego wału. Końcem buta fachowo kopię grudki ziemi wyrokuje:

— Not a bad soil for a dam isn't it?

Wszyscy się zgadzają wobec czego zawracamy do namiotu na herbatę.

Przed zachodem słońca rozbijamy obczowisko. Spanner, Oupiet i Newboy uwijają się z palikami, rozpościerają płachty namiotu, rozkładają łóżka polowe. Potem rozpalają ognisko.

Pan de Villiers i ja, z rękami głęboko zatkniętymi w kieszeniach, przypatrujemy się robocie naszych boy'ów. Od czasu do czasu rzucamy fachowe uwagi: Oupiet, kółek lepiej wbij, nie widzisz że się ledwie trzyma, Spanner wytrzep materac nim go położysz na łóżko, bo pełen kurzu. A gdy się już całkiem ściemnia siadamy przy płonąącym ognisku i de Villiers częstuje mnie koniakiem który miesza z wodą. Mówi "Cheers" i wtedy lycz-



kami pijemy. Muskuły twarzy wykrzywają się w grymas bo koniak jest paskudny. Ale się opanowuję.

— Pan podobno za młodych lat kopał diamenty w Kimberley?

— Tak, — potakuje de Villiers — o, to już było temu 20 lat... .

Nie potrzebuję go zachęcać, sam opowiada. Trzyma na wysokości ust emaliowany kubek z koniakiem, na którym tańczą odbite płomienie ogniska.

Chropawa ta opowieść i nie literacka, ale mimo to w wyobraźni mojej w miarę opowiadania rysuje się miasto o domach skleconych z blachy, o którą dzwoni żwir z wykopów diamentowych porwany wiatrem. Miasto wygląda tak jak na filmach o Dzikim Zachodzie. Główna ulica ma zajazd z szynkiem i parę domów okazalszych wśród których jest bank. Do cienkich żelaznych kolumniek podpierających ganki, przywiązane są osiodłane konie. Po ulicach kręcą się ludzie o twarzach nieogolonych, w kapeluszach z szerokimi rondami. Tuż za miastem jest teren jakby zorany tysiącem wybuchów bomb. To pole diamentowe. Murzyni na dnie lejów nasypują taczki, inni windują je w górę, inni znów wsypują urobek w młyny, w których przemywa się wydobyty żwir. Tony tego żwiru wypływają z młynów lepka czekoladową cieczą. Wyeliminowana z tych ton drogą centrifugalnej eliminacji kupka kamyków zawiera diamenty, — lub ich nie zawiera. Właściciel działki schyla się nad stołem, na który Murzyn wysypał ową kupkę. Przebiera w niej łopatką. I albo uderzy go w oczy blask kamienia i wtedy go wyłowi palcami, dmuchnie, przeliczy w myśli na banknoty i schowa do woreczka na szyi, albo pogmerawszy zmiecie kamyki jednym ruchem łopatką na ziemię. No luck — mruknie.

Fizyczny wysiłek białego kopacza sprowadza się do tego gmerania łopatką.

Wieczorem po barach i szynkach omawiają kopacze dzienny urobek. Po zaułkach snują się postacie czarno-rynkowców i łapsów z policji ofiarując diamenty na sprzedaż.

— Mister — szepczą do przechodzącego — nice stones for sale... .

— Pokaż.

— Tu nie mogę, niech mister idzie za mną... .

Domyślam się końca tej historii. To łaps-prowokator. U końca tej historii jest ciężka łapa policjanta wychodzącego z pułapki, spadająca na barki zmamionego. Skazana z paragrafu "Nielegalny handel diamentami" ofiara idzie na 5 lat ciężkich robót.

— Zaraz, zaraz panie Villiers, to brzmi tak bardzo znajomie — tu specjalny paragraf broniący prywatnego monopolu diamentowego w imię interesów narodu, tam, specjalny paragraf broniący także interesu narodowego, gdy zamiast diamentów obiektem nielegalnego handlu były wiadomości szpiegowskie, kopaczami — żołnierze podziemia. I te historie łapsowskie identyczne z ich techniką prowokatorską... Przypominam sobie... temu 8 lat w Polsce pod okupacją niemiecką...

Przerwałem, zdałem sobie nagle sprawę że ohydny koniak zaczął działać... .

— Dlaczego pan przerwał — spojrzał na mnie de Villiers grzebiąc końcem kija w płonących żagwiach.

— Bo widzi pan, moja historia o tyle mniej jest romantyczna od pańskiej, chociaż tak bardzo podobna. Pańskie diamenty przez kolejne ręce kopaczy, poprzez żołądki murzyńskie, poprzez lepkie łapy łapsów lądują wypolerowane w platynowej oprawie klejnotów. Świecą ogniem, stać się mogą zapłatą miłości... . A ta moja historia wykradanych tajemnic błyszczała najpierw ogniem ideału, blaskiem zapału, by wylądować w końcu w błocie przetargów cynicznych polityków. Wie Pan w ostatecznym rozrachunku, to co wzbudza zainteresowanie i szacunek świata to obiekt, o który nadstawia się skóry. Diamenty, dzięki ustawodawstwu, mającemu za cel obronę prywatnych interesów, nie przestały nigdy rość w cenie, podczas gdy te wartości, o które walczyły Armie Podziemia w mojej Ojczyźnie zdewaluowały się w dzisiejszym świecie... .

— Niech Pan tak nie mówi — zaprotestował de Villiers i jego z gruba ciosana twarz z odcieniem negroidalnego egzotyizmu stężała w napięciu muskułów. Tak, jakby rozlana limfa jego osobowości zbiegła się nagle w rysach twarzy.

— Niech Pan tego nie mówi w kraju gdzie poległ naród w obronie wolności.

O świecie budzi mnie Spanner kubkiem kawy. — Good morning bass. — Morning, Spanner — mówię przeciągając się na łożku polowym. Sięgam po kawę i przez uchyloną płachtę namiotu obserwuję małe murzyniátko pędzące stadko kóz. Podśpiewuje sobie rytmicznie wykonując ruchy taneczne — krok naprzód, zaznaczony stopą krok do tyłu, krok do przodu, zaznaczony stopą na boki... . Wypukły zadek, siwy od brudu młyńce wyprawia okrągłe, ramiona podane do przodu z dłońmi zwróconymi do góry. Prawzór Józefiny Baker.

Podczas gdy leniwo ubieramy się, słyszę jak nasi boye rajcują przy ognisku, warząc śniadanie.

Eeeeeee... . mówi Spanner, eeeee... . odpowiada Nevboy... . z nieco odmienną intonacją. Nie wiem jaki sens zamyka ten dźwięk, ale wiem, że jak długa i szeroka Afryka, wśród odmiennych narzeczy to eeeeeee służy za podcieniowanie nastroju mówiącego.

Eeeeeee... . zauważył Oupiet.

Golimy się w szybie samochodu, potem jemy białą mamalygę przyrządzoną przez Murzynów, którą przegrzamy kawałami mięsa przysmażonego na węglach.

Tak zaczyna się drugi i ostatni dzień mojej inspekcji w dystrykcie Kuruman.

Po tygodniu biurowej rutyny w Pretorii wzywa mnie szef. Ma zafrasowane oblicze.



— Niech Pan siada — wskazał mi fotel.

Poznaję po niezwyklej u niego ceremonialności, że chce powiedzieć mi coś bardzo ważnego.

— Look here, zaczyna, łopocząc w moją stronę papierami trzymanymi w rękę — niech Pan będzie ostrożny, niech Pan mi nie robi kłopotów. Ja Pana znam i wiem co Pan myśli, ale tu — i wskazał znów ręką na papiery — mam dowody, że różne Pana wypowiedzi do naszych urzędników w terenie są źle zrozumiane. Pomawiają Pana o sympatie komunistyczne...

— Komunistyczne? — pytam zdziwiony.

— Tak — mówi szef znad biurka.

Solennie obiecuję poprawę.

Włodzimierz LEDÓCHOWSKI

## Płacz, kraju umiłowany

A. Paton urodził się w Południowej Afryce; pochodzi z rodziny angielskiej, liczy 46 lat i jest z zawodu pedagogiem.

Pracował początkowo jako nauczyciel w małej szkole murzyńskiej w Ixopo; był kierownikiem Szkoły Średniej w Maritzburgu, a następnie dyrektorem zakładu poprawczego dla młodzieży krajowej w Diepkloof, — miał więc możność poznania psychologii czarnych i stosunków narodowościowych. Obecnie przebywa w Stanach Zjednoczonych.

Bogate spostrzeżenia oraz znajomość tematu wykorzystał w swej powieści "Cry, the Beloved Country". Jednak wartość jej polega nie tylko na artystycznej prostocie, szlachetnej formie i podniosłej idei, — ale przede wszystkim na bezpośredniości i prawdzie życiowej. Książka jest dokumentem czasu. Bierze czytelnika, a na tle obecnych stosunków posiada niezawodnie duże znaczenie społeczne, które chyba można jedynie porównać z rolą, jaką w swoim czasie odegrała "Chata Wujka Toma" w Ameryce. Głęboko ludzkie podejście do człowieka, niezależnie od jego koloru skóry i poziomu, cechuje zarówno działalność wychowawczą jak literacką Patona.

Nic dziwnego, że powieść, która się ukazała w 1948 r., osiągnęła już pięć wydań angielskich i została przełożona na 12 języków.

Treścią opowiadania jest historia czarnego pastora Stefana Kumalo, pochodzącego z małej osady górskiej Zuluszów w Natalu. Jedzie on do Johannesburga, by odnaleźć swe dzieci, zagubione w obcym i niezrozumiałym świecie białych. Syn jego Absalon bierze udział w napadzie rabunkowym i zamordowaniu białego adwokata. Zostaje skazany na śmierć i stracony. Autor przedstawia kontrast pomiędzy życiem obu ras, destrukcyjny wpływ ośrodka przemysłowego na życie plemienne i moralność czarnych, bezradność prymitywnego człowieka wobec nowych przemian społecznych, załamanie się i odzyskanie wiary

bohatera w tragicznych przeżyciach. Ale i biały człowiek, — ojciec zabitego adwokata, rewiduje swój stosunek do czarnych po zapoznaniu się z piękną działalnością swego nieżyjącego syna, którego idee są wyrazem poglądów Autora.

Zapewne — pierwotni jeszcze murzyni w interpretacji Patona są przesubtelniejsi lub wyidealizowani; ich sposób bycia, rozmowy, czy myśli — zbyt wysokie jak na niski poziom ich kulturalnego rozwoju — ale przyznać trzeba, że Autor stara się równie bezstronnie przedstawić wady czarnych, jak postępowanie białych; usprawiedliwia jednych i drugich tam, gdzie to jest możliwe.

KSIEGA PIERWSZA

(WSTĘP)

Piękna jest droga, biegnąca z Ixopo<sup>1)</sup> w góry. Góry te, pokryte trawą są piękniejsze, aniżeli sława o nich głosi. Droga pnie się pod górę siedem długich mil do Carisbrooke; gdy nie ma mgły — możecie stamtąd zobaczyć jedną z najcudowniejszych dolin Afryki. Wokół was rosną trawy i paprocie, słychać smutne nawoływania titihoya<sup>2)</sup>, ptaka veldu<sup>3)</sup>. Poniżej ujrzyście dolinę rzeki Umzimkulu, przepływającej pomiędzy górami Drakensbergu<sup>4)</sup> i morzem<sup>5)</sup>, a za sobą i ponad sobą jeden szczyt górski za drugim; jeszcze dalej — góry Ingeli oraz East Griqualand.

Trawy są bogate i zwarte; poprzez ich gęste poszycie nie można wcale dostrzec ziemi. Zatrzymują one opady deszczowe i mgły, a te, wsiąkając w grunt — żywią potoki w głębokich kloof'ach<sup>6)</sup>. Toteż trawy te są ochraniające: nie za dużo bydła je wypasa, by nie obnażyć ziemi. Więc zdejmuje tu obuwie, przechodni, gdyż ziemia te są święte, są takie właśnie, jakimi je stworzył Pan. Utrzymuj je w tym stanie, pielęgnuj i szanuj, gdyż to one żywią człowieka, pomagają mu i troszczą się o niego. Gdy je zniszczysz — człowiek też będzie zgubiony...

Tam gdzie stoicie — trawy są bogate i zwarte; poprzez ich gęste poszycie nie można wcale dojrzeć ziemi. Lecz żyzne zielone wzgórza urywają się poniżej. Opadając ku dolinie — i zniżając się stopniowo zmieniają swój charakter. Stają się czerwone i nagie; nie mogą już zatrzymywać deszczu i mgły — i potoki wysychają w kloof'ach. Zbyt dużo bydła wypasa trawy i zbyt dużo ognia je wypala. Włóż więc tam obuwie, gdyż grunt jest szorstki i ostry, a kamienie tną stopy, bowiem ziemia nie jest już utrzymywana, pielęgnowana i szanowana; nie żywi, nie pomaga, nie troszczy się o człowieka. Titihoya nie nawołuje tam już więcej...

Olbrzymie czerwone wzgórza stoją odłogiem. Poniżej w do-

1) W Natalu — na zachód od Durbanu.

2) Ptak, przypominający siewkę.

3) Trawiasty step afrykański.

4) Na granicy Basutolandu — około 10.000 stóp.

5) Ocean Indyjski.

6) Wąwóz o stromych ścianach.



linach, kobiety zeskrobuja ziemię, jaka pozostala, a kukurydza tylko z trudem osiaga wysokość człowieka. Są to doliny starych mężczyzn i starych kobiet, matek i dzieci; mężowie je opuścili, chłopcy i dziewczęta odeszli również. Ziemia nie może ich już wyżywić.

## KSIĘGA DRUGA

### Wyjątek z Rozdziału Trzeciego

*Młody adwokat — Jarvis — był białym człowiekiem, ale pracował wytrwale na rzecz podniesienia czarnych i złagodzenia zaognionych stosunków pomiędzy białymi a czarnymi obywatelami Unii; został zamordowany przez krajowców w celach rabunkowych w swym mieszkaniu w Johannesburgu. Stroskany ojciec, farmer, przegląda papiery syna. Jego poglądy i dążenia są dla ojca niezwykłym objawieniem.*

...Inne papiery były pisane ręką syna. Jak widać, była to część większej całości, gdyż pierwszy wiersz stanowił końcówkę poprzedniego zdania, zaś ostatnia linia zawierała myśl niedokończoną. Ojciec starał się znaleźć pozostałą część, lecz nie mógł, więc zaczął czytać rękopis.

... było dopuszczalne. To cośmy zrobili po przybyciu do Południowej Afryki — było dopuszczalne. Było dopuszczalne rozwinięcie naszych zasobów przy pomocy robocizny, jakąśmy mieli pod rękę. Było dopuszczalne użycie niewykwalifikowanego robotnika do ciężkich robót. Ale nie jest dopuszczalne utrzymywanie niefachowości dla dalszego korzystania z takiej robocizny.

“Było dopuszczalne ściągnięcie robotników do kopalń, gdyśmy odkryli złoto. Było dopuszczalne budowanie baraków robotniczych i trzymanie kobiet i dzieci z dala od miast. Było dopuszczalne jako próba, w świetle tego cośmy wówczas wiedzieli. Lecz w obecnym stanie rzeczy, na zasadzie zdobytego doświadczenia — nie jest to już dłużej dopuszczalne. Nie jest rzeczą słuszną iść dalej po drodze rozbijania życia rodzinnego, gdyż teraz już wiemy, co czynimy.

“Jest dopuszczalne rozwijanie wszelkich bogactw, gdy robocizna jest do dyspozycji. Ale nie jest dopuszczalne rozwijanie jakichkolwiek zasobów, jeżeli te mogą być rozwinięte jedynie kosztem robocizny. Nie jest dopuszczalne wydobywanie złota, wytwarzanie jakichkolwiek produktów lub też uprawianie roli, gdy czynności te wymagają podtrzymywania nędzy robotników. Prawdziwe miano takiego rozwoju jest tylko jedno — wyzysk. Mogło to być dopuszczalne w zaraniu życia naszego kraju, zanim zdawaliśmy sobie sprawę z właściwej jego ceny: rozbicie wspólnoty plemiennej krajowców, niszczenie ich życia rodzin-

nego, “slumsów”<sup>1)</sup> nędzy i występku. Lecz teraz, gdy ta cena jest znana — nie jest to już więcej dopuszczalne.

“Było dopuszczalne oddanie oświaty krajowców tym, którzy pragnęli sprawą tą się zająć. Były nawet dopuszczalne wątpliwości, czy oświata jest im potrzebna. Ale nie jest to dłużej dopuszczalne w świetle faktów, które poznaliśmy, w części dlatego, że system ten pozwolił na rozwój przemysłu, w części — że dzięki niemu, wbrew naszym intencjom, — krajowcy zaludnili miasta. Obecnie społeczeństwo zmuszone jest kształcić dzieci krajowców, jeżeli już nie z innych powodów — to we własnym interesie, by rosły one w poszanowaniu prawa, posiadały zmysł i dążenia społeczne. Innej drogi nie ma. A jednak ciągle jeszcze pozostawiamy naukę czarnych w miastach tym nielicznym Europejczykom, którzy poświęcili się tej sprawie, — ale odmawiamy udogodnień i pomocy dla jej rozwoju. To jest niedopuszczalne z punktu widzenia własnego interesu; — to jest — niebezpieczne.

“Można było pozwolić na rozbicie organizacji plemiennej, która stała na przeszkodzie rozwojowi kraju. Można nawet założyć, że było to nieuniknione. Lecz nie można podtrzymywać tego rozpadu, nie mogąc zastąpić dawnego ustroju czymś innym lub dając wzamian tak mało, że cała ludność tubylcza rozkłada się fizycznie i moralnie.

“Stary system plemienny, mimo całej swej przemocy i barbarzyństwa, wszystkich przesądów i zabobonów — był systemem moralnym. Obecnie nasi krajowcy produkują przestępców, prostytutki i pijaków, nie ze względu na skłonności wrodzone, lecz z powodu przekreślenia ich prymitywnego sposobu bycia, tradycji i stosunków. Zostały one zniszczone przez naszą własną cywilizację, — stąd ma ona nieodzowny obowiązek zbudować nowy porządek rzeczy, nowe tradycje i stosunki.

“Prawdą jest, że mieliśmy nadzieję na utrzymanie plemiennej organizacji krajowców przez stosowanie polityki podziału ras. Było to dopuszczalne. Ale myśmy nigdy nie przeprowadzili jej w pełni i uczciwie: wydzieliliśmy dziesiątą część terenów dla czterech piątych ludności, wytworzyliśmy przez to, jak twierdzą niektórzy, świadomie, nieunikniony napływ ludności do miast. Zostaliśmy pochwyteni w sidła własnego egoizmu.

“Zapewne nikt z nas nie pragnie pomniejszenia tego problemu. Nikt nie chce, by jego rozwiązanie, wyglądało na łatwiejsze, niż jest w istocie, nikt nie chce lekceważyć obaw, jakie nas obiegają. A jednak, czy się boimy czy nie — jako chrześcijanie nie powinniśmy nigdy uchylać się od wyciągnięcia wniosków moralnych. Jest już najwyższy czas na to...”

Na tym zdaniu strona i cały rękopis się urwały.

<sup>1)</sup> Wyras, który zyskał obywatelstwo w języku polskim: nędzne załki, ubogie dzielnice miast, domy.



## KSIĘGA TRZECIA

## ZAKOŃCZENIE

*Murzyn Absalon, syn pastora Kumalo skazany został na śmierć za napad rabunkowy i współudział w zabiciu adwokata Jarvisa. Prośba o utaskawienie została odrzucona. W dniu egzekucji, która ma się odbyć w Pretorii — ojciec udaje się w góry, by spędzić noc na samotnych rozmyśleniach.*

Obudził go wstrząs wewnętrzny. Było chłodno, ale nie za zimno. Dotąd nigdy nie spał w czasie swych nocnych czuwań, ale teraz stał się już starym człowiekiem, jeszcze nie całkowicie wykończonym, ale blisko tego. Zaczął rozmyślać o tych wszystkich, którzy cierpieli; o córce Gertrudzie, słabej i nierozważnej kobiecie; o mieszkańcach Shanty — Town i Alexandria<sup>1)</sup>; o swej żonie, starając się wyczuć, co ona przeżywa w tej chwili. Ale nade wszystko — o swym synie Absalonie: czy się już obudził, czy zdołał w ogóle zasnąć tej nocy przed świtem? Zapłakał gorzko: O Synu mój, Synu mój, Synu!

To wołanie rozbudziło go całkowicie; spojrzął na zegarek: była godzina pierwsza po północy. Słońce wschodzi zaraz po piątej. I wówczas właśnie to się stanie — pomyślał. Jeżeli chłopiec zasnął — to niech mu dadzą spać jak najdłużej, będzie mu lżej. Lecz jeżeli już się obudził, to, Chryste pełen miłosierdzia, bądź przy nim! I modlił się o to długo i gorąco.

Czy żona się obudziła, czy myśli o tym samym? Pragnęła by i ona, może, być razem, gdyby nie obecność synowej. Ta niezawodnie zasnęła; kochała Absalona mocno, ale mąż dał jej tak mało prawdziwego uczucia, nie więcej chyba — niż inni.

Był tam jeszcze Jarvis<sup>2)</sup> osierocony przez żonę i syna; jego synowa — wdowa i dzieci — sieroty, — a wśród nich ów mały chłopczyk, promienny i uśmiechnięty. Stał mu on teraz w oczach, tak jak kiedyś, gdy zwrócił się do niego ze słowami: "Gdy odejdę — coś jasnego odejdzie wraz ze mną z Ndotsheni; tak widzę to, widzę wyraźnie". I nie był wcale onieśmielony, czy zawstydzony, lecz mówił: "wiem o tym" i śmiał się radośnie.

A potem modlił się za cały naród Afrykański, za swój Uko-chany Kraj. "N'kosi Sikel i Afrika" — "Boże zbaw Afrykę". Lecz on nie doczeka już bodaj owej chwili zbawienia; została ona na długo odłożona, gdyż biali ludzie boją się tego zbawienia. Bowiem, mówiąc już całą prawdę do końca, boją się również jego i jego żony, i Msimangu<sup>3)</sup>, i młodego instruktora rolniczego.

Ale cóż jest złego w naszych dążeniach, w naszym głodzie? To, że ludzie pragną iść własną drogą w rodzinnym kraju i mieć wolne prawo użytkowania owoców swej ziemi? Czy jest w tym coś zdrożnego? A teraz już oni się obawiają, boją się tym strachem, który utkwiał jak cień w sercu tak głęboko, że pochłonął dobroć, zastąpił ją przez srogość i gniew, i ukrył ją za srogim zmarszczonym czołem. Boją się, bo ich jest mało. A strach ten może być wypłeniony jedynie przez miłość.

Powiedział raz Msimangu, ten Msimangu, który nie czuje nienawiści do żadnego z ludzi, że "w dniu, gdy oni nawrócą na drogę miłości — mogą się spotkać z faktem, że myśmy już nauczyli się nienawidzić..."

Ach, ciężkie i ponure słowa!

Gdy znów się ocknął — blade światło widoczne już było na Wschodzie. Lecz była dopiero czwarta nad ranem, więc niepotrzebnie się zaniepokoił. Ale był to już właściwy czas na czuwanie, i syn jego zapewne też nie spał. Przywołał więc siebie do gotowości. Podniósł się ze swego miejsca i ledwie mógł wstać, bo nogi zziębły i ścierpły. Znalazł sobie inne miejsce, skąd bez przeszkód mógł patrzeć na Wschód, bo podobno "to" się odbywa w chwili, gdy słońce pojawia się na horyzoncie.

Słyszał też, że przed straceniem skazani mają prawo zamówić dowolną potrawę. Dziwne, że człowiek może prosić o jedzenie w takiej chwili. Czyż ciało jest pokonane aż tak silnie przez głód, że zapomina o tak bliskiej śmierci? Czy biedny chłopiec jest dostatecznie opanowany? Czy ubiera się spokojnie, czy myśli teraz o Ndotsheni? Czy ma łzy w oczach, czy je wyciera, aby pokazać, że jest mężczyzną? Czy może mówi: "Ja nie chcę jedzenia, chcę się pomodlić?" Czy Msimangu jest przy nim, czy może Ojciec Wincenty lub jakiś inny kapłan, do którego obowiązków należy pokrzepienie skazanego, który przecież boi się egzekucji? Czy jest skruszony, czy może tylko przerażony? Czy już nic nie można poradzić, czyż nie ma anioła, który by tam się zjawił i zawołał: "Tam człowiek należy już do Boga, nie do ludzi. Pójdź chłopcze ze mną!"

Patrzył w dal zamglonymi bólem oczyma na błądzący blask na Wschodzie. Lecz się opanował: wydobył ciężki placek kukurydzowy i herbatę, położył je obok na kamieniu. Uczynił dziękczynienie, przełamał placek i spożył go, popił herbatą. A potem pogrzyżył się w głębokiej, gorącej modlitwie, a po każdej prośbie do Boga wznosił oczy i spoglądał ku Wschodowi. A Wschód stawał się wciąż jaśniejszy. Aż odczuł, że czas już bliski. I gdy już widział, że chwila nadchodzi uniósł się, zdjął okrycie głowy, położył je przed sobą na ziemi i załamał ręce. A gdy tak stał — zapatrzony — słońce weszło...

Alan PATON.

(Z upoważnienia autora przełożył z angielskiego A. LELIWA).

1) Nędzne dzielnice murzyńskie Johannesburga.

2) Biały farmer, ojciec zamordowanego.

3) Inny, ideowy pastor krajowy.



## Arkusze poetyckie

### Kantyczka duchowa

#### M a ł ż o n k a :

Ponad jelonka żywszy,  
odszedłeś mnie, Kochanku, zapłakaną,  
we słozach zostawiwszy  
z okrutną w sercu raną;  
wołałam, biegnąc, aleś nie przystanął.

Pasterze, którzy drogą  
zieloną przechodziecie na pastwisko,  
powiedźcież temu, kogo  
miłuję ponad wszystko,  
iż w mej udreće śmierci jestem blisko.

Za mojem miłowaniem  
odejdę w góry i przez rzek wybrzeże;  
ani mnie będzie w stanie  
zatrwożyć dzikie zwierzę,  
i minę wszystkie twierdze i rubieże.

O, łaki, bujnym ziołem  
kwitnące — któraż drogę mi doradzi?!  
O, lasy chmurnoczołe,  
które mój miły sadził,  
mówcie, czy tędy stopy swe wprowadził!

#### S t w o r z e n i a :

Sto wdzięków roztaczając,  
polotnym krokiem a żwawym się wiodąc,  
szedł ku szumiącym gajom  
i ku rozlanym wodom,  
i wszystkie w przejściu okrył swą urodą.

#### M a ł ż o n k a :

Ach, któż mi da dryjakiew?!  
Pofolguj mi i zwróć się ku mnie wreście!  
Nie chciałeś ze swym znakiem  
przystać mi żadnej wieści,  
byś się poznała sama w mej boleści.

I każdy, co niebodze  
o Tobie i Twych łaskach niesie słowo,  
jakże mnie dręczy srodze  
i ciemną swoją mową  
sprawia, iż w bólu umieram na nowo.

Jak, życie, tam nie żyjąc,  
gdzie żyjesz, wytrwać zdołasz śród konania,  
ze śmiercią swą się bijąc,  
gdy to, coś z miłowania  
pojęło, blizny twe jak grot rozrania?

Czemuż, któryś popsował  
me serce, rzucasz bez dryjakwi ranę  
i chocia go-ś zrabował —  
nie chcesz być jego panem  
i nie zabierasz z sobą zrabowane?

Zgaś gniew, co mnie zamroczył,  
bo jak mu zdołać, sama się nie dowiem.  
Niech ujrzą Cię me oczy,  
Tyś jest ich światłem bowiem  
i tylko z Tobą chcą być zawsze w zmowie.

Weź mnie pod swoją pieczę  
i niech na śmierć mnie Twa uroda straci:  
affektu nie ulecę  
ni bólu, co nie zacichł,  
nim Cię we własnej nie ujrzą postaci.

O, zdroju kryształowy!  
W srebrnym zwierciadle swoim wydaj, proszę,  
kształt dwojga żrzenie owych  
i wszystkie ich rozkosze,  
czyj wizerunek w mym żywocie noszę!

Odwróć je, Ukochany!  
Już czas do lotu.

#### M a ł ż o n e k :

Wróć, gołąbko chyża!  
Oto jelonek ranny  
zstępuje łaką z wyża  
i, chłonąc wiatr, ku tobie już się zbliża.



*M a ł ż o n k a :*

Gaje w górach oliwne,  
co samotności licznych dolin strzegą,  
ostrowy barzo dziwne,  
pieśń wiatru miłośnego  
i rzeki dźwięczne, które pod nim biega;

Noc jakże barzo cicha,  
na chwilę zanim zbudzi się Aurora,  
muzyka, którą wzdycha  
miłośny mrok wieczora,  
gdy już nastąpi samotności pora;

Oh, nie zwlekajcie dłużej,  
bo już winograd się okrywa kwieciem,  
i woniejące róże  
wieńcem ma dłoń uplecie,  
a nikt w tych górach nas nie znajdzie przecie.

Stój, wietrze, który chłodzisz;  
zejdź, Gwiazdo, co spominasz miłość świata,  
spójrz po moim ogrodzie,  
użyj mu aromatów,  
by mój Kochany rad się past wśród kwiatów.

Nimfy Judejskiej ziemi,  
strzymajcie się, swywolne, u wybrzeży,  
gdzie pośród kwiatnych cieni  
jantar aromat szerzy,  
i nie zbliżajcie się do domu mego dźwierzyl!

Z kryjówki swej zacisza  
oblicze zwróć ku góróm granitowym,  
gdzie nikt Twych słów nie słyszał —  
i patrz ku polom owym,  
co na przedziwne wiodą Cię ostrowy.

*M a ł ż o n e k :*

Płaki letkiego pierza,  
skaczące kozły i lwy i jelenie,  
góry, łąki, wybrzeża,  
spieki, wiatry, strumienie  
i nocy nieprzespanych trwożne cienie,

zaklinam was na śpiewy  
syrenie w stódkobrzmiącym korowodzie,  
uciszcie wasze gniewy,  
nie idźcie ku gospodzie —  
niech ma Kochanka wypoczywa stodziej.

Oto weszła, szczęśliwa,  
w ogród, gdzie cisza była przyrzeczona,  
w jego woni spoczywa,  
a szyja, pochylona  
na Oblubieńca miłośne ramiona.

Pod tą samą jabłonią,  
gdzie matka twa poniosła była szkodę,  
dotknąłem czutą dłońią  
oblubienicy młodej  
i naprawiłem wdzięczną jej urodę.

*M a ł ż o n k a :*

To tożę ukwiecone,  
skąd wirydarze wiodą w lwie ustronie,  
purpurą obleczone,  
w głębokiej ciszy tonie,  
a ciężkie złoto wieńczy jego skronie.

W Twój ślad i Twoją drogą  
jakże radośnie młode panny biega,  
za jasných zórz pożoga,  
za wonią Pana swego  
i aromatem wina wystętego.

W mrocznej piłam piwnicy  
Oblubieńca, a gdym się rozglądała  
po dawnej okolicy,  
straciłam się bez mała  
i zagubiłam stado, com pasala.

Tam mi odkrył swe łono,  
tam-żem się sztuk najstodszych nauczyła.  
I tam jego ramionom  
całkie-m się użyczyła  
i być małżonką jego namówiła.

Ma dusza wielce rada,  
żem się oddała wszystka we władanie.  
Już nie pilnuję stada,  
na nic o służby dbanie,  
gdy służbą moją jeno miłowanie.

Jeśli mnie nie najdziecie  
w tej okolicy, w której byłam znana,  
ludowi opowiecie,  
żem, błędząc rozkochana,  
straciła się i była usidlana.



Szmaragdy oraz kwiecie,  
zbierane przez nas w rzeński świt na łące,  
w ozdobne wieńce spleciem,  
miłością Twą kwitnące  
i w mych kędziorach wonnych wdzięcznie tkwiące.

Że włos ten, co na łono  
opada kędzierzawy, był Ci gwoli —  
przetos szyję toczoną  
rad widział i zezwolił  
żrzenicom Twoim zostać w mej niewoli.

A jakieś mnie oglądał,  
Twoje oczy wdzięk swój we mnie rozmnożyły,  
więc bardziej mnieś pożądał  
i łaski dostąpiły  
żrzenice, by smakować Cię, mój Miły!

Nie chciej mnie mieć w pogardzie,  
iż nadto już smagtego byłam ciała,  
ogładał mnie tym bardziej,  
żem się zmienić cała  
i pod spojrzeniem Twojem wypiękniała.

#### M a ł ż o n e k :

Do Arki powróciła  
z oliwnym liściem gołębicą białą —  
ta gołębeczka miła  
znajomka odszukana,  
by z nim w zielonym gaju pozostała.

Samotnie zamieszkała  
i gniazdo tam uwiła dla miłości,  
sama go pilnowała  
od gniewu i od złości,  
zraniona dla miłośnej samotności.

#### M a ł ż o n k a :

Ach, pójdź, Kochanku żwawy,  
skroś Twą urodę przyjrzeć się krainie,  
na wzgórza i orawy,  
skąd czysta woda płynie,  
zagłębić się, zagłębić w tej gęstwinie.

Poprzez opoki strome  
w jaskinie, co zawiodą nas na szczyty  
przepastne i kryjome,  
sposobem pójdziem skrytym  
smakować moszcz granatów znakomity.

I wtedy mi pokażesz  
to, za czym dusza rwała się w udręce,  
a potem złożysz w darze  
W me ułasknioną rękę  
to, coś mi niegdyś dał i dajesz więcej.

Lagodny wiatr owiewa,  
słodkim słowiczek śpiewem miłość stawia,  
i dźwięczny poszum w drzewach,  
i w ciszy nocnych zjawisk  
ów płomień, co nie smuci, chociaż trawi.

Tak Aminadab wierzył,  
iż nikt nie patrzy za jego urodą —  
gdy spokój wkrąg się szerzy  
i jeźdźcy konie wiodą,  
zastępując z góry ku rozlanym wodom.

ŚW. JAN OD KRZYŻA.

Przełożył Józef ŁOBODOWSKI.

## EASTERN QUARTERLY

NIEZALEŻNE PISMO W JĘZYKU ANGIELSKIM  
POŚWIĘCONE SPRAWOM EUROPY ŚRODKOWEJ  
I WSCHODNIEJ, ROSJI ORAZ BLISKIEGO WSCHODU.

Numer październikowy 1950 r. zawiera między innymi artykuły: Wacława Grzybowskiego — *The Problem of Russia*. D. N. Ciotori — *The Third Atlantis of the Progress of Appeasement*. R. Wragi — *Korea*. Józefa Poniatowskiego — *The Population of Intermarium on the Eve of the Second World War*. B. Popowicza — *The Peasants under Tito*. V. Kajum-Khan — *Turkestan*, oraz kronikę ważniejszych wydarzeń politycznych i przegląd ostatnich wydawnictw.

Cena: 3/- za pojedynczy egz. (post free, Air Mail extra).  
Wydawca: *The Morven Press Limited*,  
32, Bolton Gardens, London S. W. 5 England.



## *Straty Kultury Polskiej*

### Maciej Nowicki (1910-1950)

“Gdyby czas pozwolił jego geniuszowi w pełni rozwinąć skrzydła, ten poeta-filozof formy wpłynąłby na cały rozwój architektury równie głęboko, jak inspirował swych przyjaciół”

Eero Saarinen.

Maciej Nowicki urodził się na Syberii w 1910 roku. W Warszawie skończył szkołę średnią a potem i politechnikę z tytułem inżyniera-architekta. Wielokrotnie nagradzany na konkursach budowlanych, rysunkowych i graficznych, był autorem szeregu planów domów mieszkalnych, budynków administracyjnych, kościołów, pawilonów wystawowych (Pawilon na wystawie Światowej w New Yorku, 1939).

Wojnę przeżył w Polsce, najpierw w szeregach armii, potem biorąc udział w walce podziemnej, — później został mianowany profesorem Politechniki Warszawskiej i kierownikiem planowania śródmieścia Warszawy.

Tragiczna śmierć Macieja Nowickiego — zginął dn. 30 sierpnia r.b. w katastrofie lotniczej nad Kairem, która pociągnęła za sobą życie pięćdziesięciu ofiar — stanowi wyrwę nie do zapełnienia w szeregach architektów nie tylko polskich, ale światowych.

“Architektoniczny świat pusty będzie bez niego, był on bowiem wielkim architektem i wybitnie uzdolnionym rysownikiem. Zginął, zdążywszy dokonać zaledwie cząstki tego, co jego talent zapowiadał”, (Wallace K. Harrison).

“Zapowiadał się na jednego z najwybitniejszych architektów naszych czasów” (Clarence Stein).

Ale Maciej Nowicki był czymś więcej, niż jednym z najwybitniejszych architektów nowego pokolenia i oceniać jego stratę jedynie pod kątem uszczuplenia szeregów profesjonalnych, byłoby niedocenieniem roli, jaką w tak krótkim życiu zdążył odegrać i która zdawała się przeznaczać go, spośród niewielu, do wytyczenia nowych dróg o szczęście jednostki w lepszym, zjednoczonym świecie.

“Ci, którzy znali bliżej jego pracę i mogli ocenić jego możliwości tak jak jego dokonania, wiedzą ponad wszelką wątpliwość, że, bardziej niż ktokolwiek ze współczesnych, nosił on w sobie ziarno nowego wieku”. (Lewis Mumford).

Nowicki był artystą, obdarzonym wizją, bez której nie ma sztuki, a jest tylko rzemiosło. Saarinen nazwał go poetą-filozofem formy. To określenie pasuje zarówno do człowieka jak i do jego dzieła. Maciej miał w sobie wrażliwość poety na piękno, i filozoficzną dojrzałość w ocenie świata i ludzi. Łączył w sobie aktywność natury z głębokim skupieniem sięgającym mistycyzmu, jego stosunek do pracy był niemal religijny.

W ciągu ostatnich kilku lat, spędzonych w Stanach Zjednoczonych, do których przyłgnął natychmiast, zaczął rozwijać się z zawrotną szybkością i szedł z sukcesu w sukces. Adopcja ta przyszła niejako mechanicznie: już jako młody chłopiec szereg lat spędził w Chicago, gdzie ojciec jego był konsulem R.P. po pierwszej wojnie światowej, — język znał świetnie, życie amerykańskie odpowiadało mu swoim rozmachem, tempem, pociągały go nieograniczone możliwości, jakie kraj ten daje jednostkom śmiałym i obdarzonym inicjatywą.

Maciej i Stanisława Nowiccy przyjechali do Nowego Yorku zimą 1945-go roku, z misją organizowania wystawy odbudowy Warszawy. Były tam więc wszelkie materiały, dotyczące przeszłości historycznej stolicy, dokumenty jej barbarzyńskiego zniszczenia i piękne plany odbudowy, w przeważającej mierze dzieło Nowickiego. Pamiętam, jak te rysunki pierwszy raz pokazywał, uzupełniając je komentarzami, które były jak wykłady dla studentów architektury — bo taki miał sposób mówienia, nigdy zdawkowy — jak jego artystyczna wizja wyczarowywała z gruzów i rumowisk nowe gmachy i pomniki, w których było i uszanowanie tradycji i uwzględnienie nowych niwelacji gruntu i ponad wszystko nowy, twórczy wyraz. Wystawa, urządzona w New Yorku w siedzibie Stowarzyszenia Architektów, później w Chicago, objeżdżała następnie wiele miast. Nowiccy przenieśli się wówczas do Chicago, gdzie pozostali rok.

Niezależnie od sprawy Warszawy, Maciej był pierwszym, który przywiózł wiadomości o katastrofalnym położeniu Zakładu dla niewidomych w Laskach, pod Warszawą, — pierwszy rzucił ideę utworzenia komitetu na terenie amerykańskim, który zajęłaby się organizacją pomocy dla tej, tak świetnie przed wojną, prosperującej placówki. (Komitet został utworzony wiosną



1946-go roku i pomoc do kraju idzie nieustannie).

Gdy w parę miesięcy później, pod przewodnictwem W. K. Harrisona, międzynarodowa komisja architektów przystąpiła do projektowania nowej siedziby Narodów Zjednoczonych — Nowicki zasiadł w niej obok Le Corbusier, Niemeyera i innych wybitnych specjalistów.

“W całym tym zgromadzeniu nikt nie miał lepszego przygotowania jako równocześnie architekt i urbanista. Nie wielu architektów w ogóle obdarzonych jest taką pasją poszukiwań, taką twórczą radością, śmiałością, płodnością inwencji, niezachwianą dyscypliną i głębokim poczuciem obowiązku, nade wszystko zaś skromnością, która dana jest tylko geniuszom” (Lewis Mumford).

Kiedy pierwszy etap pracy został ukończony i ogólna koncepcja gmachu przyjęta, rozjechali się wszyscy delegaci, z wyjątkiem Nowickiego (który wystąpił z roli oficjalnego delegata polskiego i zdecydował się na stałe w Ameryce pozostać). Wszedł wówczas do biura, jako stały współpracownik Harrisona. Pracował z nim przez dwa lata i pracował bardzo wydajnie: w szybkim czasie wszedł w życie amerykańskie i szybko dał się poznać, a ci, co go poznali, zdali sobie od razu sprawę z jego wyjątkowej miary. W tym przeogromnym kraju, tak zdecentralizowanym jeśli chodzi o ośrodki myśli i sztuki, wiadomość o pojawieniu się nowej i wybitnej jednostki dotarła wszędzie, gdzie tętniło żywym pulsem życie architektoniczne.

I nagle zaczęli się do niego zwracać architekci z New Yorku, San Francisco i Detroit, dyrektorzy Art Institute w Chicago i Museum of Modern Art w New Yorku, proponując współpracę, — dziekani uniwersytetów ofiarowując katedry architektury, redaktorzy pism zawodowych, prosząc o artykuły. Robota waliła się zewsząd, propozycje rosły. Maciej Nowicki podejmował się ich z jakimś namiętnym zapałem, pracował z kompletnym samooddaniem, z jakimś wewnętrznym pośpiechem, któremu nie próbował się oprzeć. Tylko czasu było mu zawsze za mało: dnie nie wystarczały, pracował nocami, kładąc się późno i nieraz wstawał z gotowym już projektem. Bodaj że równie często spędzał noce w pociągach i samolotach, śpiesząc się z wykładów na zjazdy architektów czy profesorów, na których niejednokrotnie przemawiał, lub na komisje i posiedzenia. Cóż dziwnego — przecież musiał być **jednocześnie** w North Carolina, w New Yorku i w Indiach.

W ciągu ostatnich dwóch lat Nowicki był profesorem i kierownikiem wydziału architektury na uniwersytecie w Raleigh, N. C. (School of Design of the North Carolina State College), wizytującym profesorem innych uczelni jak Harvard i Cranbrook (tej jesieni miał być zaproszony na kilkutygodniowy cykl wykładów w Yale University), delegatem na zjazdy architektów i dekoratorów, konsultantem i jednym z naczelnych architektów budowy nowoczesnej stolicy prowincji Punjab w Indiach. Był ponadto autorem projektu i kierownikiem budo-

wy muzeum i pawilonów wystawowych w Raleigh, North Carolina i współautorem szeregu planów, z których niektóre są już w trakcie budowy, inne prawdopodobnie będą z czasem wykonane.

Kilka z nich zostało wybranych przez Muzeum of Modern Art w New Yorku i wchodzi w skład niedużej, ale pięknej wystawy, otwartej w niespełna miesiąc po jego śmierci. Są to mianowicie: ogólny plan stolicy Punjabu, opracowany do spółki z A. Mayer i J. Whittlesey, pawilony wystawy w Raleigh — z W. H. Deitrick, projekt regulacji Columbus Circle w New Yorku i model Southern California Shopping Center, obydwa do spółki z Clarence Stein.

Ilustracjom towarzyszy tekst Lewis Mumforda, wybitnego pisarza i autora szeregu dzieł o architekturze, jednego z najbliższych przyjaciół i wielbicieli zmarłego, Wallace K. Harrisona, twórcy Rockefeller Center i głównego autora siedziby Narodów Zjednoczonych; Eero Saarinen, dyrektora Cranbrook i syna wielkiego Saarineny, oraz architektów Mayera, Deitricka i Steina. Cytaty w niniejszym artykule zaczerpnięte są z tych właśnie źródeł.

Szkic niniejszy, wchodzący w skład rubryki “Straty Kultury Polskiej” miał na celu przedstawić pokrótce działalność ostatnich lat Macieja Nowickiego. Nie jest to, w żadnej mierze, ostateczna ocena jego pracy, zasługującej — wydaje mi się — na głębsze i dokładniejsze studium.

Felicja KRANC.

## Człowiek, który umarł za późno

Niepostrzeżenie przeszła wiadomość o śmierci, na jesieni r. 1950, gen. Stanisława Szeptyckiego. Jak to — żył jeszcze? — oto była reakcja nawet tych co go osobiście znali.

Szeptycki był, zdaje się, urodzony w 1865 r., miał więc lat 85. Z krzepkiej pochodził rodziny, która, choć senatorska a później galicyjsko-hrabiowska, nie odegrała w dziejach wybitniejszej roli. Dopiero z 3 synów ostatniej Fredrówny, dwóch — starszy Andrzej i młodszy Stanisław — skupili na sobie reflektory dziejowe.

Metropolita Szeptycki był niezaprzeczenie człowiekiem niepospolitym, który dogasającej Unii, dodał blasku swoją świętobliwością osobistą i wigorem, wiążąc ją z nacjonalizmem ukraińskim. Jako kapłan zasługiwał na podziw — i niepodobna się



dziwić, że ten surowy asceta miał sam jeden więcej miru i powagi w Watykanie niż wszyscy rzymscy prałaci w Polsce razem wzięci, że Watykan stale chciał go purpurą ozdobić i ciągle cichą wojnę z tego powodu z rządem polskim prowadził. Jako patriota ukraiński zasługuje na szacunek: o ile się odrzuca rasizm każdy ma prawo być patriotą jakim chce — jeśli się w nim odezwały atawizmy ukraińskie, był w każdym razie w zgodzie ze swym sumieniem. Ale jako polityk przegrał straszliwie: umarł, na szczęście dla niego, u progu ponownej okupacji Lwowa przez wojska sowieckie w 1944 r., okupacji, która, cerkwi grecko-katolickiej przyniosła zupełną zagładę a Ukraińcom Wschodniej Małopolski wytrzebienie, tylko pod względem formy różniące się z losem zgotowanym Żydom przez Hitlera. Czy na łożu śmierci Andrzej Szeptycki zrozumiał, że probierzem każdej polityki jest umiejętność znalezienia kompromisu z tym przeciwnikiem, który reprezentuje mniejsze niebezpieczeństwo i mniejsze zło?

Stanisław Szeptycki nie był człowiekiem na miarę swego brata. Zawodowy austriacki wojskowy, był już delegowany w 1905 r. do Mandżurii w charakterze attaché wojskowego, gdzie obserwował wojnę rosyjsko-japońską. Nie wiemy jak się wywiązał z tego zadania, jakie składał raporty, ale być może fakt że tam był usposobił Piłsudskiego do niego przejaźnie, bo Piłsudski zawsze się pasjonował dziejami tej wojny i chętnie do tego tematu powracał.

W czasie wojny 1914-18 r. Szeptycki zręcznie i taktownie potrafił pogodzić swe lojalności polskie i austriackie i na stanowisku normalnego dowódcy Legionów, i austriackiego generał-gubernatora Lublina. Z nikim nie zadarł, nie naraził się nikomu, zdobył zaufanie Piłsudskiego, który z reguły austriackich generałów w sercu nie nosił. Piłsudski zrobił go naprzód szefem sztabu, na którym to stanowisku Szeptycki "stłumił" operetkowy zamach stanu Jerzego Zdziechowskiego i Eustachego Sapiehy, a później mianował go dowódcą frontu litewsko-białoruskiego. W tym charakterze Szeptycki doprowadził w 1919 r. wojska polskie do Berezyny i zdobył sobie sławę wielkiego wodza. Pobity przez Tuchaczewskiego w czerwcu-lipcu 1920 r., załamał się i wycofał z wojska, w zwycięstwie nad Wisłą udziału nie brał — ale po zawarciu pokoju objął, w randze generała broni — 3 gwiazdki — inspektorat armii w Krakowie, i w swych apartamentach na ulicy Rayskiej brylował jako dostojnik, już trochę emeryt, ale z aureolą wielkiego wojownika. Nie Hetman Wielki wprawdzie, ale bądź co bądź Polny.

Poznałem go wówczas w tych latach. Był to piękny mężczyzna, mimo 60-ki, barczysty, rosły — przeszło 2 metry, jak i metro-polita — o twarzy ogorzalej, czerstwej, o wzroku bystrym i śmiałym. Był wówczas młodym żonkosiem, piękną i młodziutką żoną interesował się wówczas bardziej niż polityką czy wojskiem, choć miał pewien galicyjski gust do menażowania kontaktów i

tworzenia sobie pozycji politycznej. Z tej quasi-emerytury wyciągnął go Witos, mianując go ministrem wojny w swoim gabinecie (po Sikorskim) w maju 1923 r. Ledwo objął swoje stanowisko, Szeptycki wpadł w ostry konflikt z Piłsudskim, wówczas szefem sztabu. Podłożem jego był zawsze ten sam odwieczny błąd: Szeptycki wyobraził sobie, jak później Sikorski, jak Aleks. Skrzyński, że może pertraktować z Piłsudskim jak równy z równym. Skończyło się tym, że Piłsudski zrezygnował z szefostwa sztabu, wystąpił z wojska i Szeptyckiego objął: Szeptycki go wyzwał na pojedynkę, lecz jego sekundanci zostali wyrzuceni za drzwi. Szeptycki po prostu w tym wypadku okazał brak zręczności, dziwny u niego brak taktu. Bo o ile Sikorski wyraźnie widział siebie jako konkurenta Piłsudskiego, Szeptycki zawsze był gotów kontentować się drugim miejscem. A nadto Szeptycki ani enedekiem ani ludowcem na pewno nie był — w roli bohatera "chienopiasta" czuł się nieswojo i nie do twarzy. Gdy tylko gabinet Witosa upadł, Szeptycki szybko powrócił na swoją synekurkę krakowską.

Jego okres ministerialny został upamiętniony wspaniałym bon mot pani K. B., wówczas już niemłodej ale zawsze powabnej krakowskiej pani Récamier. Świeżo upieczony minister zaraz zjechał z wizytą do Krakowa, gdzie chciał popisać się nowym dostojenstwem. Na jego część hr. Edwardowie R. wydali obiad, i, naturalnie nie mogli uczcić nowej Ekscellencji bardziej, niż sadzając go przy stole koło zawsze powabnej, choć po-balzakowskiej, pani B. Szeptycki zaczął jej prawie komplementy, ale jak to często u starych wojaków i szlagonów bywało, w stylu zbyt obcesowym na wybredne gusty paryskiej krakowianki. Zirytowana wreszcie pani B. rąbnęła na cały stół:

— Mon cher ami, vous êtes bête comme un comte, grossier comme un général et ennuyeux comme un ministre!

(Drogi Panie, jest pan głupi jak hrabia, grubiański jak generał i nudny jak minister!).

W złotej księdze sławnych powiedzeń, fałszywie z reguły przypisywanych Napoleonowi i Talleyrand'owi (jak gdyby nikt inny czegoś wiekopomnego powiedzieć nie mógł) trzeba by wpisać tę autentyczną butadę pani B. Była to może ostatnia z wielkich belles polonaises, które robiły na świecie furorę nie tylko urodą ale i dowcipem.

Pamiętam inny incydent: 15 listopada 1925 r. — jak co roku — Władysław Leopold Jaworski obchodził swe imieniny i cały Kraków przychodził mu składać życzenia. Jeden z pierwszych zjawił się Szeptycki, kolega szkolny Jaworskiego. Był wyraźnie zafrasowany wiadomościami: wszak właśnie poprzedniego dnia Piłsudski zjawił się u Wojciechowskiego i "w imieniu armii" założył veto przeciw desygnowaniu Sikorskiego na premiera. Szeptycki z miejsca zapytał "Poldzika" co myśli o sytuacji.

— Skoro Wojciechowski nie kazał natychmiast Piłsudskiego aresztować, będziecie musieli mu oddać władzę nad armią, a



jeśli tego nie zrobicie natychmiast — to za pół roku władzę w państwie — odparł swym chrapliwym, świszczącym głosem, jak-by z zaświatów, Jaworski, którego finezyjny, przenikliwy umysł w owej chwili wznosił się do wizji proroczej.

— Zawsze bardzo cenilem zasługi Piłsudskiego, ale to przecież niepraworządność, odparł Szeptycki, który już wyraźnie robił bohaterskie wysiłki, by rozsiać się na dwóch stołkach. Niczyjej to nie uszło uwagi, i nikt się nie zdziwił. Szeptycki był — w przeciwieństwie do metropolity — z natury układny. Wpakowała go w fałszywą pozycję z Piłsudskim krewkość, nie gra czy ambicja.

Toteż w czasie zamachu majowego Szeptycki się nie ruszył. Zdaje się że nawet zatrzymał jakieś posiłki ze Lwowa via Kraków udające się na pomoc legalnemu rządowi do Warszawy. Zresztą to mu nie pomogło, bo zaraz po zamachu otrzymał dymisję.

Reakcja jego była dziwna. Mógł mieć żal do Piłsudskiego, do jego rządu. Zamiast tego spotkawszy drugą ofiarę zamachu, Aleksandra Skrzyńskiego, ex-premiera, ostentacyjnie nie podał mu ręki. Dotąd nie rozumiem jaki był sens tej manifestacji. Skrzyński w sprawie zamachu nie okazał miary męża stanu, ale uczciwie próbował pogodzić Sejm z Piłsudskim i zamachu uniknąć.

Oburzony Skrzyński wyzwał Szeptyckiego na pojedynek. Był to ostatni epizod historii starej Polski, arystokratycznej, szlacheckiej. Późniejsze pojedynki były już tylko oficerskimi czy dziennikarskimi burdami.

Przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie w jakimś maneżu w Warszawie. Na komendę "pal" Szeptycki strzelił i chybił. Pewno naumyślnie, bo przecież strzelał dobrze, a Skrzyński był kawał chłopca.

Natomiast Skrzyński nie strzelił, lecz rzuciwszy pistolet zawołał: "Kto uważa że ma prawo strzelać do mnie i we wszystko co ja reprezentuję, niech strzela — ale ja strzelać nie będę".

Widziałem Skrzyńskiego w godzinę po tym pojedynku, był wzburzony, spocony, podniecony, ale wydawało mu się że wygłosił słowa, które najdalsze pokolenia będą pamiętały, jak "veni, vidi, vici" czy "o liberté, que de crimes on commet en ton nom". Miał setki karteczek z tą wypisaną tyradą, które dookoła rozdawał. Cała ta demonstracja wydała mi się błazeństwem. Ale te słowa "wszystko co ja reprezentuję" (w rzeczywistości błędny Skrzyński, jak sam się później przekonał, reprezentował bardzo mało, prawie nic) były o tyle wiekopomne, że idealnie charakteryzowały Skrzyńskiego. Skrzyński był pozerem — zdolnym, inteligentnym, pracowitym, nawet dość wykształconym, nawet szlachetnym na swój sposób — ale pozerem. Cała ta poza wyszła z niego, jak sztydło z worka, z okazji tego głośnego pojedynku.

Tej tragi-komedii zawdzięcza może Szeptycki życie. Piłsud-

ski podobno nie znosił Skrzyńskiego, nazywał go "suczka lokarneńska" itd. O historii pojedynku dowiedział się naturalnie tegoż dnia, i chociaż nigdy słowa na ten temat nie powiedział, od tej chwili wszystkie ataki i napaści na Szeptyckiego zostały wstrzymane. Podczas gdy Rozwadowski został najniesłuszniej wtrącony do więzienia, gdzie umarł, a Sikorski srodze szykanowany, Szeptyckiego nikt nie molestował. Ułatwiało sytuację to, że Szeptycki miał majątek pod Jasłem, gdzie się zasztył: odtąd tylko sąsiedzi i gajowi znali jego wynurzenia. Ale nikt go nie oczerniał, miał pełną emeryturę, nie było presji czy protestów, gdy go obce ambasady zapraszały na obiady. W porównaniu z Rozwadowskim, il l'a échappé belle.

Po wojnie starszek ratował jeszcze wielu ludzi jako prezes Czerwonego Krzyża. Ta ostatnia godność i ta humanitarna i charytatywna działalność były pięknym finałem zbyt długiego życia człowieka, który nie będąc wielkim wodzem ani wielkim umysłem, pozostawił jednak pamięć dobrego Polaka i porządnego człowieka.

W. A. ZBYSZEWSKI.

## PISMA PRZYGÓDNE

### OFICyna WARSZAWSKA NA OBCYZNIE

(Anatol Girs Press — 7437 Michigan Avenue, Detroit 10, Michigan, U.S.A.) zawiadamia, że po trzech latach przerwy wznowiła działalność wydawniczą na emigracji.

Ukazał się już pierwszy zeszyt nowej serii pamfletów na tematy aktualne, jakie wydawane będą pod zbiorowym tytułem PISMA PRZYGÓDNE. Pierwszy opus Pism nosi tytuł: "Morska i Kolonialna, czyli Wyprawa po Sens w Emigracji". Wydawnictwa "Oficyny Warszawskiej na Obczyźnie" mają charakter bibliofilski. Ograniczoną ilość ręcznie odbitych egzemplarzy przeznaczono na sprzedaż w Europie; zamawiać je można w cenie 125 fr. za egzemp., pisząc na adres Kultury i przesyłając razem z zamówieniem należność.

Autorem pierwszego Opusu jest Aleksander Janta, pod którego redakcją ukazywać się będzie dalszy ciąg Pism.

We wszystkich sprawach związanych z wznowioną działalnością OFICYNy WARSZAWSKIEJ NA OBCYZNIE pisać można na adres Kultury, albo bezpośrednio pod wyżej podanym adresem Anatola Girsy.



## Kronika kulturalna

### List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta „Kultury”)

#### Dużo książek — mało literatury

Anglia współczesna buduje nie-marksistowski socjalizm w ramach, pierwszego w dziejach Europy, „Welfare-State”. Podjęte reformy idą daleko w głąb i nikt na tej wyspie nie może uciec przed wszechobecną rewolucją. Jeżeli komuś powiodło się od rewolucji uciec to chyba tylko angielskiej literaturze.

Jest coś dziwnego w tym zjawisku. Rewolucja „Labour Party” nie ma literatury. Dysponuje mężami stanu, trybunami, sztabami intelektualistów, mówcami — nie wydała jednak wieszczą. „Littérature engagée” w rozumieniu J. P. Sartre'a nie istnieje w Anglii. Teza Sartre'a, która głosi, że pisarz w obliczu współczesnego konfliktu musi wypowiedzieć się „za” lub „przeciw”, bo inaczej sztuce jego grozi anemia i urząd — nie przemawia do pisarzy angielskich.

Stwierdziłem, że zwycięstwo „Labour Party” nie wpłynęło nawet na ożywienie poczytności takich pisarzy jak Cronin. Dzieła Cronina miały wiele wydań w 1945 r. a nie po tej dacie.

Książek jest powódź. W Londynie przeciętnie co godzinę ukazuje się nowa książka. Trzeba również zaznaczyć, że o ile — powiedzmy — ubranie kosztuje dziś niemal trzykrotnie więcej niż przed wojną — książka angielska jest ciągle b. tania. Weźmy dla przykładu Stringfellow Barra „The Pilgrimage of Western Man”. Tom liczący niemal 400 stron w twardej płóciennej oprawie kosztuje siedem i pół szylinga, tj. równowartość czterech, pięciu piw w barze.

Chodząc po wielkich londyńskich księgarniach na Charing Cross i patrząc na tony nowych książek trudno powstrzymać się od refleksji, że liczba odbiorców dóbr kulturalnych rośnie niewspółmiernie szybciej niż liczba twórców. Łatwiej jest wy-

chować 10 czy 20 milionów nowych konsumentów książek niż wyprodukować nowego Szekspira. Autorów piszących po angielsku przybywa z każdym miesiącem, ale nie przybywa proporcjonalnie wielkich autorów. Jeśli w XIX wieku na jednego wielkiego pisarza przypadało — powiedzmy — 20 średnich pisarzy to dziś na 2000 średnich autorów nie przypada, niestety, 100 wielkich pisarzy.

Obecnie można już wyraźnie obserwować wpływ kina, radiofonii i telewizji na „misję” książki. Powstaje radio-literatura, filmo-literatura i telewizyjna literatura. W zeszłym roku wyświetlano w Anglii film pt. Oliver Twist. Równocześnie ukazało się w sprzedaży nie oryginalne dzieło Dickensa, lecz filmowa wersja Olivera Twista. Tak oto książki nawet z klasycznego repertuaru stają się „librettem” do filmu.

Film jest możliwym protektorem książki, choć zgoła bezceremonialnym. Sfilmowana w Anglii świetna „story” T. H. Lawrence'a pt. „The Rocking Horse Winner” została na żądanie cenzury „umoralniona” i wskutek tego całkowicie zniekształcona.

Jest coraz trudniej autorowi obywać się bez protekcji nowych Muz. Znakomite dzieła najwybitniejszych autorów ukazują się w wydaniu książkowym jako ślad audycji radiowych. Jedno z ostatnich studiów Bertranda Russell'a pt. „Authority and Individual” najpierw wypowiedział autor w serii odczytów radiowych, a później dopiero odczyty te ukazały się w książce. Takie same radiowe początki ma za sobą głośna „Kosmografia” F. Hoyle'a czy studium historyczne E. L. Woodward'a.

Książka staje się czymś wtórnym w stosunku do oryginału, który napisany był przez autora dla radia, telewizji czy filmu. Żywe słowo dzięki radiofonii stało się znów głównym instrumentem „rządu dusz”. Brytyjska rada Kościołów w publikacji pt. „Chrześcijaństwo a radiofonia” stwierdza na podstawie statystyk BBC, że każdej niedzieli 13 milionów ludzi słucha nadawanych przez radio kazań i nabożeństw podczas gdy do kościołów uczęszcza w niedzielę zaledwie 2 miliony ludzi. To są cyfry uwypuklające w pełni przemiany ostatnich dziesięcioleci.

Lecz wróćmy do książek. Jeżeli sięgam pamięcią w lata spędzone w Polsce to właściwie każda epoka mojego życia wiązała się z grupą nazwisk poetów. W Polsce było ogromne i powszechne zainteresowanie tymi sprawami. W Krakowie czy w Warszawie, we Lwowie czy w Nowym Sączu jeżeli zacytowało się kilka zdań z wiersza Tuwina, Broniewskiego czy Wierzyńskiego — wiadome było, że wszyscy wiedzą o jaki wiersz chodzi. Komuś z polskim „poetyckim zapleczem” istotnie trudno jest pojąć poetycką sytuację w Anglii. Chyba ma rację Bertrand Russell, który pisze, że „człowiek współczesny (na Zachodzie) utracił zdolność i potrzebę kontemplacji, potrzebę zadumy. Tylko ludzie prości bywają jeszcze dziś w swym życiu poetami dając temu wyraz w ludowych pieśniach. Człowiek w pełni cywili-



zowany poezję coraz mniej rozumie i coraz mniej jej potrzebuje”.

Wielki T. S. Eliot, laureat Nagrody Nobla, w artykule ogłoszonym w „Time and Tide” (czerwiec 1950) napisał m. in.: „wszystko można powiedzieć wierszem”. Sztuki sceniczne należy pisać wierszem, by przepoić poezją świat, do którego wraca publiczność z teatru. Aktorzy na scenie — mówi Eliot — powinni wydawać się widzom tak podobni do zwyczajnych śmiertelników by wywoływać refleksje: i ja też mógłbym mówić wierszem!

Bardzo to piękne, ale pewne jest jedno: daleko łatwiej jest w Anglii mówić wierszem, niż wydać tomik poezji. Poezie angielskiemu jest równie trudno wydać w Londynie tomik poezji jak emigracyjnemu poecie polskiemu. Poezji nikt nie wydaje, nikt nie kupuje i niemal nikt nie czyta.

Znany krytyk literacki Ivor Brown wywołał artykułem na łamach „The Observer” interesującą dyskusję na temat roli poezji w życiu kulturalnym współczesnej Anglii. I. Brown proponował stworzenie subsydiów państwowych dla poetów, którzy nie mają dość pieniędzy, by wydawać poezję własnym nakładem. Jako warunek postawił jednak, by subsydiowana poezja była zrozumiała... Ivor Brown sądzi bowiem, że byłoby nieuczciwie za pieniądze podatnika brytyjskiego wydawać poezję dla tegoż podatnika zupełnie niezrozumiałą. Nie można odmówić logiki tak sformułowanej tezie.

W dyskusji jaka się rozwinęła zabierali głos wydawcy, krytycy i poeci. Wydawcy wypowiedzieli się przeciwko subsydiom dla poetów. Poeci odrzucili wzgardliwie warunek powszechnej „zrozumiałości” dzieł poetyckich.

Interesująca była wypowiedź Charles Davy’a, który wystąpił z teorią, że stare języki jak angielski — stają się z czasem mniej podatnym tworzywem poetyckim niż języki młode, np. słowiańskie. W językach młodych mało jest słów czysto abstrakcyjnych i te same słowa wiążą w sobie treściowo pojęcia abstrakcyjne i konkretne nazwy rzeczy. Kiedyś w starej angielszczyźnie istniało to samo na określenie wiatru, ducha i oddechu. C. Davy sądzi, że ówczesni ludzie wyczuwali obecność wspólnego elementu w tych trzech pojęciach. Z czasem język staje się coraz bardziej skonkretyzowany, precyzyjny a poetyckie przeżycie, które niegdyś związane było z samą istotą słowa — wietrzeje. Wiatr — staje się pojęciem meteorologii, oddech fizjologii, duch metafizyki.

Wreszcie — jak podkreśla C. Davy — wielkie odkrycie naukowe z dziedziny psychologii (Freud) spowodowały, że artyści — w szczególności poeci i malarze — nie czują się dłużej zobowiązani tłumaczyć symboliki swych wewnętrznych przeżyć na język dla wszystkich zrozumiały.

Teorii podobnych można by przytoczyć wiele. Nie wyjaśniają one jednak kapitalnej sprawy: dlaczego poezja cofa się, ustę-

puje ze sceny? Kto wie — może za 30 czy 50 lat nikt na Zachodzie nie będzie ani pisał ani czytał poezji?

Przed rokiem przestał wychodzić doskonały miesięcznik literacki „Horizon”, redagowany przez wybitnego krytyka Cyril Connolly. Pismo długo walczyło z wielkimi trudnościami. Z wypowiedzi C. Connolly’ego wynika, że na decyzję zamknięcia pisma wpłynął nie tylko malejący nakład, lecz również rosnące trudności w zdobywaniu wartościowego materiału literackiego.

Gdyby tak pesymistyczne uwagi wyszły spod pióra redaktora „KULTURY” czytelnik westchnęby i pomyślał: „Cóż — emigracja wykrusza się, a młodzi mają pewnie ambicje pisania po angielsku”. Jeżeli jednak w Anglii gdzie byle „czerwoniak” sprzedaje półtora miliona egzemplarzy dziennie nie może utrzymać się pismo typu i klasy „Horizon” fakt ten nabiera szczególnej wymowy.

„Horizon” był pismem elity. Elity kulturalne bywają zawsze w mniejszości. Lecz o ich losach decyduje linia rozwoju. Wpływ i zasięg elity może rósć lub przeciwnie, maleć i zanikać. Elita, która traci wpływy i zdolność rozwoju staje się kulturalną „sektą”, emigrancką grupą we własnym społeczeństwie. — Uwagi te nie odnoszą się do „Horizon”. Ale współczesna „modernistyczna” poezja nosi wyraźnie ów „sekcjarski” charakter. W znacznym stopniu to samo można by powiedzieć o kilku współczesnych „szkołach” malarskich.

Robert Sinclair w swym studium o przyszłości prasy przewiduje podział świata czytelniczego na dwie części: na tych, którzy żądają informacji i na tych, którzy żądają rozrywki. Z wszelkimi uogólnieniami trzeba być bardzo ostrożnym, ale sądzę, że można zaryzykować twierdzenie, iż na Zachodzie większość ludzi wykształconych i oświeconych szuka informacji a nie sztuki. Książki z zakresu nauk ścisłych, z dziedziny polityki, historii, ekonomii itp. — rozchodzą się w olbrzymich nakładach. Cytowana już w tej korespondencji rewelacyjna książka młodego astronoma angielskiego, Fred Hoyle, pt. „The Nature of the Universe” jest od miesięcy „best-seller-em”. „The God that Failed” (krytyka komunizmu napisana przez byłych głośnych komunistów jak Koestler, Silone, Wright itd), cztery wydania w przeciągu roku, A. J. Toynbee „Civilization on Trial” trzy wydania w ub. roku, studia Bertranda Russell’a mają po sześć i siedem wydań.

Wspaniały postęp nauki w ostatnich 30 latach fascynuje, przykuwa uwagę i „przyćmiewa” ... sztukę. Od nauki, a nie od literatury oczekuje się odpowiedzi na skomplikowane współczesne zagadnienia i przyjmuje się za pewnik, że los ludzkości od penicyliny po bombę atomową — wykuwany jest za grubymi murami naukowych laboratoriów.

John Devenport opisując na łamach „The Listener” rozmowę z Aldous Huxley’em, cytuje następujące słowa Huxley’a: „Sądzę, że dobry pisarz powinien być większy niż samo życie. Nie wydaje mi się bym odpowiadał temu warunkowi. Ale jeżeli pan



spojrzy na takie postacie jak Dickens, Dostojewski, Balzac — to ci z całą pewnością więksi byli niż życie”.

Epoka współczesna jest bogata jak chyba żadna inna w pisarzy, ale lwi procent współczesnych autorów jest — jak mówi Huxley — „lifesize” na miarę przeciętnego życia i przeciętnego ... krawca. Gdzież są dziś pisarze, którzy by mogli powiedzieć o sobie, że wywierają na swych czytelników wpływ choć w przybliżeniu tak potężny jak był wpływ Zeromskiego na Polaków, Kiplinga na Anglików, Anatola France'a na Francuzów.

Twórcami formatu Einsteina, Fleminga, Russell'a, Hoyle'a, Toynbee'go — dysponuje nauka a nie literatura.

Byłoby wielkim błędem sądzić, że na Zachodzie wyżej naszkicowany stan budzi w kimkolwiek zdziwienie. Dziwnie to tylko wygląda oglądane polskimi oczyma. Bo u nas wpływ literatury na życie był olbrzymi i nieporównanie większy od wpływu nauki. Na stu ludzi na krakowskiej Linii A - B, 60 nie umiałoby zapewne wytłumaczyć mechanizmu tramwaju elektrycznego, ale 70 opowiedziało by dokładnie dzieje Cezarego Baryki. Na stu przechodniów na Trafalgar Square, 60 wytłumaczy mechanizm samolotu o motorze odrzutowym, ale wątpię czy 10 czytało Eliota.

## II.

### Gatunek na wymiarciu

Życie na Zachodzie staje się coraz bardziej nudne. Mam na myśli owe 8 godzin, które każdy spędza codziennie w biurze, w fabryce, w kopalni. Mechanizacja, naukowa organizacja pracy itd. niosą szarżyznę i jednostajność. Stąd też treścią słowa „odpoczynek” jest „change” — zmiana. W Anglii są to właściwe słowa synonimiczne. Każdego piątku wieczorem ciągną z miast sznury samochodów, motocykli, tandemów, rowerów, pieszych — by realizować zasadę „change”. By przez dwa dni żyć inaczej.

Istnieje potężny przemysł, którego celem jest produkowanie „change”. BBC, z wyjątkiem tzw. Trzeciego Programu, jest jednym wielkim radiowym „music-hall'em”. Na 30 milionów egzemplarzy dzienników sprzedawanych dziennie w Anglii — większość ma za zadanie nie informować lecz dostarczyć rozrywki.

Według ocen księgarzy można przyjąć, że dwie trzecie wydawanych książek stanowi literaturę rozrywkową. Literaturę tę dzieli się fachowo na kilka działów. A więc mamy klasyczną „detective-story”, powieść kryminalną z detektywem w roli głównej. Mamy tzw. „suspense-novel” to jest powieść sensacyjną z niespodziewanym zakończeniem, która nie musi być powieścią kryminalną — mamy wreszcie popularne i liczne „Love-story” czyli „romanse”. Literatury pornograficznej w An-

gli nie ma. Cenzura jest pod tym względem bardzo surowa. Losy doskonałej powieści Lawrence'a „Lady Chatterley's Lover” (Kochanek Lady Chatterley) są wymowną ilustracją dla zapatrywań angielskich w tym względzie.

Sumując należy powiedzieć, że w każdym społeczeństwie tylko pewien procent wykształconych ludzi szuka wzruszeń i przeżyć, których źródłem jest kontakt z prawdziwą sztuką. W Polsce przedwojennej, prasie i rynkowi wydawniczemu nadawała ton tylko jedna warstwa społeczna, tj. inteligencja. Dzięki temu nawet popularne wydawnictwa jak np. krakowski IKC stały niepomierne wyżej od brukowej prasy londyńskiej. Lecz któż rozkupywał nakład IKC? Nie chłopci i nie robotnicy lecz inteligenci i pół-inteligenci. Gdy Marian Dąbrowski zaczął wydawać tygodnik, „Tajny detektyw”, nakład tego pisma szybko doszedł do 150 tysięcy egzemplarzy. Wniosek stąd, że w Polsce było więcej potencjalnych odbiorców tego typu pisma niż — powiedzmy — „Czasu” czy poznańskiej „Tęczy”. Jednak „rząd dusz” był u nas monopolem jednej warstwy społecznej tzn. inteligencji. Pod naporem opinii publicznej (tj. opinii inteligencji) „Tajny Detektyw” został zawieszony.

Nie mam zamiaru bronić „Tajnego Detektywa”, stanowi on jednak dobrą ilustrację faktu, że przywykliśmy do sfalszowanego w pewnym sensie obrazu naszej kultury. Zarówno prasa jak i polski rynek wydawniczy były zupełnie nie reprezentatywne jeżeli wziąć pod uwagę 32 miliony obywateli przedwojennej Polski. „Tajny Detektyw” przestał wychodzić nie dlatego, że staliśmy wyżej kulturalnie od Francuzów czy Anglików, którzy mają mnóstwo tego rodzaju pism — ale dlatego, że każdy wydawca polski musiał się liczyć z opinią jednej tylko warstwy społecznej, tj. inteligencji, a ta jedna warstwa „Detektywa” sobie nie życzyła.

Weźmy inny przykład. „Wiadomości Literackie” w okresie 1924-1933 r. powiększyły sześciokrotnie swój nakład. Fakt ten świadczy niewątpliwie bardzo dodatnio o rozwoju naszej kultury. Ale byłoby wielkim błędem (który popełnia entuzjastycznie wielu Polaków) na tej podstawie przeprowadzać analogie i wysnuwać wnioski, że staliśmy „literacko” wyżej od Anglików skoro „Horizon” upadł a „Wiadomości Literackie” powiększyły sześciokrotnie swój nakład.

„Horizon” przestał wychodzić bo nakład jego spadł poniżej 100.000 egzemplarzy w stosunku do 46 milionów mieszkańców W. Brytanii. 100 tysięcy nakładu stanowi kalkulacyjne minimum dla pisma tego typu w Anglii.

Mówimy natomiast z dumą o sześciokrotnym wzroście nakładu „Wiadomości Literackich”, których nakład z 3.000 egzemplarzy wzrósł w ciągu 10 lat do 19.000 egzemplarzy w stosunku do 32 milionów mieszkańców.

Widzimy zatem, że gdyby w relacji do cyfry mieszkańców „Wiadomości” miałyby być tak czytane w Polsce jak mimo



wszystko czytany był w Anglii "Horizon" — to musiałyby sprzedawać nie 19 tysięcy lecz ponad 60 tysięcy egzemplarzy.

Porównując cyfry:

19 tysięcy nakładu .....	32 miliony mieszkańców
100 " " .....	46 " "

widzimy jak względnym wskaźnikiem kulturalnym jest wzrost lub upadek pisma literackiego.

W Anglii wachlarz prasy i rynek wydawniczy są w pełni reprezentatywne. Od "Cambridge Journal" po "News of the World" owa olbrzymia prasa odzwierciedla wiernie poziom i potrzeby kulturalne Brytyjczyków.

W Polsce mieliśmy kulturę warstwy przodującej z zapleczem budzącym się nieledwie z kulturalnego i rzeczywistego analfabetyzmu. Ton nadawała jedna jedna warstwa społeczna i dlatego w kulturze naszej wiele było jeszcze niezawinionego arystokratyzmu. Tętno rozwojowe bije szybciej w kulturach, których ramą socjalną jest jedna warstwa a twórca wartości kulturalnych jest bliższy swojego odbiorcy. Ale odbiorców jest niewiele.

Polaka w zetknięciu z kulturą brytyjską uderza w pierwszym rzędzie jej "rozmiar" — masowość zjawiska. Kulturalny arystokratyzm każe Polakowi powątpiewać czy wartości przeznaczone dla tak wielu odbiorców mogą istotnie być wysokiej klasy. Inteligent dopatruje się krzywdy w fakcie, że wykształcenie i to co określamy "poziomem kulturalnym" nie decyduje w Anglii w tym stopniu co w przedwojennej Polsce o zajmowanym szczeblu na drabinie społecznej. W Anglii jest stosunkowo dużo ludzi wykształconych i inteligentnych, nie ma jednak inteligencji.

O ile polski autentyczny robotnik, rzemieślnik, technik itp. odnajduje w Anglii bez większych trudności ludzi swojej sfery, których sposób myślenia, wykształcenie i zasięg zainteresowań jest zbliżony do analogicznego środowiska polskiego — o tyle typowy inteligent o tzw. "ogólnym wykształceniu" ląduje na tej wyspie jak na innej planecie. Ponieważ w Anglii nie ma warstwy, która by odpowiadała inteligencji w kontynentalnym tego słowa znaczeniu — inteligent jest tu poza nawiasem, bez społecznego przydziału. Traci swój kontynentalny inteligencki statut i uzyskuje nowy, zależnie od stanowiska jakie zdobywa.

Swoją dawną polski statut inteligent zachowuje — przynajmniej w teorii — w ramach świata emigracyjnego. Dlatego też Klub "Orla Białego" czy polskie "Ognisko" pełne są co wieczór inteligentów, którzy pragną nie tylko nadychać się swojszczyzną i przysłuchać się "nocnym rodaków rozmowom" ale pragną również wrócić "emigracyjną torpedą czasu" w układ utraczonej epoki — epoki, której byli przywódcami i solą ziemi.

Pomywacz inteligent w londyńskiej restauracji jest tylko na "wizie pobytowej" w klasie robotniczej. Nie czuje się "obywatelem" tej klasy. Przeciwnie czuje się podwójnym emigrantem,

który utracił zarówno ojczyznę jak i warstwę społeczną do której przynależał. Z młodymi jest inaczej. Ci, którzy tu dorastają i kształcą się — nie utracili epoki. Nasz osobisty dramat dla nich jest już tylko fragmentem historii.

Różnice sięgają głęboko. Arystokratyzm naszej inteligencji wywodził się m. in. stąd, że w Polsce przedwojennej różnica między inteligentem a nie-inteligentem była wyjątkowo skonstrastowana. Pierwszy posładał często stopień akademicki, drugi zbyt często nie umiał nawet pisać.

Zwykliśmy przy każdej okazji wyśmiewać się z tzw. "pół-inteligentów". Stanowi to jeden z charakterystycznych rysów arystokratyczności naszej kultury. Tymczasem to co nas różniło od Zachodu był właśnie brak "pół-inteligentów" a nie inteligentów. Tych ostatnich mieliśmy dosyć.

Na jednego profesora uniwersytetu w Polsce nie przypadała niższa cyfra docentów, doktorów, magistrów — niż w Anglii. Przypadała natomiast niepomiernie wyższa cyfra analfabetów i pół-analfabetów. Natomiast na każdego profesora angielskiego uniwersytetu przypada w porównaniu z Polską — niewspółmiernie wyższa cyfra o niższym, niższo-średnim i średnim wykształceniu czyli tzw. "pół-inteligentów".

Znajomość tych strukturalno-kulturalnych różnic jest konieczna jeżeli chce się rozumieć mechanikę politycznych reakcji demokracji brytyjskiej. Polacy wykazują wielką niecierpliwość obserwując powolność reakcji Brytyjczyków np. w odniesieniu do sprawy walki z komunizmem. Polski inteligent wychował się w przekonaniu, że jego "klasa" społeczna przemawiała w imieniu całego narodu. "Porwać za sobą naród" oznaczało u nas w pierwszej linii porwać za sobą inteligencję. Wszystkie "zrywy" w naszej historii organizowała szlachta i jej spadkobiercy — inteligencja. Zdobyć "opinię publiczną" w przedwojennej Polsce oznaczało mieć za sobą prasę wydawaną, redagowaną i czytana przez inteligencję.

W narodach o tego typu przekroju kulturalnym wszystko wygląda inaczej. Reakcja jest powolniejsza, na tzw. "opinię publiczną" wpływa nie entuzjazm poszczególnej warstwy czy grupy lecz "zdrowy rozsądek" mas. Imaginatywna, wizjonerska polityka, charakterystyczna dla przywódców elit i jakże bliska polskiemu temperamentowi — w społeczeństwie brytyjskim nie mogłaby liczyć na powodzenie.

Wszystko to sprawia, że inteligent w polskim sensie tego słowa jest anachronizmem na ziemi angielskiej. Gatunkiem na wymarciu. Ukształtowany przez polskie specyficzne warunki reprezentuje na gruncie brytyjskim nie tylko inny świat lecz i inną odległą epokę historyczną, którą tym trudniej pojąć Anglikowi, że dzieje jego własnego kraju nie dostarczają w tym względzie analogii.

Juliusz MIEROSZEWSKI.



## «Lwów i Wilno»

Z prawdziwym żalem notujemy zamknięcie "Lwowa i Wilna", organu p. Mackiewicza, wychodzącego od czterech lat w Londynie. Z dwóch powodów. Primo jest to świadectwo słabości i upadku czytelnictwa wśród naszego wychodźstwa: pomimo ogromnej ilości Wilmian i Lwowian w Anglii, pomimo pewnego wzrostu dobrobytu rzeszy uchodźczej "Lwów i Wilno" nie był w stanie wychodzić bez pomocy finansowej. Smutno to świadczy o poziomie emigracji: bo wiadomo, że taki "Lwów i Wilno" byłby w pełni opłacalny przy pięciu tysiącach prenumeratorów. A w samej Anglii jest Polaków przeszło 165 tys.

Secundo, "Lwów i Wilno" był trybuną Stanisława Mackiewicza. Sądzimy, że ten znakomity pisarz, od śmierci Matuszewskiego najwybitniejszy żyjący publicysta polski, nie weźmie nam za złe, jeżeli stwierdzimy, że w swoich poglądach i kampaniach był on zawsze raczej odosobniony. Ale poglądy swoją drogą, a talent swoją drogą. Skromnym rzemieślnikom pióra nie przystoi łatki przypinać tytanom. A tout seigneur tout honneur. Stwierdźmy więc, że nazwisko Mackiewicza będzie głośne w czasach gdy nazwiska tylu ministrów, polityków i jego efemerycznych rywali będą zupełnie i słusznie zapomniane. Stwierdźmy, że na oceanie nudy artykuły St. Mackiewicza odznaczały się zawsze wigorem młodzieńczym, fajerkami stylu, myśli i paradoksów. Powiedzmy, że trzeba było nie lada charakteru i twórczej energii, by samemu utrzymać pismo, samemu zapewnić jego więźność i poczytność, by móc nawet przewyciężyć naturalną wśród publiczności odrazę, którą budzić musiały nazwiska przenundnych grafomanów, których Stanisław Mackiewicz nieopatrznie na łamy "Lwowa i Wilna" dopuścił.

Zachodzi niestety niepokojąca analogia pomiędzy zamknięciem "Lwowa i Wilna" a zlikwidowaniem Ignacego Matuszewskiego w "Gazecie Polskiej", w maju 1936 r. Rozstawszy się z Matuszewskim ówczesne koła rządowe zupełnie nie zdawały sobie sprawy, że z tą chwilą straciły jakiegokolwiek oparcie w opinii publicznej, że od tej chwili stały się zorganizowaną koterią oficersko-urzędniczą. Czy obecnie koła — nazwijmy je półoficjalne — zdają sobie sprawę, że z chwilą gdy tracą poparcie pióra Mackiewicza, same odchodzą do katakumb zapomnienia i powszechnego ignorowania, z którego nie mogą ich wyciągnąć elaboraty posępnych nudziarzy, drukujących swe grafomańskie wypociny w bezwartościowych i nieczytanych świstkach i biuletynach.

Życzymy serdecznie "mistrzowi wagi ciężkiej naszej publicystyki", jak kiedyś Mackiewicza dowcipnie nazwał Karol Zbyszewski, by jak najprędzej znalazł sobie trybunę, godną jego talentu i jego dawnego wileńskiego "Słowa", choć skromnie pozwalamy sobie przy sposobności wyrazić nadzieję, że ujrzymy go wówczas w otoczeniu innej ekipy i broniącego innych ludzi i innego programu.

W. A. Z.

## Archiwum polityczne

### Zmierzch socjalizmu

W świecie podzielonym na niezależne jednostki polityczne, i którego cywilizacja kształtowała się według przegródek narodowych, partie socjalistyczne, dochodzące do władzy, nie mogą władzy tej wykonywać inaczej niż tylko na terytoriach wyznaczonych granicami narodowymi. Przesłanka ta jest prawdziwa również w wypadku bolszewików rosyjskich, oczywiście o ile zakładamy, że Rosja z 1917 roku była narodem jednolitym o dużym imperium kolonialnym utożsamianym z metropolią. Skoro więc system socjalistyczny może być wprowadzony przez rządzących socjalistów tylko w granicach państw, w których dorwali się do władzy, rządy ich, z natury rzeczy, muszą prowadzić do jeszcze silniejszego wyodrębnienia i zindywidualizowania narodu przynajmniej w stosunku do tych, które dotychczas rządów socjalistycznych nie mają. Podział świata na państwa rządzone przez socjalistów i kraje, które takich rządów nie mają, doprowadza do zastrzeżenia poczucia różnic narodowych, do odmiennych ideologii, do rozszczepienia horyzontów myślowych a także do wzrostu poczucia zagrożenia zarówno w państwach niesocjalistycznych, jak przede wszystkim w tych, w których ustrój jest już przerobiony na modłę socjalistyczną. Przejdźcie do systemu socjalistycznego na jednym terytorium państwowym, czy choćby imperialnym, wznaga w danym narodzie poczucie jego odrębności wobec otaczającego go świata zewnętrznego a zatem i eo ipso natężenie nacjonalizmu tegoż narodu. Wzmocnienie nacjonalizmu, jako rezultat socjalizacji, jest prawem niezmiennym, swoistym determinizmem, którego nie dostrzegają tylko ci, którzy pragną być ślepi. Zrózniczkowanie narodów, że tak powiemy zsocjalizowanych, wzrasta jeszcze wskutek środków przymusu, centralizacji oraz bezwzględności, które rządy rewolucyjne muszą zawsze i wszędzie stosować. Jednoczesne natężenia socjalizmu i nacjonalizmu wspierają się i potęgują wzajemnie. Ponadto obawa przed świa-



tem niesocjalistycznym, tak charakterystyczna dla krajów które wyodrębniły się swoim ustrojem, z natury rzeczy ułatwia powrót do absolutyzmu, w szczególności w tych krajach, które w swojej przeszłości nie znajdują silnych odtrutek w historii handlu morskiego lub też silnie rozwiniętego miejskiego życia politycznego.

Różnice między Rosją i Europą, już znaczne w 1917, od tego czasu stale przybierały na sile. Czyż potrzeba dodawać, że w Rosji słowo socjalizm jest skrótem dla oznaczenia marzeń i nadziei ludzi bardzo różnych od mieszkańców zachodu, ludzi sformowanych zgoła inną przeszłością. A nadto socjalizm odpowiada w Rosji zupełnie innym faktom materialnym. Słowo socjalizm, używane zarówno przez socjalistów zachodnich jak i przez komunistów rosyjskich, stało się w konsekwencji terminem niejasnym i dwuznacznym. Pod tym względem z terminem "socjalizm" współzawodniczyć może jedynie tylko termin demokracja, zwłaszcza od chwili gdy powstały "demokracje ludowe". Jeżeli porównamy te dwa terminy "demokracja" i "demokracja ludowa" to ten drugi nie oznacza wcale jakiejś zwiększonej demokracji, jakiejś większej dawki demokracji, jakiejś większej wolności politycznej niż na zachodzie, lecz tylko i po prostu formy polityczne sprzeczne z całą tradycją liberalną i wolnościową zachodu. Toteż komuniści zachodni, gdy mówią o "demokracjach ludowych", mogą operować zręczną grą słów i nieuczciwie dawać tym wschodnim demokracjom kredyt, który należy się tylko prawdziwym zachodnim demokracjom, bez przymiotników. Dla dopełnienia fałszerstwa komuniści odwołują tym prawdziwym demokracjom wszelkich praw do tego miana.

Jest faktem, że internacjonalizm poważnie osłabł w naszych czasach, i jest zapewne prawdą, że jedną z przyczyn tego osłabienia jest fakt, że socjalizm nie doszedł równocześnie we wszystkich krajach do władzy.

W 1917 roku, gdy bolszewicy doszli do władzy, kapitalizm (to znaczy życie gospodarcze) nie dokonał jeszcze rewolucji, która według Marksa miała z konieczności nastąpić w wyniku jego rozkwitu. Kartele i monopole nie tylko nie obaliły państw narodowych lecz potrafiły doskonale dostosować się do ich istnienia i granic.

Doszedłszy do władzy bolszewicy nie dysponowali akumulowanym uprzednio kapitałem, toteż dla uprzemysłowienia olbrzymiego kraju, o rozmiarach kontynentu i warunkach klimatycznych wyjątkowo niesprzyjających, musieli uciec się do metod, które jeśli chodzi o ich obiektywne okrucieństwo, w niczym nie ustępują metodom tak potępianym przez Marksa, gdy pisał on o pierwszych akumulacjach kapitału. Tak jak i europejczycy, którzy rozwiązali problem siły roboczej w strefach tropikalnych Ameryki przy pomocy niewolnictwa i handlu murzynami, tak też bolszewicy rozwiązali problem, w zasadzie identyczny, przy pomocy nowego niewolnictwa. Zasoby mineralne dalekiej pół-

nocy, Syberii i pustyń centralnej Azji na pewno nie były eksploatowane przy pomocy pracy ludzi wolnych, dobrowolnie zgłaszających się robotników. Entuzjazm pracy, nawet wśród socjalistów, nie może zjawiać się, a tym bardziej utrzymać, powyżej czy poniżej pewnej temperatury, dostosowanej do potrzeb człowieka. W tych warunkach pozostaje tylko terror jako motor i regulator stosunków ekonomicznych, a więc i obecnych stosunków rosyjskich. Terror jest ponadto z konieczności częścią czy częścią wszelkiego autorytatywnego planowania, które, o ile ma być uwieńczone powodzeniem, nie może tolerować jakiegokolwiek oporu czy sprzeciwu. Ergo, żaden opór nie może być tolerowany.

Wszechogarniające, na terrorze oparte planowanie jest przeprowadzone w Rosji przez tę samą władzę, która wewnątrz tego kraju nie znosi nawet myśli o sprzeciwie a poza granicami kieruje permanentną konspiracją mylnie określaną jako komunistyczna. Konspiracja, kierowana przez autokratów moskiewskich, wykorzystuje wszędzie poza granicami Rosji tę trudną do zdefiniowania a jednak niewątpliwą energię uczuciową, którą budzi ta świecka religia, ten kościół wojujący z siedzibą w Moskwie, którego istnienia mogą nie dostrzegać tylko ci, co chcą z całą premedytacją pozostać ślepi.

Przyjrzyjmy się śmiało pierwszej próbie realizacji nauk Marksa i marksizmu. W Rosji stworzone zostało wielkie imperium, wielkie ośrodki dyspozycyjne, przemysłowe i biurokratyczne, a cała Rosja zamieniona została w nadpaństwo wielonarodowe i scentralizowane, ściśle hierarchiczne, w którym podział na klasy socjalne jest ostrzejszy i bardziej bezwzględny niż gdziekolwiek indziej. To imperium sowieckie wyznaczyło sobie jako cel podporządkowanie sobie reszty świata: wszak każda nowa "republika sowiecka" może zgłosić swój akces do ZSSR, który już jest ukonstytuowany i potencjalnie jest już metropolią całego świata. Organizacje komunistyczne zagranicą, podzielone na partie narodowe ze względów oportunistycznych, są i w zasadzie i w praktyce odpowiednikiem organizacji już rządzącej w Związku sowieckim. Toteż te zagraniczne, narodowe partie komunistyczne są tylko wehikułem, mającym ułatwić przyszłe włączenie odnośnych krajów do tej wielkiej międzynarodowej wspólnoty, którą już dzisiaj uosabia, a w całości będzie jutro reprezentować Rosja Sowiecka.

Inkorporacja całego świata w stalinowskie nadpaństwo byłaby empirycznym rozwiązaniem trudności teoretycznych, o których już wspominałem: jak zapobiec zanikowi internacjonalizmu w skutek faktów, że socjaliści nie mogą wszędzie dojść jednocześnie do władzy. Wchłonięcie całego globu w skład nadpaństwa wielonarodowego i konstytucyjnie uprawnionego do wchłonięcia wszystkich państw i wszystkich krajów, pozwoliłoby "socjalizmowi" zapanować nad światem i przywrócić mu charakter międzynarodowy, który ma w teorii posiadać. Oczy-



wiecie tego rodzaju rozwiązanie równa się przecięciu węża gordyjskiego mieczem.

Jednym z podstawowych punktów credo nowoczesnego barbarzyństwa jest wiara, że nie ma problemu, którego nie dałoby się rozwiązać przy pomocy maszyn. Według komunistów "zwycięstwo socjalizmu" będzie automatyczną konsekwencją powstania pewnej ilości zakładów hydroelektrycznych, buldozerów, hut, wielkich pieców, samochodów czy bombowców strategicznych itd.

Jest rzeczą również zrozumiałą, że stalinowcy widzą w akcji Tito — chociaż jego nastawienie jest równie antykapitalistyczne jak i samego Stalina — niebezpieczny precedens, który mógłby doprowadzić do katastrofy gdyby przykład titowski znalazł naśladowców. Cóż z tego, że Jugosławia Tity byłaby również krajem komunistycznym, gdyby jednocześnie była od centrali rosyjskiej niezależna? Zdaniem Moskwy tylko powszechna rusyfikacja może położyć kres niebezpiecznym i szkodliwym partykularyzmowi narodowym. Nie jest też przypadkiem że stalinizm walczy o całkowitą autokrację w Rosji i w krajach jej podległych i równie namiętnie zwalcza wszelkie wzmocnienie władzy wykonawczej w krajach poza sowiecką sferą wpływów. Ta dwoistość wpływa z kolei na paradoksalne rozszczepienie ideowe każdego stalinowca, działającego po stronie zachodniej żelaznej kurtyny. Ideowo zachodni komuniści czują się związani z losem Rosji Sowieckiej, a więc z państwem nie tylko obcym ale i coraz bardziej obcym. Każdy konflikt pomiędzy Rosją Sowiecką, która jedyna ma prawo do ich całkowitej lojalności, a państwami których nominalnie są obywatelami, prowadzi nie tylko do izolacji komunistów jako grupy, ale również poszczególnych komunistów, jako jednostek: przy każdym zaostrzeniu tarć między Sowietami a Zachodem, każdy komunista stoi co dzień wobec konieczności wykonania wyboru. Nic też dziwnego, że stalinowcy stają się coraz bardziej ciałem obcym wewnątrz swoich własnych społeczeństw, w stosunku do własnych współobywateli. Faktyczny separatyzm i odseparowanie stalinowców nie mają nic wspólnego, z pozycją proletariatu w ustroju socjalnym państw niekomunistycznych. Oczywiście propaganda sowiecka stale dąży do tego ażeby osamotnienie stalinowców fałszywie utożsamiać z pozbawieniem proletariatu wszelkiego wpływu na losy i politykę odnośnych krajów. W rzeczywistości nie wolno tych dwóch zjawisk utożsamiać, bo z istoty są one diametralnie różne. Rozwiązanie kwestii pozycji społecznej proletariatu powinno nastąpić w drodze przebudowy struktury socjalnej Zachodu w sposób, który by pozwoił na całkowitą integrację klasy robotniczej w system społeczny i polityczny danych krajów. Natomiast separatyzm stalinowców musi być leczony zgoła inną terapią.

A teraz co oznacza "socjalizm" dla tych, którzy nie nazywają siebie "komunistami" lecz "socjalistami"? Niekiedy soc-

jalizm dla tych drugich oznacza tylko pewien ideał życia, bez analogii i bez precedensów przeszłości; ideał absolutny, niepokalany. Żadne katastrofy, żadne nieudane doświadczenia nie mogą skazić tego ideału, do tego stopnia jest on nierealny, czysto imaginacyjny. Socjaliści tego typu mogą zawsze ignorować rzeczywistość, powołując się na czystość i nienaruszalność doktryny. Socjaliści tacy poświęcają stale rzeczywistość na rzecz nadziei zrealizowania kiedyś w terminie nieokreślonym, swoich nieokreślonych ideałów. Scholastyka i kazuistyka zastępują im fakty, usprawiedliwiają w ich oczach ucieczkę przed życiem, obawę czynu. Ludzie ci odurzają się stale — i siebie i innych — frazesami i pustymi słowami, które mają usprawiedliwić ich brak aktywności i bierność.

Istnieją skąpcy, którzy lubią uprawiać filantropię słowną. Skąpstwo ich znajduje jak gdyby dodatkowe uzasadnienie w filantropijnych teoriach, wysoce cenionych przez skąpców, póki pozostają czystą teorią. Podobnie socjaliści chcą wierzyć i wmówić, że oportunizm, giętkość, bawienie się w formułki, w niczym nie mogą zachwiać ani też umniejszyć wspaniałych i niewzruszalnych zasad, które w teorii wyznają. Teorie teoretyków socjalistycznych i praktyką socjalistycznych praktyków nie mają ani jednego punktu styczności, lecz w życiu codziennym jedni drugim w najmniejszym stopniu nie przeszkadzają.

W "socjalizmie demokratycznym" element irracjonalny jest też obecny, ale mniej więcej w tej samej proporcji co dawka wiary chrześcijańskiej w protestantyzmie liberalnym: to nie jest wiara, która by przenosiła góry. Dzieje "demokratycznego socjalizmu" w pierwszym półwieczu XX stulecia są — przynajmniej na kontynencie europejskim — długim pasmem klęsk.

Z każdego kryzysu decydującego partii socjalistyczne wychodzą zdruzgotane. Ale w oczach tych, którzy jeszcze dzisiaj pozwalają się nazywać socjalistami, partia ich jest odpowiednikiem owego księdza, bohatera powieści Graham Greene'a "The heart of the matter", który, mimo swego upadku i oczywistej niegodności, nie przestaje uważać siebie za rozdawcę sakramentów. Nic nie może mu odebrać jego święceń, zmasać jego kapłańskiego charakteru.

Jeżeli dobrze nadstawimy ucha, by dosłyszeć słabe skargi ostatnich wyznawców socjalizmu demokratycznego, to przekonamy się, że płaczą oni sami nad słabością swych serc, które nie są dość silne by tworzyć bądź zło bądź dobro.

◆  
"Są ludzie, którzy stawiają pocztę jako wzór instytucji socjalistycznej". Bardziej rozsądni socjaliści ograniczają się do wyznawania programu, który by większość instytucji gospodarczych upodobnił do poczty. Atoli program ograniczony do rozciągnięcia dobrodziejstw poczty na inne instytucje może tylko w niewielkim stopniu zaspokoić ten głód zwierzęcia religijnego, którym jest człowiek, a dla którego pokarmem ma odtąd być tylko socjalizm.



Dylemat socjalizmu sprowadza się do tego czy ma być on tylko dążnością do przeprowadzenia pewnej ilości konkretnych reform, czy też ma być religią, kultem, wyznaniem, jak wszystkie religie, ma pozostać na zawsze w sferze ideałów, ze względu na nieuchronną niedoskonałość rzeczywistości?

Albo socjalizm jest tylko zespołem pewnych środków i reform, które mogą być urzeczywistnione — a w tym wypadku nie jest lekarstwem na wszystkie niedomagania świata, lecz ma tylko wąskie i ściśle określone ramy — albo też jest on tylko maską dla nadziei i pożądań, które na tym ziemskim pa-dole nie mogą doczekać się realizacji.

Jeżeli ta druga hipoteza jest prawdziwa to trzeba przyznać, że rzadko kiedy tęsknota człowieka do absolutu przybrała się w równie nędzną maskę. Jeżeli natomiast pierwsza hipoteza jest trafna, to rzecz jasna należy jak najszybciej tak przebudować strukturę społeczną, by robotnicy mogli się z nią utożsamiać. Lecz jakie stanowisko zajmują wobec tego dylematu socjaliści?

Wreszcie w każdym "socjaldemokracji" toczy się, w głębi jej duszy, walka między jednostką korzystającą z wolności politycznych a zwolennikiem ekonomii kierowanej. Obietnice i realia rządzenia — to są dwa inne światy.

Kto podporządkowuje sobie życie gospodarcze? Państwo. Jeżeli ekonomia ma być kierowana oznacza to, że muszą istnieć organy kierownicze. A działalność tych organów może być w pełni skuteczna tylko w ramach autorytatywnych reżimów.

Nasuwa się podejrzenie, że termin "socjaldemokracja" zawiera w sobie sprzeczność pojęciową, która musi wyjść na jaw, ilekroć teoria ma być przerwana na język rzeczywistości.

Wąty mistycyzm i łatwizna religijna "socjalizmu demokratycznego" nie od wczoraj pociągają uwagę obserwatorów politycznych. Czyż ta słabość nie jest wynikiem trudności i sprzeczności, które doktryna ta wywołuje nawet w umysłach wyznawców? Nikt nie potrzebuje religii chleba. Potrzeba tylko — ale i wystarczy — by chleba było dosyć. Polityka zyskuje niesłychanie gdy się ją oddzieli hermetycznie od ideologii uczuciowych, od magii i mistyki. Irracjonalizm, wiara w cuda, w doskonałość, w absolut, aplikowane w królestwie rzeczywistości, gdzie panować powinny tylko nagie surowe fakty — cóż to za wymyślny aparat tortury! Ludzie Zachodu skreślają się dzisiaj na tym madejowym łożu.

Jules MONNEROT

## Odbrażowiona Szwajcaria

W związku z konfiskatą "Kultury" w Szwajcarii, Redakcja stwierdza, że nastąpiła ona w kraju "który przywykliśmy uważać za kraj wolności"... Różnie z tą wolnością bywało i chciałbym dorzucić kilka uwag, świadczących, że konfiskata "Kultury" nie jest żadnym wy-brykiem, lecz aktem mającym swe historyczne uzasadnienie.

W okresie, gdy na zachodzie Europy ustanowiono liberalne przepisy, gwarantujące wolność słowa, w "najstarszej demokracji", zabroniono prasie zajmowania się sprawami krajowymi. W 1749 rząd berneński skazał Genewczyka Michéli du Crest na dożywotnią twierdzą za krytykę rządu. W 1762 władze berneńskie, pod karą 50 talarów zabroniły sprzedaży "Emila" Rousseau'a, a w dzień św. Sylwestra 1764 spalono publicznie "Dictionnaire philosophique" Voltaire'a. W Zurychu Komisja Cenzury działała od r. 1523: Wiedząc, że Gutenberg wynalazł druk w r. 1450, wynalazek nowoczesnej cenzury prewencyjnej przypisać musimy wspomnianej komisji, która rozpoczęła pracę nie później niż w 73 lata po wynalezieniu druku. Do komisji tej należał m. in. znany reformator U. Zwingli. Gdy w r. 1764 aresztowano członków Związku Patriotów, tygodnik ich zamknięto, a redakcję i autora krytyki władz wydano ze Szwajcarii. Wśród wydanych znajdował się inny, znany Szwajcar — H. Pestalozzi. W tymże roku kantony Zurych, Schaffhausen i Bern zawarły układ zakazujący rozpowszechniania "wszelkich wiadomości krajowych". W ciągu XVI i XVII wieku prace Komisji zurychskiej spowodowały 74 wyroki śmierci i liczne wydalenia, przeważnie za "ośmieszanie małżeństwa i podobne delikty".

Po rewolucji francuskiej obawy przed rozszerzeniem się wypadków paryskich w Szwajcarii wzrosły. W 1789 "Tajna Rada" Berna zwróciła się do rządów Zurychu, Schaffhausen i Bazylei o baczniejsze pilnowanie prasy przed podawaniem wiadomości o rewolucji. Rząd berneński w obawie przed zalewem Waadt literaturą rewolucyjną zarządził policyjną konfiskatę wszelkich przesyłek z drukami i otwieranie listów. Jednocześnie zastrzeżono zakaz informowania o wydarzeniach krajowych. Tak np. "Züricher Zeitung" z r. 1798 zawiera jedynie pięć wiadomości lokalnych za cały rok.

Konstytucja napoleońska zagwarantowała Szwajcarii wolność prasy. Rząd helwecki wolność tę jednak ograniczył, szczególnie występując przeciw krytykującym Napoleona, tolerując zaś krytykę nawet pod swoim adresem. Ta nadgorliwość w stosunku do możliwych jest — jak zobaczymy później — również wynalazkiem szwajcarskim. Na tzw. "freiheitsmördersche Blätter" nałożono surowe kary, a władze kantonu Glarus po salomońsku zabroniły w ogóle posiadania jakichkolwiek druków.

W r. 1803 rząd centralny ostrzega kantony przed prasą i każe ścisłać "das witzbare Geschlecht der Gelehrten und der Scribler". Kantony natychmiast wprowadzają cenzurę prewencyjną. W Bazylei Komisja Cenzury składa się z rektora uniwersytetu, dziekanów fakultetów i urzędnika kancelarii kantonowej. Na wniosek tej komisji rząd bazylejski nie daje pozwolenia na wydawanie dziennika z obawy komplikacji politycznych z Francją. W r. 1829 zakaz ten potwierdza, motywując krótko: "Dla uniknięcia jakichkolwiek komplikacji międzynarodowych zabrania się wydawania dzienników w Bazylei".

Rząd berneński zakazał prasie wszelkich komentarzy politycznych i zezwolił jedynie na "wyliczanie faktów".

W r. 1823 tzw. "Press- und Fremdenkonklusum" ograniczyło działalność prasy do minimum. Wszystko z obawy obcych interwencji.

Dopiero konstytucja z 1848 r. — obowiązująca z pewnymi zmianami do dzisiaj — zagwarantowała wolność słowa. Zastrzeżenie jednak, że nadużywanie wolności pociąga za sobą skutki prawne.



W krajach demokratycznych daje się zauważyć od dłuższego czasu tendencja zmierzająca — pod pozorem nadużyć w tej dziedzinie — do ograniczenia wolności prasy. Po I-ej wojnie światowej rząd związkowy formalnie podtrzymywał zasadę wolności słowa. W praktyce jednak skłaniano się do ograniczenia swobodnej wypowiedzi, co znalazło swój wyraz w ustawie Rady Związkowej z dnia 26 marca 1934, ostrzegającej "organy prasowe przed wykroczeniami, mogącymi zaszkodzić dobrym stosunkom Szwajcarii z innymi państwami". "Nie-zastosowanie się do ostrzeżenia pociąga za sobą zamknięcie pisma na określony czas. Rada Związkowa rozstrzyga na wniosek Departamentu Sprawiedliwości i Policji. Wykonanie zarządzenia poleca się kantonom". — Porównanie z czasami napoleońskimi jest uderzające.

Tak przedstawia się — po bliższym rozpatrzeniu i w skrócie — "tradycje wolnej prasy". Tradycje azylu, humanitarności, opieki nad uchodźcami i praw człowieka wymagałyby podobnych uzupełnień.

Zbigniew MAŁECKI.

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

*jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.*  
 Ukazuje się trzy razy tygodniowo.  
 W każdą niedzielę dodatek.

*Korespondenci:* we Francji, W. Brytanii, Włoszech,  
 Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,  
 Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo  
 w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:  
 17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau  
 US Zone, Germany.

## Sprawy krajowe

### Reforma pieniężna w Polsce

Dnia 28 października 1950, na wieczornym posiedzeniu, Sejm w Warszawie uchwalił na wniosek rządu ustawę o zmianie systemu pieniężnego w Polsce. Sprawa była przygotowana w szczególności. Zaraz po uchwaleniu ustawy ogłoszono zarządzenie wykonawcze.

Reforma pieniężna ma tak duże znaczenie dla społeczeństwa polskiego, że należy uważnie zastanowić się nad jej treścią. Oto tekst uchwały wprowadzającej reformę:

#### I.

#### Nowy pieniądz

- 1) Z dniem 30 października 1950 r. wprowadza się nowy pieniądz, a mianowicie złoty równy 0,222168 grama czystego złota. Złoty dzieli się na 100 groszy.
- 2) Narodowy Bank Polski wypuszcza w obieg z dniem 30 października 1950 r. nowe banknoty i monety metalowe (bilon), opiewające na nowy pieniądz.
- 3) Nowe banknoty wypuszczane będą w odcinkach opiewających na 2 zł., 5 zł., 10 zł., 20 zł., 50 zł., 100 zł., i 500 zł. w nowym pieniądzu.
- 4) Nowe banknoty sporządzone będą na specjalnym trwałym papierze i opatrzone będą w odpowiednie znaki wodne.
- 5) Monety metalowe (bilon) wypuszczone będą w wartości 1 gr., 2 gr., 10 gr., 20 gr., 50 gr. i 1 zł. w nowym pieniądzu.
- 6) Banknoty opiewające na złote dotychczasowe przestają być prawnym środkiem płatniczym z upływem dnia 29 października 1950 r. Jednakże w celu umożliwienia ludności nieprzerwanego czynienia zakupów i korzystania z usług postanawia się, że banknotami opiewającymi na złote dotychczasowe w okresie do dnia 5 listopada 1950 r. włącznie płacić można za artykuły spożywcze i codziennego użytku oraz za podstawowe usługi, z tym, że banknoty dotychczasowe ulegają przy tym automatycznemu przeliczeniu według stosunku 100 zł. dotychczasowych równe 1 złotemu w nowym pieniądzu. Listę tych podstawowych artykułów i usług określa odrębna instrukcja Rady Ministrów.
- 7) Narodowy Bank Polski przeprowadzi wymianę banknotów opie-



wających na złote dotychczasowe na nowy pieniądź, według stosunku 100 zł. dotychczasowych równe 1 złotemu w nowym pieniądzu. Wymiana rozpocznie się z dniem 30 października 1950 r. i trwać będzie do dnia 8 listopada 1950 r. włącznie.

8) Zorganizowana zostanie taka ilość punktów wymiany, aby wymiana odbyła się szybko i sprawnie, w sposób najdogodniejszy dla obywateli. Ponadto w okresie wymiany banki i urzędy pocztowe przyjmować będą bez ograniczenia wpłaty w banknotach dotychczasowych, przeliczając je według stosunku 100 zł. dotychczasowych równe 1 złotemu w nowym pieniądzu.

9) Wszystkie banknoty dotychczasowe wymienia się bez ograniczenia ilości.

10) Po upływie okresu wymiany, tj. dnia 8 listopada 1950 r., godz. 18, banknoty dotychczasowe unieważnia się.

### II.

#### Płace i ceny

1) Wszystkie płace i wynagrodzenia za pracę, emerytury, renty, zaopatrzenia i stypendia ulegają przeliczeniu według stosunku 100 zł. dotychczasowych równe 3 złotemu w nowym pieniądzu.

2) Wypłata robotnikom i pracownikom wynagrodzeń miesięcznych, płatnych z dołu za październik i z góry za listopad 1950 r. nastąpi w dniach od 30 października do 1 listopada 1950 r. w nowym pieniądzu.

3) Wszystkie ceny za towary i usługi ulegają przeliczeniu w tym samym stosunku jak płace, tzn. 100 zł. dotychczasowych równe 3 złotemu w nowym pieniądzu.

### III.

#### Przeliczenie zobowiązań

1) Wszystkie zobowiązania pieniężne publicznie i prywatno-prawne przelicza się według stosunku 100 zł. dotychczasowych równe 1 złotemu w nowym pieniądzu, jednakże z wyjątkami określonymi poniżej.

2) Przeliczeniu według stosunku 100 zł. dotychczasowych równe 3 złotemu w nowym pieniądzu ulegają następujące zobowiązania:

a) jeżeli wierzycielem jest Skarb Państwa (z tytułu podatków, opłat itp.), urząd, przedsiębiorstwo gospodarki uspołecznionej albo instytucja zawodowa, polityczna lub społeczna,

b) z tytułu umowy o pracę i stosunku służbowego,

c) należności, które w myśl przepisów o podatku od wynagrodzeń zrównane są z wynagrodzeniem albo zwolnione od tego podatku,

d) wkłady oszczędnościowe w instytucjach bankowych,

e) wkłady oszczędnościowe uczestników Społecznego Funduszu Oszczędnościowego, o ile wniesione zostały przez pracowników, posiadaczy gospodarstw średniorolnych i rybaków kutrowych,

f) udziały członków spółdzielni,

g) z tytułu kontratacji i skupu artykułów rolnych i hodowlanych,

h) z tytułu robót, dostaw i usług wykonanych na rzecz wymienionych w pkt. a) jednostek gospodarki uspołecznionej.

i) zobowiązania osób prywatnych w stosunku do innych osób prywatnych.

3) Zobowiązania chłopów mało- i średniorolnych oraz robotników rolnych, jeżeli wierzycielem jest posiadacz gospodarstwa bogatego, ulegają przeliczeniu w stosunku 100 zł. równe 1 złotemu w nowym pieniądzu.

4) Przeliczenie wkładów bankowych nastąpi w zależności od ich wysokości z tym jednak, że wkłady mniejsze (do 100.000 zł) przeliczone będą na równi z wkładami oszczędnościowymi.

5) Druga rata podatku gruntownego w 1950 r. i wpłata na FOR, płatne do 31 października, przeliczone będą według stosunku 100 zł dotychczasowych równe 1 zł w nowym pieniądzu pod warunkiem zapłaty do dnia 31 października 1950 r. włącznie, a gdy chodzi o gospodarstwa o przychodowości do 360.000 zł włącznie — do 5 listopada 1950 r.

### IV.

#### Walka ze spekulacją walutową

1) Posiadanie na obszarze Państwa walut obcych, monet złotych oraz złota i platyny (z wyjątkiem wyrobów użytkowych) bez zezwolenia Komisji Dewizowej jest zakazane.

2) Każdy, kto w dniu 30 października 1950 r. posiada waluty obce, monety złote, złoto i platynę (z wyjątkiem wyrobów użytkowych) obowiązany jest w ciągu dwu tygodni zgłosić je Narodowemu Bankowi Polskiemu. Posiadacz może równocześnie złożyć wnioski do Komisji Dewizowej o udzielenie zezwolenia na dalsze posiadanie. Komisja Dewizowa udzielać będzie zezwoleń na dalsze posiadanie złota i platyny niezbędnych do wykonywania zawodu, oraz poszczególnych monet złotych. W przypadku odmowy zezwolenia posiadacz obowiązany jest w ciągu tygodnia odsprzedać Narodowemu Bankowi Polskiemu walutę obcą, monety złote, złoto i platynę (z wyjątkiem wyrobów użytkowych) bądź zdeponować je w tym Banku. Komisja Dewizowa może na wniosek posiadacza depozytu zwalniać częściowo lub całkowicie zdeponowane w Narodowym Banku Polskim waluty, monety, złoto i platynę, o ile przemawiają za tym ważne przyczyny.

3) Każdy, kto w przyszłości otrzyma walutę obcą w przesyłce z zagranicy, obowiązany jest w ciągu tygodnia odsprzedać ją Narodowemu Bankowi Polskiemu lub zdeponować w tym Banku. Depozyt może być zwolniony według zasad określonych w pkt. 2.

4) Posiadanie bez zezwolenia walut obcych, monet złotych, złota i platyny (z wyjątkiem wyrobów użytkowych) podlegać będzie surowej karze. Kary za nielegalny handel walutą obcą, monetami złotymi oraz złotem i platyną zostały zaostrzone, aż do kary śmierci włącznie, przy czym przestępstwa te podlegać będą sądom doraźnym.

#### Jednorazowe wynagrodzenie wyrównawcze, dodatki i zasiłki

1) Pracownicy, którzy w myśl przepisów prawa, umowy lub zwyczaju otrzymywać mają najbliższą (po wprowadzeniu nowego pieniądza) kolejną wypłatę dopiero dnia 2 listopada 1950 r. lub później, otrzymają najdalej do dnia 4 listopada 1950 r. jednorazowe wynagrodzenie wyrównawcze w nowym pieniądzu. Wynagrodzenie wyrównawcze zależne będzie od ilości dni kalendarzowych od 1 listopada rb. do następnej wypłaty oraz od przeciętnego faktycznie wypłaconego zarobku w okresie poprzednim. Sposób obliczania wynagrodzenia wyrównawczego określa odrębna instrukcja Rady Ministrów.

2) Stypendyści otrzymają w czasie od 2 do 6 listopada 1950 r. jednorazowy dodatek w sumie 70 zł w nowym pieniądzu.

3) Emeryci, renciści i inne osoby otrzymujące stałe periodyczne zaopatrzenie ze środków publicznych, otrzymają jednorazowy zasiłek wynoszący od jednej czwartej do trzy czwartej miesięcznej emerytury, renty lub zaopatrzenia, w zależności od terminu wypłaty w miesiącu październiku. Sposób obliczenia zasiłku określa odrębna instrukcja Rady Ministrów.

Niezależnie od powyższego zasiłku, emerytury, renty i zaopatrzenia nadane przed 30 października rb. i nie wypłacone przed tym dniem wypłacone będą przez PKO i urzędy pocztowe w nowym pieniądzu, przy przeliczeniu według stosunku 100 zł. dotychczasowych równe 3 złotemu w nowym pieniądzu.



Dewizy		Pieniądze zagraniczne			
Kupno zł	Sprzedaż zł			Kupno zł	Sprzedaż zł
99,75	100,25	ZSSR Clear	100 Rubli	—	—
11,17	11,23	Anglia	1 £ st.	11,15	11,22
—	—	Argentyna	100 Peso	27,—	30,—
8,94	8,98	Australia	1 £ austral.	8,40	8,60
—	—	Austria	100 Sz. austr.	15,—	15,50
7,98	8,02	Belgia	100 fr. belg.	7,90	8,05
—	—	Brazylia	100 Cruzeiro	12,—	14,—
7,98	8,02	Czechosłow.	100 Kr. cz.	4,90	5,—
57,77	58,05	Dania	100 Kr. d.	50,—	55,—
11,46	11,52	Egipt	1 £ eg.	9,50	10,—
—	—	Finlandia	100 Mk f.	1,10	1,40
1,14	1,145	Francja	100 Fr. fr.	1,10	1,15
11,17	11,23	Izrael	1 £ izrael.	8,50	9,—
—	—	Jugosławia	100 Din	2,—	2,50
105,—	105,52	Holandia	100 Hfl.	95,—	105,—
3,85	3,87	Kanada	1 Dol. k.	3,83	3,87
55,86	56,14	Norwegia	100 Kr. n.	50,—	55,—
3,99	4,01	St. Zj. AP.	1 Dol. USA	3,98	4,02
92,20	92,66	Szwajcaria	100 Fr. Szw.	92,—	93,—
77,11	77,49	Szwecja	100 Kr. sz.	70,—	75,—
—	—	Węgry	100 Forin.	14,—	15,—
—	—	Włochy	100 L. it.	0,65	0,70

1 gram czystego złota — 4,50 zł.

Jakie znaczenie ma reforma pieniężna dla obywatela w Polsce i jakie są jej cele gospodarcze?

Jeśli wyobrazimy sobie osobę w Polsce, która w sobotę 28 października wieczorem nie posiadała żadnych pieniędzy krajowych lub zagranicznych, nie miała żadnych zobowiązań ani należności pieniężnych, a następnego poniedziałku otrzymała pracę za miesiąc listopad, to taka osoba nic nie straciła. Rzecz jednak w tym, że takich osób prawie nie ma. Pozostaje więc smutna prawda, że zdecydowana większość obywateli poniosła z dnia na dzień stratę. Jedni zostali zrujnowani, inni dotknięci w mniejszym lub większym stopniu. Pieniądze zostały wymienione w stosunku 100 zł starych do 1 zł nowego, a ceny w stosunku 100 zł do 3 zł, znaczy to, że każdy kto posiadał pieniądze w gotówce, lub na koncie bankowym powyżej 100 tys. zł stracił 2/3 posiadanej sumy.

Dla lepszego zrozumienia sytuacji zajmijmy się kilkoma przy-

kładami. Przypuśćmy na przykład, że ktoś miał oszczędności w gotówce 100.000 zł. Para półbutów gotowych, w średnim gatunku, kosztowała 10.000 zł. Obywatel taki mógł być właścicielem 10 par butów. Co stało się po reformie? Obywatel otrzymał po reformie 1.000 zł, a para butów kosztuje 300 zł. Zamiast 10 par, może on teraz kupić tylko 3 pary. Stracił 2/3 posiadanego majątku.

Inny przykład. Obywatel był winien do Skarbu Państwa, lub jakiegokolwiek instytucji państwowej, politycznej lub społecznej, 20.000 zł. Przygotował tę sumę do oddania. Przyszła reforma. Po wymianie otrzymał 200 zł. Ale zapłacić musi 600 zł, to znaczy trzy razy więcej.

Inny obywatel wpłacił w instytucji rządowej 20.000 zł na zakup węgla na zimę. Jeżeli z jakichkolwiek przyczyn węgla nie dostał, to zwrócono mu pieniądze w sumie — 200 zł. Cena jednak węgla jest obecnie trzykrotnie wyższa.

Samodzielny rolnik, w języku oficjalnym "kułak", jest w gorszej sytuacji. Traci tak jak wszyscy, ale otrzymuje dodatkowe ciosy. Jeśli pożyczył pieniądze małorolnym chłopom, to dłużnicy mają prawo zwrócić mu dług w stosunku 100 do 1, mimo że zobowiązania osób prywatnych względem innych osób prywatnych, winny być spłacane w stosunku 100 do 3. To samo dzieje się z jego oszczędnościami na koncie Społecznego Funduszu Oszczędności.

Syn przysyłał przez bank matce staruszce 25 dol. miesięcznie. Matka otrzymywała w Polsce 10.000 zł. Obiad "popularny" kosztował 200 zł. Matka miała równowartość 50 obiadów. Dziś matka dostanie za te same dolary 100 zł, ale obiad kosztuje 6 zł. Matczyńsko będzie musiało obejść się 16 obiadam.

Przykłady te ilustrują sytuację przeciętnego obywatela. Idzie zima. Ludzie normalnie odkładają w tym czasie pieniądze na zakup ciepłej odzieży, opału, zapasów zimowych. Poprzez komunikat radiowy dowiedzieli się, że zakupów nie robią, że przyjdzie im odmawiać sobie wszystkiego jeszcze przez pewien czas dla zdobycia potrzebnych rzeczy. Nieprawdą jest oświadczenie rządu warszawskiego, że człowiek pracy stracił nie wiele. Rzeczywiście, oszczędności ludzi pracy w Polsce są niewielkie w cyfrach bezwzględnych. Dla ludzi jednak którzy zarabiali 15.000 zł. miesięcznie, podczas gdy kilogram chleba kosztował 60 zł, mięsa wieprzowego 300 zł, smalcu 530 zł, każdy tysiąc oszczędzony to był wynik wielkich wysiłków i ofiar\*).

Jest rzeczą charakterystyczną, że ceny spirytusu i wódek podniesiono o 50%, właśnie równocześnie ze zmianą pieniądza. Brak gotówki zaraz po reformie i prohibicyjne ceny alkoholu.

Reforma kieruje jednak uderzenie finansowe, głównie przeciwko chłopom i tej części ludności miast, która cieszyła się

\* Oto kilka innych cen: masło 740 zł., groch 100 zł., buty gotowe 8 — 10 tys. zł., metr wełny ubraniowej 30% — 2.400 zł.



dotychczas choć cieniem niezależności materialnej od władz komunistycznych. Warstwy te posiadały więcej pieniędzy i ucierpiałły więcej.

W sensie ogólnego gospodarczym, reforma zmierza do osiągnięcia kilku celów.

Przede wszystkim reforma ratuje gospodarkę państwową przed inflacją. Od dłuższego czasu istniała w Polsce nierównowaga między ilością pieniędzy w obiegu, a ilością towarów, szczególnie ilością towarów konsumpcyjnych, na rynku\*). Otwarta inflacja w drugiej połowie 1947 r. została zahamowana w 1948 r. w dużej mierze nie pociągnięciami gospodarczymi, a administracyjnymi. Mianowicie, stworzono nowy straszak: "walkę ze spekulacją". Jeśli brak na rynku towarów i obywatele gotowi są płacić za nie wyższe sumy, bo ich potrzebują, to mówi się, że nie jest to wina rządu tylko sklepikarzy. W rezultacie, jeśli wzrost cen jest zahamowany, to towary znikają z rynku. Są one wykupione natychmiast po ukazaniu się, często przez uprzywilejowanych, lub pojawiają się na czarnym rynku, droższe o koszty pośrednictwa i ryzyka. Nie znaczy to że znika inflacja. W rzeczywistości istniała w Polsce po wojnie bez przerwy inflacja ukryta. W drugiej połowie 49 r. miały miejsce w Polsce wielkie wysiłki dla wykonania rocznego planu inwestycyjnego. Przeciętne miesięczne wydatki inwestycyjne w końcu 48 r. wynosiły 4 miliardy zł. W pierwszej połowie 49 podniosły się one do 9 miliardów zł, pod koniec roku wynosiły blisko 30 miliardów\*\*). Gwałtowne wstrzykiwanie środków płatniczych w społeczeństwo, bez równoczesnego wysiłku w produkcji dóbr konsumpcyjnych, doprowadziło do sytuacji, w której "walka z spekulacją" nie pomagała.

31 grudnia 1949 r. podniesiono ceny na niektóre dobra konsumpcyjne, jak tłuszcze, materiały wełniane i inne. Tym sposobem podłatano sytuację inflacyjną. W ciągu roku 1950, stawała się ona jednakże coraz bardziej widoczna i uciążliwa. Dla ratowania sytuacji trzeba było radykalnych pociągnięć. Wyjściem najprostszym wydawało się zwiększenie produkcji i spożycia dóbr konsumpcyjnych. Dla tego jednak trzeba by było zmniejszyć tempo nowych inwestycji. Przyjęto inne rozwiązanie. Uderzono własne społeczeństwo, zabrano mu oszczędności, które z trudem gromadziło w ciągu kilku lat, nie pozwalono mu na osiągnięcie choćby minimalnej samodzielności gospodarczej.

Nie ulega wątpliwości, że założenia gospodarcze reformy pieniężnej nie są tworem myśli polskiej. Są one zbudowane dokładnie na doświadczeniach podobnych reform przeprowadzanych w Rosji Sowieckiej. Również technika jest wypróbowana

\*) O wykonaniu planu 3-letniego w dziedzinie produkcji dóbr konsumpcyjnych, piszemy na innym miejscu (przyp. redakcji).

\*\*\*) Wiadomości Statystyczne Nr 1, Warszawa, styczeń 1950 r.

w Rosji i — trzeba to przyznać, jest w szczegółach obmyślana i skuteczna.

Najlepszym jednak być może dowodem na to, że reforma jest plodem myśli sowieckiej, jest jej stosunek do człowieka. Człowiek się nie liczy. Chyba, że jest wrogiem klasowym, którego trzeba zniszczyć. To, że krzywdzi się własnego obywatela, naraża się go na straty, wprowadza często w rozpacz, to są czynniki uboczne. Ważne są cele techniczno-gospodarcze. Trudno sobie doprawdy wyobrazić, aby rząd będący prawdziwą reprezentacją społeczeństwa mógł zdecydować się na taki rodzaj reformy. Może to zrobić rząd, który traktuje społeczeństwo tylko jako siłę do wykonywania pewnych zadań gospodarczych.

Spróbujmy obliczyć ile bezpośrednio straciło społeczeństwo w Polsce na ostatniej reformie pieniężnej. Oczywiście dokładne obliczenie jest niemożliwe, bo rząd warszawski przestał publikować wszelkie dane dotyczące obiegu pieniądza, działalności kredytowej banków i środków operacyjnych instytucji kredytowych. Stąd potrzeba szacunków, które uzupełniają niewiadome. Szacunki te jednakże starano się dokonać możliwie obiektywnie i oprzeć je na zjawiskach gospodarczych faktycznie zachodzących obecnie w Polsce. Wyniki jednak należy uważać tylko za wielkości orientacyjne.

Ostatnie dane o obiegu pieniężnym w Polsce dotyczą końca 1948 r.\*). Na tej podstawie można spróbować oszacować obieg pieniądza w okresach późniejszych.

Data	Obieg pieniężny	w miliardach zł. bieżących.	
		Pogotowie kasowe banków w bank- notach	Obieg netto
30.12.48	131,0	9,2	121,8
30. 6.49	180,0	12,6	167,4
30.12.49	250,0	17,5	232,5
30.10.50	330,0	23,0	307,0

Obieg banknotów w pierwszej połowie 1949 r. obliczono przyjmując taki sam rozwój jak w drugiej połowie 1948 r. W II-iej połowie 1949 r. obieg zwiększono w związku z gwałtownymi wydatkami inwestycyjnymi. Wzrost obiegu do końca października oszacowano na podstawie szeregu wskaźników życia gospodarczego, jak wzrost zatrudnienia, obrotów handlowych i inwestycji. Pogotowie kasowe banków nie jest znane. Przyjęto, że stanowi ono 7% całości obiegu. Mając na uwadze zarządzenia zmuszające do obrotu bezgotówkowego, procent ten oszacowano raczej wysoko.

Instytucje państwowe i spółdzielcze nie trzymają rezerw w

\*) Tablice Statystyczne Instytutu Gospodarstwa Narodowego Nr 3, Warszawa 1949 r.



gotówce. Rozrachunków między sobą dokonywują na kontach rozrachunkowych Banku Polskiego. Tylko drobne sumy wolno im wypłacać w gotówce, poza oczywiście wynagrodzeniami za pracę. Dlatego też większość obiegu przechodzi poza tymi instytucjami i znajduje się w rękach prywatnych. Przyjmujemy, że z ogólnej sumy obiegu, w rękach ludności znajdowało się 200 miliardów zł.

Poza zapasem gotówki w rękę, obywatele tracą 2/3 wkładów bankowych jeśli nie są one wkładami oszczędnościowymi i jeśli przekraczają sumę 100 tys. zł.

Ogólne wkłady bankowe długo i krótko terminowe w początkach 1949 wynosiły 160,0 mrd. zł. Suma ta podniosła się przypuszczalnie do października 50 r. do wysokości ok. 200 mrd. zł. W tej sumie udział przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych może być nieco większy niż w całości obiegu pieniężnego. Jednakże i tu trzeba mieć na uwadze, że przedsiębiorstwa te posługują się przede wszystkim swymi kontami rozrachunkowymi, które nie są wliczane w normalne konta bankowe. Na kontach bankowych odgrywają ciągle jeszcze rolę wkłady przedsiębiorstw prywatnych. Wydaje się nam, że nie popełnimy zbyt wielkiego błędu, jeśli oszacujemy udział społeczeństwa w wkładach bankowych na 1/4 tych wkładów, to znaczy na 50 mrd. zł.

Tak więc w rękach społeczeństwa znajdowało się ok. 250 mrd. zł. Z tej sumy 2/3 zostało zabrane, to znaczy 167 mrd. zł. Jeśli popełniono nawet błędy w szacunkach, to trzeba uznać, że suma ostateczna reprezentuje minimum strat. Nie uwzględniono tu strat płynących z zobowiązań prywatnych wobec państwa, które muszą być płacone w stosunku 100 : 3. Wszyscy podatnicy odczują te zobowiązania boleśnie pod koniec roku. Nie włączono do tej sumy strat spowodowanych utratą posiadanych walut zagranicznych i złota. Ta ostatnia pozycja jest wyjątkowo ważna i może stanowić sumę na prawdę dużą, przekraczającą straty poniesione w złotówkach, ale trudną do oszacowania. Jeśli popełniono błędy w szacunkach, to i tak należy uznać, że suma ostateczna reprezentuje minimum strat.

Przy tym wszystkim strata 167 mrd. zł jest sama w sobie stratą wielką. W przeliczeniu na dolary po uprzednim oficjalnym kursie (1 dol. = 400 zł) stanowi to 417 milionów dolarów. W porównaniu do dochodu narodowego w 1950 r. jest to prawie 10% całości tego dochodu. W stosunku do całości inwestycji planowanych w tym roku suma ta sięga 40% wartości tych inwestycji. Na głowę ludności strata wypada ok. 6.700 zł, co jest wiele, jeśli weźmie się pod uwagę zubożenie ludności.

Następnym celem reformy jest zmiana podziału zasobów posiadanych przez poszczególne warstwy społeczeństwa. Na reformie tracą wszyscy. Jednakże ludzie żyjący z płacy tracą mniej. Rzemieślnicy, drobni przedsiębiorcy, wolne zawody, a

przede wszystkim chłopi tracą więcej. Oto kalambur Churchilla w życiu praktycznym: "Kapitalizm to nierówny podział bogactw, komunizm to równy podział nędzy". Zamiast podnosić dobrobyt warstw upośledzonych, równa się wszystkich w dół.

Wyrównanie zbyt dużych różnic majątkowych pomiędzy obywatelami jest zadaniem każdego postępowego rządu. Jest na to wiele sposobów. Do najczęściej spotykanych należą polityka płac, opieka społeczna, system podatkowy, ograniczanie praw spadkowych. Niespodziewane jednak pozbawienie majątku własnych obywateli w sytuacji gdzie nie ma katerycznej potrzeby po temu, jest sposobem niczym nie usprawiedliwionym.

Jest rzeczą ogólnie znaną, że ludzie w Polsce często trzymali swe oszczędności w dolarach, lub monetach złotych.

Przeżycia ostatniej wojny wykazały, że oszczędności takie były nieraz zbawienne. Obecna reforma praktycznie niszczy te oszczędności. Nie należy zapominać, że jeśli ktoś nie musiał, to nie posługiwał się kursem oficjalnym przy sprzedaży posiadanych walut lub złota.

Dalecy jesteście od pochwały czarnego rynku. Czarny rynek jest chorobą gospodarczą i społeczną. W krajach rządzonych zgodnie z interesami własnego społeczeństwa, operacje czarno-rynkowe są przestępstwem wobec własnego państwa i współobywateli. Czarny rynek jest objawem przejściowym. Mija wraz z stabilizacją życia gospodarczego.

W krajach rządzonych wbrew woli społeczeństwa czarny rynek jest formą samoobrony. Czy przeżylibyśmy okupację niemiecką, gdyby nie istnienie tego rynku na każdym kroku?

Dziś sytuacja w Polsce nie jest tak drastyczna, ale zawiera podobne elementy. Często obywatel, aby żyć musi sprzedawać drobiazgi wartościowe, wyciągnąć ze schowka monetę złotą, lub bilet dolarowy, który uchował się jeszcze do tego czasu. To prawda, że pomiędzy ludźmi mającymi jakieś zasoby walutowe mogą być spekulanci, Volksdeutsche, dorobkiewiczze na handlu z Niemcami lub obecni dygnitarze partyjni, wzbogaceni na różnicach cen sztywnych i rynkowych. Ich obecność nie usprawiedliwia jednakże metody Heroda. Dla zniszczenia kilku jednostek nie można niszczyć masy ludzi, których jedyną zbrodnią była chęć posiadania choć drobnej rezerwy na wypadek konieczności życiowej. Wysiłkiem każdego uczciwego rządu, jest stworzenie warunków w których te oszczędności ujawnią się w sposób legalny i nie przynoszący szkody obywatelom. Nawet w komunistycznej Czechosłowacji istnieją sklepy, gdzie można kupić towary za dolary, bez podawania nazwisk.

Osobnicy, którzy dorobili się majątku w sposób przestępczy winni być wyszukiwani i karani. Pozbawienie jednak wszystkich, en bloc, drobnych oszczędności, które trzymane były w walucie obcej, bo nie było innego sposobu przechowywania wartości, pozbawienie ludzi choćby drobnego zabezpieczenia na



przyszłość, często na starość, bez równoczesnego zapewnienia im opieki społecznej, to jest posunięcie, które może dokonać tylko rząd czujący się okupantem we własnym kraju.

Reformę wyzyskano jako bezpośrednie narzędzie dla uzyskania celów politycznych. Głównym objawem tego jest niszczenie przy jej pomocy samodzielnych chłopów. Są to w języku urzędowym "kułacy". Oni to stanowią element szczególnie niebezpieczny dla komunizmu, bo są w pewnej mierze niezależni od władz. Po ich zniszczeniu zamiana innych chłopów w państwowych robotników rolnych, przyjdzie łatwiej.

Dla samodzielnych gospodarzy wiejskich cios jest ciężki. Są oni jednak jeszcze tak silni, że jeden cios nie wystarczy do powalenia ich. Muszą spodziewać się nowych. Dla komunizmu rosyjskiego każdy niezależny obywatel jest groźbą.

Dla "inicjatywy prywatnej" w miastach reforma jest w większości wypadków ciosem kończącym jej istnienie. Niszczona od dłuższego czasu podatkami i szikanami administracyjnymi nie będzie miała prawdopodobnie dość sił, aby przejść jeszcze i przez tę próbę. Reforma pieniężna utworzyła znakomicie drogę sowieckiemu komunizmowi w Polsce przez zniszczenie lub osłabienie tych elementów społeczeństwa, które mogą przeciwstawić mu opór.

Reforma zebrała z obiegu nadmiar siły nabywczej w stosunku do istniejących dóbr. Ratuje to przed inflacją, ale nie daje możliwości finansowania nowych inwestycji. Reforma poszła jednak dalej. Wyrwała ona pewną ilość siły nabywczej od społeczeństwa, która była w równowadze z sumą dóbr i usług na rynku. Sprowadziło to zjawisko braku pieniądza. O brakującą do równowagi ogólną sumę, Państwo będzie mogło zwiększyć wydatki inwestycyjne. Tak więc reforma służy w części jako źródło finansowania inwestycji. Oczywiście jeśli polityka gospodarcza pójdzie dalej w dotychczasowym kierunku, to za dwa lata wytworzy się sytuacja inflacyjna ponownie. Trzeba więc będzie zabieg powtórzyć, lub opanować rolnictwo na tyle, aby móc kontrolować tam w bezwzględny sposób dochody ludności.

Reforma stwarza nowe kursy wymiany między złotym i walutami obcymi. Podano je w tabeli urzędowej na początku tego artykułu. Są to kursy sztuczne, niczym nie usprawiedliwione. Równowartość złotego do 0,22 gr. czystego złota jest fikcją. Polska nie ma złota na pokrycie swej waluty, a gdyby nawet miała, to nie trzymałaby go w piwnicach Banku Polskiego tylko dla pokrycia obiegu. Dla kraju oparcie o złoto ma znaczenie tylko propagandowe, prestiżowe, nie ma żadnego znaczenia praktycznego. Jest to nowy wyczyn "dialektyki marksistowskiej": waluta oparta na złocie, posiadanie lub handel złotem jest zbrodnią.

Parytet złota ma natomiast znaczenie zasadnicze i perfidne w stosunkach z zagranicą. Fikcja wartości złota daje usprawiedliwienie dla ustalenia sztucznych kursów wymiennych. W rozliczeniach międzynarodowych, tam gdzie Polska będzie występowała jako równorzędny partner, kursy te będą miały małe znaczenie. Obowiązywać tu będą dwustronne warunki wymienne wyrażone w towarach.

Inaczej sprawa może się przedstawiać w stosunkach handlowych z Rosją Sowiecką.

W tej chwili trudno jest ocenić jak wpłynie reforma pieniężna na te stosunki. Miejmy nadzieję, że kształtować się będą one niezależnie od mechanicznego przeliczenia 1 zł = 1 rubel. Gdyby taka sytuacja zaistniała, byłoby to katastrofą gospodarczą dla Polski. Wyjaśnić to można następującym przykładem. Polska sprzedaje na zachód 1 tonę węgla za 13 dol. Tona węgla wysyłana do Rosji kosztowałaby więc 52 rub. Mimo jednak historii o zawartości złota, rubel jest przewartościowany w stosunku do dolara o około 250%\*) W rzeczywistości więc Polska dostawałaby od Rosji nie 13 dol. a tylko 5,2 dol. Było by to prawdą dla wszystkich artykułów wysyłanych do Rosji, które Polska mogłaby sprzedawać na Zachód. Równocześnie Polska musi kupować wiele surowców, a przede wszystkim maszyn z Zachodu. Otrzymując od Rosji mniej, a płacąc na Zachodzie więcej, bilans płatniczy Polski musiałby pogorszyć się niepokojąco. Wyjściem sytuacji, byłoby kupować wszystko w Rosji i sprzedawać tam wszystko po cenach, które by odpowiadały sobie tak po stronie importu jak i eksportu. Jest to oczywiście niemożliwe, bo Rosja nie może dostarczyć nam tego czego potrzebujemy. Istnieje jednak obawa, że Rosja zmierza wbrew wszelkim interesom Polski do monopolizacji handlu zagranicznego Polski, po to, aby móc dyktować całkowicie warunki wymienne, jakie uzna za wskazane.

Warunki wymienne z Rosją nigdy nie były publikowane. Pociągało to podejrzenie, że są one niekorzystne dla Polski. Reforma monetarna zwiększa te obawy bardzo znacznie. Jest rzeczą widoczną, że Rosja zmusza kraje satelickie, a więc i Polskę, do zwiększania z nią obrotów handlowych. Przez zastosowanie niekorzystnych dla Polski warunków wymiany, — o czym będzie wiedziało tylko kilka ludzi w Polsce — wyniki pracy i wysiłku robotnika polskiego nie zostaną w kraju, ale będą wzmacniać gospodarczo i politycznie Rosję Sowiecką.

Kursy walutowe stwarzają jeszcze jeden mur pomiędzy Polską, a krajami Zachodu. Nieliczni cudzoziemcy będą się czuć w Polsce tak, jak dyplomaci zagraniczni czują się w Moskwie. Na obiad z trzech dań poza Gospodą Ludową wydadzą 6 dol., za pokój w hotelu zapłacą za dobę 12 dol., oczywiście jeśli to

\*) Obliczenie wskazujące ten procent zostało dokonane w Międzynarodowym Funduszu Monetarnym w Washingtonie.



nie będą goście na Kongres Pokoju. Ich utrzymanie wliczone jest w koszty handlowe rządu.

Murów natomiast nie ma na wschodzie. Przeciwnie. Wrota do unifikacji są szeroko otwarte. Złoty = 0,22 gr. złota = rubel. Trudno się oprzeć obawom, daj Boże niesłusznym, że unifikacja pieniądza jest tylko wstępem. Następnym krokiem może być zrównanie cen. Aby to osiągnąć należy zrównać koszty produkcji, a więc płace robotnicze. Ludność Polski po dotychczasowych smutnych doświadczeniach patrzy z trwogą w przyszłość, czy z oparów propagandy nie wyłoni się tragiczna sytuacja, w której obok niewoli politycznej, nie będzie zmuszona zejść do poziomu życia robotnika Leningradu, czy Stalingradu, lub nawet, nadwyżkami swej pracy podnosić jego smutny standard życiowy.

Jan KOWALSKI.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY  
I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

**„GRYF” Publications Ltd.**

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11

Tel. BATTERSEA 0879

*We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy*

## Sprawy i troski

### Nie łatwo być ambasadorem

To jeszcze za wojskowych czasów wbijano w głowy przyszłych pekapeerowców znany slogan o ambasadorach. Przed wojną „ambasadorem” była także Loda Halama, gdy tańczyła w stolicach tych państw, które miały głos w sprawach, pośrednio tylko z choreografią związanych, a więc np. takich, jak wojna i pokój. Po Jałcie, a ściślej mówiąc — po wojnie, a jeszcze ściślej — po dniu 5 lipca 1945 roku funkcje ambasadorów zostały w sensie dosłownym przerzucone na tzw. szarą masę uchodźczą. Jeśli piszę, że stało się to w sensie dosłownym — to w moim mniemaniu nie popełniam błędu.

Otóż od fatalnego dnia lipcowego, zmarła, zniknęła, rozbroiła się dobrowolnie jakakolwiek poważniejsza robota ambasadorska tych ludzi, którzy z różnych względów w masie paruset tysięcy emigracyjnych ambasadorów winni iść w pierwszym szeregu, na czołe powojennej burzy.

Polski smolarz z Białowieży, który przez 5 lat walcował bogactwa egzotycznego Trynidadu na walijskich szosach, więcej uczynił na swoim odcinku dla przedstawienia prawdy upartym opowiadaniem o tym, co przeżył i widział w proletariackiej Rosji, niż utalentowani twórcy mądrych memoriałów, przeznaczonych na wewnętrzny użytek w gronie londyńskich przyjaciół.

Ten sam smolarz z Białowieży, a także „bywszy” organista z Ejszyszek, który jest teraz pomocnikiem kowala w Sheffield, a także kamieniarz z Janowa, który ryje korytarze węglowe w Cardiff, a także setki, tysiące, może dziesiątki tysięcy byłych krawców, aptekarzy, kominarzy, gminnych pisarczyków, kaprali, wachmistrzów i starszych strzelców — to dobrzy ambasadowie naszej sprawy.

Ci ludzie potrafili przełamać dławiący krąg swych trosk osobistych i rozpaczy, i prostym ludziom z Wysp mówili mową prostą o czymś, co jest większe od ich własnych domów zgubionych w kresowych miasteczkach, co jest większe nawet od ich po-



deptanej Ojczyzny. Mówili o ludzkości, której ciosem śmiertelnym zagraża stalinizm.

Ci ludzie bez nazwiska i bez fałszywych ambicji politycznych — mądrze, jasno, uczciwie, po gospodarsku wzięli się już przed laty za tę robotę, którą dziś na alarm usiłują nadrobić najtęższe głowy tej politycznej półkuli, na której stoi nasz wygnańczy dom.

Oczywiście rozumiem proporcję dokonań i zakres możliwości i zasięg działania, ale też jestem zdania, że bezimienny emigrant zrobił w imieniu Polski w ciągu ostatnich pięciu lat bez porównania więcej, niż cały pęczek, a nawet cały kompletny bukiet naszych polityków. Ten sam emigrant, reprezentując imię Polski, potrafił, w ogromnej swej większości, zachować to imię w formie nieskalanej, dzięki czemu jeśli nie zburzył, to w każdym razie naruszył i zdumiał tradycyjną twierdzą wyspiarskiej ksenofobii. Także w ogromnej swej większości bezimienny emigrant potrafił zachować polskie zwyczaje, nie naruszając tutejszych, prawo uszanował broniąc równocześnie swej polskiej godności zaiste z chłopskim uporem i rozsądkiem. Okazał się także głosem niezawodnej, a do niedawna jedynej, propagandy pro-polskiej i anty-bolszewickiej.

Wszystko to w sumie sprawia, że chyba po raz pierwszy wewnętrżnie polski slogan przestał być mdłym i bezwartościowym frazesem. Tzw. szary emigrant, obarczony godnością, której często nie rozumiał nawet w sensie czysto znaczeniowym, okazał się dobrym ambasadorem naszej sprawy i — jak dotąd — jedynym.

Można by ułożyć całą listę spraw i zagadnień, które winny być w ostatnim pięcioleciu (nawet mimo nieuznawania legalnego legalnego rządu R.P.) załatwione przez ludzi, którzy po wielokroć mają odwagę powoływania się na mandat, zaufanie i poparcie jeśli nie całego narodu polskiego, to w każdym razie jego ogromnej części. Wiele tych spraw — to być albo nie być dla Polski, która powstanie po klęsce komunizmu. Ile spośród nich utonęło bezpowrotnie w bałaganie taniutkich, partyjnych sporów?

Dziś chcę pisać o jednej tylko, konkretnej sprawie. Mianowicie o sprawie Tadeusza Wyrwy, który na mocy generalnej nominacji także do naszych ambasadorów należy.

Na przykładzie tarapatów tego młodego człowieka widać jak na dłoni, że tylko w londyńskim światku naszych polityków trudny czas powojenny zatrzymał się na jałtańskiej godzinie. Dla reszty świata, dla całej tej reszty, która — mimo wszystkich wobec niej antypatii i uprzedzeń — wydaje się naszym jedynym potencjalnym sprzymierzeńcem, te pięć lat oznacza przebywanie trudnej i jeszcze nie skończonej drogi od rooseveltowskich złudzeń i kłamstw aż po katyńskie strzały w potylicę na Korei. Oznacza także ewolucję w pojmowaniu wszechludzkiej

solidarności w kwestii między innymi takiej, jak pojęcie wolności i niewoli.

To w imię tej ewolucji Tadeusz Wyrwa stanął przed amerykańską komisją poborową. Wydaje mi się, że zajęte przez niego stanowisko jest zagadnieniem bardziej skomplikowanym, niż to wygląda w świetle dotychczasowych omówień.

My Polacy mamy historyczny (i najszlachetniejszy) uraz do wszelkiego rodzaju branek i ekspedycji janczarskich. Ale mamy też chorobliwą skłonność do zakładania, że sprawa naszych terytorialnych roszczeń jest alfą i omegą dziejowych procesów i że wg. powszechnie znanej metody (słoń a sprawa polska) wytyczenie linii granicznej np. na ukochanych moich Kresach północno-wschodnich powinno być punktem wyjścia wszystkich poczynań antybolszewickiego świata.

I chyba tylko na złość samym sobie nie chcemy widzieć, że (na nasze szczęście) takie St. Zj. z roli światowego bankiera o nie zawsze czystych rękach przechodzą do trudnej roli przywódcy w idącym procesie historycznym, który — da Bóg — stanie się krucjata.

To przejście dokonywuje się bez naszego (choćby symbolicznego) udziału i jakkolwiek trudno dziś jeszcze przewidywać, jak daleko przeobrażenia amerykańskiej — a co za tym idzie i światowej polityki pójdą, to jednak te które już się dokonały powinny nas, Polaków, w pierwszym rzędzie napawać nadzieją i radością, jak pierwszy błysk jutrzni po dusznej, koszarnej nocy. Do tych trudnych przeobrażeń nie możemy z miejsca podchodzić z negacją, choćby najpatriotyczniej umotywowaną.

Wydaje mi się, że z punktu widzenia spraw większych, niż my wszyscy — postawa Tadeusza Wyrwy jest błędna. W kraju wolności wolno było Tadeuszowi Wyrwie odpowiedzieć odmownie na wezwanie do wojska amerykańskiego, bo takie jest jego dobre prawo, bronione zresztą tą samą ustawą, na mocy której został wezwany przed komisję poborową. Moim zdaniem byłoby wszystko w porządku, gdyby stanowisko Wyrwy pozostało jego stanowiskiem osobistym, stanowiskiem pojedynczego ambasadora polskość, skazanego na samotną decyzję w sprawie niewątpliwie trudnej. Ale od chwili, gdy z Wyrwy całą siłą talentu i wymowy próbujemy zrobić symbol, a zarazem wzorzec obowiązujący na najbliższą przyszłość — to od tej chwili, moim skromnym zdaniem, zaczyna się nieporozumienie.

Głównym środkiem, przy pomocy którego broni się w londyńskiej prasie emigracyjnej stanowiska Wyrwy jest — oprócz ironii w stosunku do St. Zj. i ich aktualnego prezydenta — także argument, w moim przekonaniu dosyć powierzchownie uzasadniony, a mianowicie, że Ameryka bije się o równoleżnik, a nie o ludzkość. Bo ja wiem...? Co prawda jeszcze nikt z tamtej strony oceanu nie zadeklarował, że po wyzwoleniu Seulu nastąpi natychmiastowe wyzwolenie Kowna i Warszawy, Budapesztu i Sofii, ale też trudno do akcji mobilizowania świata podjętej



przez Amerykę doczepiać tylko etykietkę holywoodzkiego technicoloru.

Amerykański technicolor o tyle w międzyczasie uległ przeobrażeniu, o ile czerwień farbowanych sztandarów i przyjaznych transparentów na cześć starego Joe Stalina różni się od autentycznej czerwieni krwi. Żołnierz amerykański, który tę krew na pobojuwiskach Korei przelewa, nie nosi co prawda frygijskiej czapki, ani też nie przepasał się szarfą, z której wyczytać można najpiękniejsze słowa o równości, wolności i braterstwie. A trzeba powiedzieć, że mógł to uczynić z łatwością choćby tylko dlatego, że jego ojczyzna jest zarazem ojczyzną najbardziej gigantycznej reklamy. Natomiast ten żołnierz na rozkaz swego prezydenta poszedł bić się *samotnie*, zostawiając w swoim bogatym kraju miliony aut i owe nylonowe drapacze chmur i owe fryzdyery, czyli po naszymu lodówki. Dziwne, że wokół tej walki przez długie tygodnie ciągle samotnej i jak każda walka żołnierska — ofiarnej powstał szum podobnych ocen: naszych, emigracyjnych i politruckich z tamtej strony kurtyny. Że to niby wojna o prywatne cele kapitalistyczne Ameryki, że interwencja imperialistów. Stwierdzamy to przecież nieodparcie (rzecz jasna — po wersalsku, w jedwabnych rękawiczkach) gdy np. powtarzamy reporterski frazes o "wojnie za wuja Sama" i podajemy go czytelnikowi w sposób dogmatyczny.

Nie chcemy jednak dostrzegać, że równocześnie z uwolnieniem Seulu Kongres St. Zj. uchwała najbardziej radykalną ustawę antybolszewicką i że na forum Narodów Zjednoczonych właśnie te same Stany stają się bezspornym przywódcą w akcji przeciw Sowiетom.

Jeżeli wojna koreańska nie jest jeszcze tą świętą wojną o wolność, na którą czekamy, to chyba nie będziemy w niezgodzie z prawdą, jeśli stwierdzimy, że stanowi ona wyjście harcówników przed mającą nastąpić rozprawą. Ci harcównicy skierowali swą broń w kierunku tych, których my — Polacy — uważamy za naszych największych wrogów.

Pan Zygmunt Nowakowski wnioskuje z fotografii prezydenta Trumana, że ten mąż stanu "zdaje się nie mieć żadnego zdania". Pomijam skuteczność tego rodzaju odcyfrowywania mających nastąpić wydarzeń, ale nie należy podobnymi "chwytami" odbierać wiary w skuteczność naszej — powiedzmy — walki tym polskim emigrantom, którzy mają możliwość oglądania także fotografii innych polityków, a już szczególnie tych rodzimego chowu, którzy czasami obiecują mocą swego geniuszu nie tylko wskrzesić Wolną Polskę, ale też przebudować Europę i zreformować Amerykę.

A przecież — popuszczając wodze marzeniom, które mogą się oczywiście lada chwila spełnić — możemy sobie wyobrazić, że oto ten pan Truman z wyśmianej fotografii powie pewnego pięknego poranku "basta" pod adresem "ambasadora" cza-

su Bieruta p. Winiewicza i zwróci się do legalnej reprezentacji wolnych Polaków. I że za tym Trumanem, jak pacierz za panią matką, powtórzą to samo i p. Attlee i p. Schuman i inni.

Co — przepraszam za niedyskretne pytanie — będzie mógł wtedy nasz rząd rzucić do wspólnej antybolszewickiej puli? Czy chroniczne spory wewnętrzno-partyjne i nieuregulowane zasadnicze sprawy sąsiedzkie z historycznymi i nieuniknionymi sąsiadami Rzeczypospolitej, którzy, tak samo jak my, mierzą swe życie śmiercią komunizmu? Czy może deklamacje o natchnieniach i przedmurzach, które już dawno winniśmy włożyć między najbardziej ponure bajki? Czy może ciężar krwi do tej pory przelanej i widmo kraju zamienionego na poły w cmentarz, na poły w dom niewoli? Czy może jeszcze raz te same słowa, że żołnierz polski bił się na wszystkich frontach, a nie było mu dane... itd?

Jaką, przepraszam, myślą polityczną możemy się zarekomendować wobec świata, my — którzy nie mamy żadnego programu, a tylko hasła, my — którzy tak jesteśmy zakochani w przeszłości, że nie dostrzegamy dnia dzisiejszego?

Pociąg historii, po okresach trudnych postojów, rusza co pewien czas pełnym tempem i wprawia ziemię w drżenie, a my — zawsze spóźnieni podróżni — zostajemy na peronie bezradni i opuszczeni, zaczytani w rozkład jazdy z minionej epoki.

Mówimy często o polskim wkładzie krwi w drugą wojnę światową. Wydaje mi się, że ta druga wojna jeszcze się wcale nie skończyła (tak jest zresztą pod względem formalno-prawnym) a zatem jeszcze nie czas na robienie ostatecznego rozrachunku. Los chciał, że w okresie czasowego zawieszenia broni, albo jak wolą inni: w okresie zimnej wojny, możemy się wykazać w bilansie strat pozycją — niestety — największą, co jednak wcale nie oznacza, że do rzeczywistego końca drugiej wojny światowej będziemy niezłomnie utrzymywać ten smutny rekord.

Druga wojna, podjęta w imię tak przestarzałych pojęć, jak obrona granic, stała się w trakcie swego trwania wojną par excellence ideologiczną. Możemy tylko ubolewać, że nasz obóz, a mianowicie obóz zachodni trudne zadanie szczegółowego formułowania swojej ideologii podjął dopiero w późnej fazie starcia, gdy już giną ludzie i narody.

My jednak — aby żyć — musimy wierzyć, że tym razem słowo o wolności, wypowiedane przez przywódców zachodniego świata przestało być sloganem, z typu tych, na które zawsze w przeszłości tak łatwo dawaliśmy się nabierać. Największy żyrant weksła, który musimy przyjąć, płaci już teraz krwią swoich obywateli, a my — powtarzam: aby żyć — musimy wierzyć, że choćby dlatego wielkie słowo o wolności pomieści też w sobie sprawę naszej Ojczyzny.

Osobiście jestem bezwzględny wrogiem sloganów i deklamacji, pojmovanych jako haszysz, który ma obraz rzeczywistości przemienić w miraż. Dlatego też uważam, że stanowisko obecne rządu St. Zj., który nie określa arbitralnie szczegóło-



wych powojennych porządków — jest o wiele uczciwsze od rooseveltowskiego przegrania się na temat natchnienia świata.

Nim armie naszego obozu wywalczą to ostateczne, upragnione zwycięstwo — to ludzie mądrzy i reprezentujący wszystkie wolne narody będą mieli dość czasu na ustalenie zasad przyszłego współżycia międzynarodowego. Będzie tam miejsce i dla nas!

Pan Nowakowski wie doskonale, że zakończenie amerykańskiej idylli z Bierutem nastąpi wcześniej czy później. Na pewno jednak ani nie wcześniej ani nie później, niż zerwanie z czerwonym bossem towarzysza Bieruta. Takie zerwanie oznacza wojnę, w której nasze miejsce chyba nie podlega dyskusji. Czy można się dziwić, że, nim ta wojna, ten krok ostateczny stanie się faktem, St. Zj. wysyłają wici do wszystkich swych sojuszników. Pamiętamy przecież dramatyczny apel U.S.A. do Zjednoczonych Narodów z pierwszej fazy wojny koreańskiej, apel już nie o faktyczne wsparcie wojskowe, ale o symbol solidarności.

Od nieuznawanych de facto ambasadorów Rzeczypospolitej rozsiadanych po świecie — jedyna materialna ostoja naszej niepodległości: Stany Zj. żądają tej samej solidarności, choćby symbolicznej, ale czynnej. Bo rząd St. Zj. wie lepiej, nawet od naszych najświetlejszych publicystów, że pokonanie wewnętrznych oporów amerykańskiej opinii, jeszcze straszonej po nocach widmami przyjaźni z Sowietami, jest zadaniem nie wiele łatwiejszym od zwycięstwa nad Stalinem.

To do tej akcji, a nie do zdobywania Seulu był potrzebny armii amerykańskiej — żołnierz Armii Krajowej, żołnierz polski Tadeusz Wyrwa, a jutro — być może — ja będę potrzebny.

Antysowiecki, polityczny emigrant odmówił, i tak mu wolno w kraju rzeczywistej wolności, ale nie wiem czy straty propagandowo-polityczne, wywołane tą odmową, potrafił on wyrównać swoim patriotycznym, o najpiękniejszych intencjach, wkładem na temat jałtańskich krzywd i legalizmu. Amerykanie i tak doskonale wiedzą, kto jest konstytucyjnym prezydentem Rzeczypospolitej, a my powinniśmy pamiętać, że nie ugasi się pożaru pomstowaniem na komendanta straży ogniowej, do którego mamy żal, że nam się od pewnego czasu nie kłania.

Nie jest na pewno winą bezimiennych emigracyjnych ambasadorów Polski, że "o naszej ojczyźnie piszą w Ameryce tylko gazety polskie". Zrzekam się w tym względzie roli prokuratora, ale wydaje mi się, że jeżeli teraz po "sprawie Wyrwy" zaczną pisać także amerykańskie, to chyba trudno nam oczekiwać, by czyniły to w tonie naszych pobożnych życzeń.

Reprezentacja Ojczyzny, szczególnie w warunkach uchodźstwa politycznego, często dla przeciętnego obywatela stanowi ciężar ponad siły. Wymaga pomocy ze strony czynników fachowych, a nade wszystko wymaga wsparcia, które może być tylko wynikiem wypracowania myśli politycznej, a nie bezstroskiego przeskakiwania od sloganu do sloganu.

Piszę o tym wszystkim, bo siebie także uważam za ambasadora swojego Kraju, bo nie mam ani starej ani nowej Ojczyzny, a tylko stale i niezmiennie jedną i tę samą, bo prawdopodobnie już nie długo znajdę się obok Wyrwy w amerykańskim "tyglu" i jestem absolutnie gotowy zrzec się z góry zaszczytu obywatelstwa St. Zj., ale nie wiem, czy w ramach swoich ambasadorskich obowiązków potrafię zdobyć się na odmowę walki przeciw wrogowi numer jeden mojej jedynej Ojczyzny.

Pragnę tu dodać, że żołnierzem byłem i jestem o tyle tylko, o ile musi nim być każdy Polak, rozumiejący swą wobec Kraju powinność. Na swój prywatny użytek notuję instytucję wojska raczej nisko, a już szczególnie trudno mi się pogodzić z koniecznością służenia w wojsku ad calendas graecas i to w odniesieniu do ludzi, którzy nawet nie marzyli o czynieniu z wojska profesji.

Jednak w sytuacji, jaką zastał przełomowy rok naszego stulecia, muszę pod groźbą zgubienia się w beznadziej, uwierzyć, że droga wskazywana obecnie przez St. Zj. prowadzi tam, gdzie "słów wielkich jest wspólna kraina jedna dla ludzi wszystkich i taż sama". A więc, że moja wolność tym razem nie będzie inna, niż ta, którą się słusznie szczyli ziemia Washingtona. Że będzie to wolność prawdziwa!

Oczywiście, wierząc tak, zajmuję pozycję czysto subiektywną, i nie ośmielam się nikomu zalecać mej wiary, jako cudownego środka. Ale też nie mogę pogodzić się z tym, by podana przez Wyrwę, a zaakceptowana przez publicystów londyńskich, formuła antybolshewickiej postawy stanowiła tę driakiew, która ukoi boleści i niedomagania naszej sytuacji politycznej. Wątpliwę też bardzo czy w ogóle sprawie naszej w jakikolwiek sposób pomoże.

Nasza krew na pewno nie będzie (jak to zawsze dotąd mylnie zakładaliśmy) argumentem na żadnej konferencji pokojowej, ale nasza odmowa czynnej solidarności z sprzymierzeńcami naturalnymi i jedynymi — może nas pozbawić poparcia najzyczliwszych, a — niestety — coraz mniej licznych przyjaciół.

Dlatego też, gdy znajdę się w sytuacji Wyrwy to, jako obywatel polski, a gość ziemi amerykańskiej, nie odmówię spełnienia obowiązku służenia w tej armii, która kiedyś niewątpliwie uderzy w Sowiety. Ale nim wdzieję ten obcy, choć przyjazny mundur — to jako obywatel Rzeczypospolitej Polskiej zwrócę się pierwszej do Głowy Państwa Polskiego z prośbą o pozwolenie.

Kiedy tę zgodę otrzymam — to pójdę do wojska amerykańskiego, mimo że jestem typowym "cywilem", mimo że mam na obczyźnie swój tułaczy dom i syna, którego chciałbym wychować na prawego Polaka, mimo że jeszcze nie zupełnie udało mi się otrząsnąć z koszmarów Września, okupacji, służby w Armii Krajowej, Powstania i niewoli...



## Kronika emigracyjna

LONDYN.

### Wybory do Rady Narodowej

Gen. R. Odzieżyński w przemówieniu wygłoszonym na posiedzeniu Rady Nar. w dn. 20 ub. m. powiedział m. in.: "Okres, który jest przed nami Rząd użyje na pracę rzeczową, a na odcinku zagadnień związanych z wciągnięciem coraz szerszych rzesz społeczeństwa do czynnego udziału w życiu publicznym zmierzać będzie do rozszerzenia składu obecnej Rady do realizacji zobowiązania zaciągniętego przez rząd poprzedni w sprawie ordynacji wyborczej. W dążeniu tym, do realizacji którego Rząd mój przywiązuje wielką wagę — widzę dowód demokratyczności naszych poczynań. Chcę tu jasno i wyraźnie powiedzieć wobec głosów jakie mnie dochodzą z zewnątrz — że trzon Rady Narodowej pozostaną i nadal przedstawicielstwa Stronnictw Politycznych, ale uważamy za słuszne i konieczne, aby ta część narodu, która znalazła się na emigracji miała również możliwość wyboru swych bezpośrednich przedstawicieli".

W tydzień później Prezydent R.P. zamykając pierwszą sesję III Rady Narodowej powiedział m. in., że pragnie "stworzenia Rady Narodowej składającej się w przeważającej części ze stronnictw politycznych, a w części z działaczy wyłonionych z uchodźstwa na zasadzie wyborów".

Sformułowania powyższe są całkowicie niejasne. Czy należy rozumieć, że przyszła Rada Narodowa ma składać się "w przeważającej części" ze stronnictw politycznych, które, jak zapewnia gen. Odzieżyński, pozostaną i nadal "trzonem" Rady Narodowej?

Projekt Dekretu Prezydenta R. P. o Ordynacji Wyborczej (przyjęty przez Komisję Ordynacji Wyborczej w dn. 10 maja 1950) postanawiał w Art. 1: "Połowa ustawowego składu Rady Narodowej R. P. będzie wybrana w trybie określonym w niniejszym dekrete".

Jeżeli w przyszłości Rada Narodowa miałaby mieć mniej niż 50% członków pochodzących z wyborów — innymi słowy gdyby wybrani członkowie Rady stanowili mniejszość — zapowiada to zarówno Prezydent jak i Gen. Odzieżyński — to należało by uznać, że Ordynacja Wyborcza i wybory nie spełniły swojego zasadniczego zadania. Nie wydaje się bowiem rzeczą słuszną — tym mniej demokratyczną — aby ci, którzy reprezentować będą masy uchodźcze płacące na Skarb Narodowy — stanowili dekoracyjną mniejszość w przyszłej Radzie Narodowej i tym samym pozbawieni byli poważniejszego wpływu na kontrolę gospodarki państwowej. Płatników na Skarb Narodowy reprezentować będą w 50% członkowie Rady pochodzący z wyborów. Wydaje się przeto, że gdyby im przyznano przynajmniej połowę mandatów nie działoby się to z krzywdą przedstawicieli stronnictw politycznych.

### Uniwersytet polski na emigracji

W polskich kołach naukowych rozważany jest projekt utworzenia w Anglii polskiego uniwersytetu. Wykłady odbywałyby się w godzinach wieczornych by dać możliwość kontynuowania studiów pracującym zarobkowo. Gdyby tę inicjatywę powiodło się zrealizować — wielu inteligentów, którzy przerwali studia, miałoby możliwość podjęcia ich ponownie. Dotyczy to w pierwszym rzędzie b. studentów z wydziałów humanistycznych. Uniwersytet posiadałby wszystkie uprawnienia w rozumieniu prawodawstwa polskiego z prawem wydawania dyplomów magisterskich i doktorskich włącznie.

Londyńczyk

### To nie tak łatwo być "demokratycznym"

Weszło już w zwyczaj, że każde przemówienie premiera czy ministra w dużej swej części jest poświęcone potępianiu gospodarki rządów poprzednich i podkreślanu jak "demokratycznie" jest obecnie. Jak dotąd kończy się to wszystko na frazesach. Nic nie słyhać o ogłoszeniu sprawozdań Najwyższej Izby Kontroli za okres ubiegły (à propos czy kto wie kto jest prezesem tej instytucji?), budżet został podany do wiadomości publicznej niesłuchanie ogólnikowo i dowiedzieliśmy się o nim dopiero z paryskiej "Polski Wiernej". Jak społeczeństwo interesuje się tymi sprawami jest najlepszym dowodem, że nakład "Polski Wiernej" został podobno natychmiast rozkupiony. Tę "tajność i poufność" znać również w okresowych biuletynach Skarbu Narodowego. Zamiast konkretnych informacji ile było wpływów i gdzie i ile wydano legitymacji, zamieszcza się w nim okolicznościowe nudne przemówienia dygnitarzy i pożał się Boże, "slogany propagandowe".

### Cenzura w Radzie Narodowej

Ukazuje się od czasu do czasu diariusz Rady Narodowej. Nie wiemy kto ten biuletynik redaguje, ale zapewne jest to ktoś z dobrej szkoły ozonowej. Okolicznościowe przemówienia są podawane skrupulatnie, dyskusje streszcza się tak skondensowanie, że nie wiadomo o co chodzi, a nieliczne głosy krytyczne pomija się kompletnie. Kontynuowanie tego rodzaju obyczajów na pewno się nie przyczynia do zmniejszenia kryzysu zaufania.

P. S.

### NIEMCY

#### Nietrwale pomniki

Obecna sytuacja w Niemczech wymaga od Polaków tu pozostających silnego zdrowia i żelaznych nerwów, a niestety właśnie odporność ich jest bardzo ograniczona.

Obserwacja systematycznego wzrostu znaczenia Niemiec, ich coraz większego dobrobytu, a równocześnie zupełnego upadku życia polskiego, do niedawna żywego i wszechstronnego, choć nie pozbawionego cieni, nie należy do szczególnych przyjemności.

Symbolem niejako obecnej zmiany stosunków są losy obozowych pomników. Po wszystkich obozach zamieszkałych przez Polaków w okresie pewnej stabilizacji, to jest w latach 1947 do 1949, stawiano krzyże, wznoszono nawet skromne pomniki — orły na cokółkach, tablice pamiątkowe, wmurowane na ścianach koszar itp. Dawało to okazję do ulubionych "obchodów" i tani sposób zademonstrowania równie taniego patriotyzmu.

Dla nauki przyszłych pokoleń warto zanotować przestrożę, że nie należy wznosić pomników tam, gdzie wiadomo, że nie będą one szanowane i nie będą trwały wiecznie, tak jak nie należy przybijać mościejnej tablicy ze swym nazwiskiem u wejścia do hotelu, w którym się zamieszkało na parę dni.

Obecnie obserwować można jak pomniki, wznoszone przed trzema-czterema laty, są z wielką satysfakcją usuwane przez niemieckich kierowników obozów, za pośrednictwem "nieznanych sprawców", po nocach, oczywiście tam, gdzie Polacy jeszcze mieszkają.

#### Organizacje na kółkach

Rozproszywszy się na drobne pomniki obozowe nie pomyślano o tym, co byłoby rzeczywiście potrzebne, to znaczy o stworzeniu domu polskiego w Niemczech, jako centrali organizacyjnej polskiej.



Dziś więc niektóre organizacje polskie są organizacjami na kółkach, zmieniającymi swe siedziby równie często jak dipisi, to znaczy parę razy do roku.

Zagadnienie to jakoś trzeba rozwiązać, kiedy warunki są bez porównania trudniejsze. Hasło budowy domu polskiego w Niemczech rzucił organ oddziałów wartowniczych i byłoby ono możliwe do zrealizowania, gdyby miał się nim kto zająć, a tymczasem ludzi nie ma, a ci, którzy są, zajęci są psuciem roboty swym "przeciwnikom politycznym". Dlaczego ci przeciwnicy są przeciwnikami nikt nie umie wyjaśnić. Wspomnienia z homeryckich bojów "zjednoczeniowych" i posiedzeń, trwających po 40 godzin bez przerwy (autentyczne), na których targowano się o obsadę władz, są dla działaczy dostatecznym uzasadnieniem psychologicznym konieczności "zwalczania przeciwników", ale masy uchodźcze tego wszystkiego absolutnie nie rozumieją.

### Koncepcja "Treuga Dei"

W prasie polskiej na terenie Niemiec rzucono myśl "Treuga Dei" na tym terenie i powołania jednej organizacji polskiej. Istnieją po temu wszelkie warunki gdyż

- 1) problemy, którymi trzeba się tu zająć są absolutnie bezsporne,
- 2) zasady organizacyjne proponowane przez obie "strony" są identyczne (członkostwo indywidualne).

W ten sposób można by na terenie Niemiec zawrzeć porozumienie lokalne, co byłoby o tyle łatwe, że teren niemiecki jest samowystarczalny finansowo, a z drugiej strony nikt chyba w obecnej sytuacji nie będzie chciał, by ten teren jeszcze przyczyniał się do finansowania zadań polskich poza Niemcami.

### Darowane miliony

Zadania tej organizacji polegałyby przede wszystkim na obronie interesów wysiedleńców polskich. Jest faktem, że większość ich miałaby prawa do różnych świadczeń niemieckich, jak odszkodowania kacეტowskie, renty inwalidzkie różnego rodzaju itp. Sprawy te leżą zupełnie odgłosem wskutek niezorganizowania pomocy prawnej dla Polaków w Niemczech.

Podnoszono już wielokrotnie, że nonsensem jest udzielenie groszowych wsparć ludziom, którzy mają prawo do poważnych świadczeń od władz niemieckich, a świadczeń tych nie otrzymują wskutek nieświadomości i braku zorganizowanej pomocy, zarówno na szczeblu najwyższym jak i na szczeblu średnim (kraje), jak wreszcie na szczeblach najniższych.

Pół roku temu Rada Polonii Amerykańskiej zapowiadała, że podjeźmie akcję obrony prawnej interesów uchodźczych i nie wiadomo dlaczego nic w tym kierunku nie zrobiła. Tymczasem byłaby to najlepsza forma interwencji za pośrednictwem wysokich komisarzy w takich sprawach, jak odszkodowania kacეტowskie, objęcie wysiedleńców formami pomocy dla wysiedleńców i poszkodowanych wojną itp. O jakiej kategorii sprawy tu chodzi wynika stąd, że tylko samo zagadnienie zaliczenia emigrantom składek na świadczenia emerytalne dotyczy k i l k u n a s t u m i l i o n ó w marek niemieckich, to jest milionów dolarów.

### Właściwa i niewłaściwa droga

Drugą formą akcji powinno być oddziaływanie na władze centralne niemieckie przez międzynarodową organizację uchodźców "Incopore". Organizacja ta, niestety, istnieje naprawdę tylko w Monachium, gdzie w stosunkach z rządem Bawarii potrafiła osiągnąć dobre rezultaty. Otóż jej działalność musi być rozszerzona na Bonn.

Jak stwierdziłem, trudno niektórym ludziom, zdawałoby się powo-

łanym do zrozumienia zagadnień politycznych, zrozumieć dlaczego tymi drogami, a broń Boże nie przez przedstawicielstwo dyplomatyczne w Bonn należy prowadzić obronę interesów uchodźców. Trzeba więc to wyraźnie powiedzieć, przeprowadzając inteligentnych czytelników "Kultury" za zajmowanie im czasu przez wypisywanie elementarnych truizmów.

Rząd Republiki Związkowej stoi na stanowisku rewizji granic Zachodnich R. P. i zależy mu na tym, by stworzyć wrażenie, że rząd emigracyjny gotów jest z tym stanowiskiem się pogodzić, jak godzi się z postawą Rzeszy wobec problemu ziem studenckich Prchala, ale już samo wysuwanie próśb wobec rządu Rzeszy, za których spełnienie nie ma czym płacić, stawia nas w płaszczyźnie zależności od tego rządu. Taka "przyjazna zależność" stanowi na przyszłość precedens niemiłego uzależnienia i dowód wobec innych, że niemieckie postulaty rewizjonistyczne nie będą stanowiły utrudnienia wzajemnych stosunków i ustalenia nowego porządku rzeczy w Europie.

Problem uchodźców polskich w Niemczech jest z punktu widzenia interesów polskich mało ważny. Czy kilkanaście tysięcy wysiedleńców polskich (łącznie z autorem tych słów) będzie mieszkać w trochę lepszych czy trochę gorszych barakach, to jest doprawdy nieistotne. Polityka jest sprawą rachunku, a nie sentymentów. Natomiast z punktu widzenia interesów niemieckich zaś traktowanie tych wysiedleńców może być bardzo niekorzystne, gdyż wytworzy przekonanie, że w żadnym razie nie wolno Niemcom powierzać jakiegokolwiek kierowniczej roli w Europie Środkowej, gdyż nie potrafią oni się zdobyć na sprawiedliwość w stosunkach z innymi narodami. Chodzi tylko o to, by o warunkach na jakie są skazani Polacy w Niemczech jak najwięcej na świecie wiedziano.

Nie należy oczywiście posuwać tego rozumowania ad absurdum — podkreślam, że obronę interesów polskich w Niemczech można prowadzić, ale tylko przez czynniki, wobec których Niemcy nie mogą niczego żądać — a więc nie czysto polskie, ale ogólnouchodźcze.

Wreszcie, nie oznacza to, by przedstawicielstwo w Bonn miało być niepotrzebne. Owszem, jest nawet konieczne dla celów politycznych i obserwacyjnych, nawet dla utrzymania wymiany zdań, ale nie na płaszczyźnie petenta.

J. B.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z artykułem p. Wojciecha Zaleskiego, pt. "Społeczność Wartownicza", ogłoszonym w październikowym numerze "Kultury", pozwalam sobie wyjaśnić, że składka tzw. Szwadronów Lotniczych, jak je określa autor, do ogólnego Funduszu Wartowniczego w Heidelbergu z tytułu członkostwa wynosi około 2.000 DM miesięcznie. Suma ta stoi poza wysiłkiem Szwadronów na cele gruzlików.

Dobór słów w tej części artykułu robi wrażenie, że Szwadrony składają tylko 2.000 DM na swoich podopiecznych.

W istocie sprawa wygląda zupełnie inaczej. Jednostki nasze, pełniące służbę przy Amerykańskich Siłach Lotniczych w Europie i stąd nazwane lotniczymi, zainicjowały Akcję Pomocy Chorem na Gruźlicę Polakom w sierpniu 1949 r. własnymi pieniędzmi i własną pracą. Fundusz Wartowniczy przyłączył się zaś swoim wkładem 3-tysięcznym po kilku miesiącach. W następnym czasie dopiero rozpoczęły wspieranie różne instytucje i osoby prywatne, z tych najpoważniej Rada Polonii Amerykańskiej. Sprawozdanie z działalności naszej za miesiąc wrzesień br. podaje w rubryce rozdziału 20.000 DM, które zużyto dla wsparcia w lekarstwach, żywności, odzieży i gotówce 518 pacjentów — Polaków (mężczyzn, kobiet i dzieci), w strefie amerykańskiej Niemiec.

W tej chwili Akcja Pomocy organizuje swoje ogniska na terenach stref brytyjskiej i francuskiej.

Udział samych Szwadronów Lotniczych, w zbożnym dziele wynosił przeciętnie 7 — 8 tysięcy DM miesięcznie, a był czas, kiedy przekraczał 12 tysięcy, mimo, że nie liczyły one więcej, niż 650 ludzi.



Wspomniana przez dr Zaleskiego wpłata 2 tysięcy jest przeciętnym wkładem miesięcznym na chorych na gruźlicę z jednego tylko Szwadronu.

Powyższe uwagi podajemy w nadziei, że uzupełnienia one niekompletny w tej części artykułu dr Zaleskiego, a jednocześnie będą właściwym, bo ze źródła pochodzącym, informatorem opinii polskiej.

Łączymy wyrazy głębokiego szacunku i poważania

**Teodor A. DĄBROWSKI, Major  
Przewodniczący.**

## AUSTRALIA

Polaków jest obecnie w Australii 40 tysięcy, a gdy zakończy się emigracja DP, cyfra ta wzrośnie prawdopodobnie do ponad 50 tysięcy.

Wskutek dosyć równomiernego ich rozmieszczenia na całym kontynencie, trafiwszy do jakiegoś zapadłego kąta Australii, pytanie czy jest tu jakiś Polak, słusznie może być postawione w formie: Ilu jest tu Polaków?

Starą emigrację stanowi zaledwie paręset osób. W czasie wojny i bezpośrednio po niej, przybyło tu dalszych kilkuset uchodźców. Pierwsze większe transporty b. żołnierzy Dywizji Karpackiej, oraz lotników R. A. F.'u zaczęły napływać w latach 1947/8, przeważnie na Tasmanię. 400 z nich przyjeżdżało na zbiorowej uroczystości obywatelstwo brytyjskie, prawdopodobnie drugie tyle uzyskało obywatelstwo indywidualnie i bez rozgłosu.

Obecnie można tu spotkać polskich imigrantów, przybyłych na własny koszt, tak z W. Brytanii, jak z Francji, Szwecji, Indyj, uchodźców z Chin, oraz "kontraktowych" DP z Niemiec, Austrii i Włoch, Belgii, Szwajcarii i Bliskiego Wschodu. Ponad 80% Polonii Australijskiej stanowią byli DP z Niemiec i Austrii.

Wśród przybyszów z W. Brytanii i innych skupisk uchodźczych, inteligencji stanowią około 10%, wśród DP odsetek ten jest jeszcze mniejszy. Wynikiem takiego składu Polonii jest bierność mas, słaby rozwój życia organizacyjnego i małe nasilenie sporów politycznych.

Toteż wydaje się, że Polonia Australijska ma stosunkowo mniej niż inne skupiska zaakcentowany charakter emigracji politycznej, a stosunkowo więcej wychodźstwa.

Przed masowym napływem Polaków istniała tu "Kolonja Polska" w Brisbane, Polskie T-wo Demokratyczne w Sydney, następnie powstał polski oddział australijskiego T-wa "Szczerów Tobruku" na Tasmanii.

W r. 1949 sieć polskich organizacji objęła cały kontynent i w styczniu br., na zjeździe w Sydney, powołano do Życia Radę Naczelną Polskich Organizacji w Australii. Organizacje te nie obejmują nawet 10% Polaków, ale emigranci zawsze w pierwszych latach są pochłonięci urządzaniem się na nowym terenie, tak że z czasem należy przewidywać wzrost liczby zorganizowanej Polonii. Akcja Skarbu Narodowego rusza z miejsca, przewidywane jest rozpowszechnienie 5 tys. legitymacji. Od roku już istnieje związek b. więźniów politycznych i ostatnio powstał oddział "Austrialia" Polskiego Stowarzyszenia Kombatantów. Na prasę składają się 3 powielane tygodniki (wszystkie grupy Bałtów, Ukraińców itp. mają już pisma drukowane): "Wiadomości Polskie" organ Pol. T-wa Dem. w Sydney, i Rady Naczelnej, "Głos Polski" w Melbourne i, mający największy nakład, "Tygodnik Katolicki" w Bathurst. Tygodniki te mają dosyć podobny charakter, co powoduje konkurencję i utrudnia powstanie jednego żywego pisma, wydawanego drukiem. Bardzo aktywną i owocną działalność prowadzi tu polskie duszpasterstwo, rekrutujące się z b. misjonarzy z Chin, oraz księży przybyłych z Europy. Hierarchia kościelna zezwoliła na odrębne polskie nabożeństwa, które skupiają więcej rodaków, niż zebrania i imprezy stowarzyszeń.

Ogromna większość Polaków odrabia jeszcze dwuletnie kontrakty pracy, a o ich przyszłości można wnieść według losów tych nielicznych, już "wolnych ludzi". 70% "Szczerów Tobruku" po ukończeniu kontraktów

pozostało na Tasmanii, a część pracuje nadal przy budowie zapór wodnych. Uzyskanie pracy w zawodzie rzemieślniczym, czy kwalifikowanego robotnika, jest po kontrakcie łatwe, założenie własnego warsztatu pracy, też nie nastęrcza trudności natury prawnej, lecz w praktyce brak lokalów, znajomości stosunków, kapitałów itp. stwarza poważne trudności. Spośród inteligentów-fachowców jedynie jednostki urządziły się odpowiednio do swych kwalifikacji. Względnie łatwiej jest o pracę kreslarszą, geometrów itp. Lekarze pracują przeważnie jako sanitariusze.

Wielotysięczna masa Polaków — to robotnicy w najrozmaitszych działach wytwórczości na prowincji, jak też w wielkich miastach i ośrodkach ciężkiego przemysłu. W pierwszym okresie wysyłano tak zwanych Nowo-Australijczyków głównie na prowincję, obecnie rozmieszczenie jest mniej więcej równomierne. Większość kontraktowych imigrantów mieszka w hostelach, co jest przykre, ale finansowo dogodne. Na prowincji ludzie narzekają, ale składają oszczędności, w miastach mają życie bardziej urozmaicone, lecz ciułanie jest utrudnione. Na ogół jednak place są dostatecznie wysokie, aby nikt nie cierpiał niedostatku.

Dążenie do zmiany zawodu, z robotnika na pracownika umysłowego, nie jest tu silne, bo do kierowniczego stanowiska trudno jest dotrzeć cudzoziemcowi, a praca biuralisty nie jest tu wyżej płatna niż robotnika. Natomiast brak mieszkań, ich drożyzna i przykre stosunki z gospodarzami, stwarzają ogromny pęd do budowy własnych domków. Wielkie kredyty budowlane to ułatwiają, lecz brak materiałów i robotnika proces ten hamuje, toteż obecnie wielu Polaków ma już własne place, lecz bardzo mało mieszka we własnych domach.

Charakterystycznym i raczej nieoczekiwanym zjawiskiem jest, że więcej cech pionierskich wykazują, nie jak się zwykło uważać — młodzi samotni mężczyźni, lecz ojcowie rodzin.

Australijski plan osiedleńczy przewiduje umieszczanie mężczyzn w hostelach na miejscach pracy, a ich żon i dzieci w kilkunastu rozsiansych po całym kontynencie obozach rodzinnych, do czasu aż ojcowie znajdą mieszkania dla swych rodzin. Głosy w prasie australijskiej uznają ten eksperyment za nieudany. Europejczycy przyzwyczajeni do życia rodzinnego są bardzo niezadowoleni z tego rozdzielenia, zużywają zarobki na ciągle przyjazdy do rodzin, gdzie sceny zazdrości doprowadziły już do niejednego morderstwa.

Problemy rodzinne są tu bardzo skomplikowane. Polonia Australijska, podobnie jak inne skupiska uchodźcze, ma ogromną przewagę mężczyzn.

Dzieci (nie tylko z małżeństw, gdzie każde z rodziców mówi innym językiem) szybko się australizują. Dzieci rodzin czysto polskich, rozproszonych na prowincji, nie spotykające swych rówieśników-rodaków, już po paru latach mówią i myślą po angielsku.

Australijska polityka osiedleńcza w zasadzie jest przeciwna tworzeniu skupisk narodowościowych, lecz w praktyce nie ma żadnych ustaw krepujących swobodę ruchów imigrantów, którzy ukończyli swe kontrakty pracy. Imigranci kontraktowi zatrudnieni są przeważnie jako robotnicy niekwalifikowani przy robotach cięższych lub mniej atrakcyjnych. W czasie kontraktu możliwa jest zmiana pracodawcy, o ile podane są przekonujące powody po temu. Opanowanie języka angielskiego i wykazanie się kwalifikacjami często umożliwia utrzymanie pracy w swym fachu. Abstrahując od względów politycznych i emocjonalnych, zapowiedziane sprowadzanie rocznie 20 tys. "Volksdeutscher" na kontrakty, jest dla uprzednio przybyłych imigrantów faktem pomyślnym, gdyż nowe "ofiary" kontraktów będą zapewnić najmniej atrakcyjne miejsca pracy, na których z braku innych kandydatów, staranoby się zatrzymać byłych DP, utrudniając im dostęp do lepszych prac, chociażby np. przez nieprzyjmowanie ich do odrębnych związków zawodowych. Wydaje się, że za lat kilka Polonia Australijska utworzy warstwę zamożnych robotników i rzemieślników. Obecnie jest sporo narzekania.



## Najnowsza historia Polski

### Spory o monopole — przykład z r. 1917/18

Od pewnego czasu na łamach "Wiadomości" toczy się dyskusja na temat polskiej polityki wojskowej w Rosji w latach 1917-1918. Staliśmy wówczas w przede dniu Traktatu Wersalskiego, armia rosyjska się rozpadła i zaistniały możliwości stworzenia polskiej armii z aktywu 700.000 Polaków, przebywających w szeregach rosyjskich. Stworzenie niebywałej możliwości dla narodu, który był 150 lat pozbawiony niepodległości — do stanięcia przy końcu wojny światowej jako partner — nie było wyzyskane. Pociągnęło to za sobą ten skutek, że nowe państwo powstało z koniunktury politycznej, podczas kiedy stosunki tak się układały, że mogliśmy zaczynać niepodległy byt polityczny jako czynnik realnej siły. W tej części Europy nie było egzekutywy międzynarodowej i być nie mogło. Sprawa Prus Wschodnich byłaby rozstrzygnięta automatycznie przez nas samych, w sprawie ukraińskiej nie przelano by niepotrzebnie tyle krwi i naszej i ukraińskiej, a Dzierżyński nie mógłby proklamować w Białymstoku Polski sowieckiej.

Jak więc widzimy, ustalenie odpowiedzialności za to, że nie potrafiliśmy wyzyskać koniunktury nie byłoby rzeczą błahą, gdyby nie to, przede wszystkim, że ani władanie Prusami Wschodnimi nie ustrzegło by nas od obecnych losów, ani tarć z Ukraińcami w późniejszych latach byśmy nie uniknęli, ani posunięcie się z granicami Polski za Berezynę nie ustrzegło by nas od ataku Rosji w ćwierć wieku potem. Losy narodów bowiem nie polegają obecnie na wygrywaniu tej lub innej wojny, albo zawarciu najkorzystniejszego traktatu, tylko na przestawieniu się na nową epokę.

Spór mógłby być rzeczowy o tyle, gdyby dopomógł na zasadzie sumiennej rewizji przeszłości do wyselekcjonowania elementu

kierowniczego w naszej polityce. Ale ludzie i kierunki odpowiedzialne za tamte wypadki są na wymarciu. Dyskusja jest jeszcze jedną więcej dyskusją na tematy platoniczne, których tak pełno w naszej publicystyce emigracyjnej. Umysł polskie czekają na dowieszenie rudymenarnych materiałów, potrzebnych na budowanie nowoczesnej ideologii. Kiedy zamiast wiadomości o przemianach, jakie przechodzi świat, przychodzą dyskusje o roli ziemiaństwa na kresach, o tym czy etycznie czy nie etycznie jest zabijać nieprzyjaciół i jak ich zabijać, o tym kto miał rację w 1917-1918 r., albo czy należało budować COP, albo czy słusznie sprzedawaliśmy broń itd. — ma się wrażenie jakby do wyczekujących zgłodniałych ludzi nadszedł wreszcie pociąg ładowany nie mąką, a sztucznymi kwiatami.

Jeśli jednak do tej dyskusji się przyłączam, to dlatego, że w niej spostrzegłem element godny zastanowienia. Dyskutuje obóz narodowo-demokratyczny z obozem piłsudczykowskim. Ta dyskusja jest wprawdzie dyskusją na temat, czy umarły pocić się przed śmiercią, ale na niej możemy wykazać pewną prawdę potrzebną nam dla współczesnego myślenia: że w historii kierunków politycznych nie ma takich, które miały bezwzględną rację, albo, odwrotnie, były stuprocentowo fałszywe; które miały same cechy dodatnie, albo same cechy ujemne. Tylko, że historia to współdziałanie sił politycznych.

Wygląda to na truizm. Jednak teraz szerzone jest hasło "upolitycznienia emigracji". Widząc głosicieli, rozumiemy, że "upolitycznienie" rozumieją jako "upartyjnienie". To znaczy podzielenie się Polakami na rzecz zagródek, w których zamknięci będą przysięgali tylko na prawdy jedyne i wielkie tylko dla danej zagródki.

Może mój artykuł choć w małej mierze przeszkodzi robocie zaganiaczy, wykazując na przykładzie sprzed ćwierćwiecza, że prawda jest jak powietrze: jest wszędzie. Odmawianie przeciwnikom całkowicie racji jest tym, czym byłoby twierdzenie, że ktoś nie oddychał. Ale skoro ten przeciwnik przeegzystował, to znaczy miał swoją rację, która pozwoliła mu przeżyć.

Za epokę pierwszej wojny jest odpowiedzialny socjalizm i nacjonalizm polski i ich odgałęzienia. Na arenie międzynarodowej rozpoczął tę epokę wyścig Piłsudskiego i Dmowskiego do Tokio, w czasie wojny rosyjsko-japońskiej i dyskusja obecna między p. Giertychem z jednej i pp. Miedzińskim i Sokolnickim z drugiej strony leży na tym samym torze wyścigowym.

Bardzo, z konieczności, upraszczając kwestię, można ordre de bataille tamtych czasów przedstawić w sposób następujący:

Wobec zbliżającego się konfliktu obóz Piłsudskiego, apologetyzujący powstania, mający żywe poczucie zbliżających się przemian, które zawdzięczał socjalistycznej szkole myślenia, uważał, że należy pchnąć naród do udziału fizycznego w walce



zbrojnej i widział większe możliwości po temu po stronie mocarstw centralnych. Austria dla tych przygotowań była już przed wojną pepiniarą.

Obóz Narodowo-Demokratyczny, krytycznie oceniający powstania, uważał również, że naród musi szukać oparcia w sobie i w narastającym aktywie własnych sił; widział możliwości narastania tego aktywu w akcji legalnej; oceniał Niemcy jako przeciwnika wiele groźniejszego dla narastania tego aktywu; oceniał, że w Rosji stworzyły się okoliczności, po przegranej wojnie z Japonią, wrywania na rzecz sprawy polskiej całych dziedzin życia publicznego; w razie wojny uważał więc, że należy stanąć po stronie Rosji, która znalazła się w szeregu zachodnich demokracji i że należy proklamować hasło Zjednoczenia Ziemi Polskich, co nie znaczy, żeby stronnictwo Narodowo-Demokratyczne wyrzekło się niepodległości.

Drogą uproszczeń spowodowanych walką partyjną "endecy" *jure caduco* poczuli siebie nazywać stronnictwem narodowym, chociaż ich przeciwnicy reprezentowali również ruch narodowo-patriotyczny, ci zaś ich przeciwnicy przywłaszczyli sobie termin "niepodległościowcy", choć nic nie upoważnia mówić, że narodowa demokracja nie była ruchem niepodległościowym. Oba ruchy spotkały pierwszą wojnę światową z poważnymi handicapami.

Okres młodości Narodowej Demokracji był już za nią. Jej historyczne zadanie — postawienia dalszego kroku w myśleniu politycznym po okresie pozytywistycznym — było dokonane. Polityka polska przestała być polityką trzech zaborów, dążąca wyłącznie do sukcesów lokalnych. Ruch, który nazwał siebie Wszehpolskim, zrobił krok dalej. Dzięki jego przemyśleniom ponownie poczęto myśleć kategoriami politycznymi, obejmującymi cały naród. To w tym czasie wszystkie serca młodzieży w Polsce były z ruchem wszehpolskim i transporty "bibuły" — "Przeglądu Wszehpolskiego", "Teki" — były czytane jak ewangelia, a pisma Dmowskiego, Balickiego, Popławskiego chłonięto z takim przejęciem, jak w obozie przeciwnym Spencera, Buckle'a i Taylora.

Ale kiedy pierwsza wojna wybuchła, Narodowa Demokracja była w drugim, męskim okresie swej działalności, skierowawszy się na pole walki legalnej z zaborcą. Młodzieży nie imponowały wybory, praca w parlamentach, spółdzielnie. Począł się odpływ. W przededniu wojny większość młodzieży nacjonalistycznej była dla Narodowej Demokracji stracona na rzecz kierunku "niepodległościowego". W czasie wojny Narodowa Demokracja nie znalazła form mogących pociągnąć tę młodzież. Czyn zbrojny po stronie Rosji był przez nią propagowany nieszczerze. Jakiś Górczyński, od którego nie wypadało się odżegnywać, formował jakiś "polskiej legion". Dmowski, zapytywany przeze mnie, co radzi zrobić, odpowiedział, że jeśli już kogoś bardzo przypiliło, żeby być bliżej wojenki, to niech bierze pracę pomocniczą w szpitalu. Hasło zjednoczenia trzech zaborów było też

mniej atrakcyjne, niż hasło niepodległości.

Ruch niepodległościowy zgarniał chętnie te przegrane endecy, ale sam miał dwa poważne handicapy: socjalny i polityczny.

Handicap socjalny wpływał z tych samych konieczności polityki czynnej, jak u Narodowej Demokracji, która na rzecz tej polityki poświęciła możliwość wpływu na masy. Tzw. obóz niepodległościowy również na rzecz czynnej polityki, która do Związków Strzeleckich nakazywała kierować masy, poświęcił zainteresowania socjalne z których wyszedł. Zaciąży to niesłuchanie na przyszłym życiu Polski, kiedy ruch ten przyszedł do rządów ze szkołą myślenia wojskową — inicjatywy, uderzenia, okrążania, maskowania, co w życiu politycznym nazywa się koniunkturalizmem i jako podstawa rządów nie wystarcza.

Pamiętam z tych czasów w piśmie "Sprawa" swój artykuł pt. "Niepodległość — celem czy tylko środkiem". Wtedy, w 1912 r. artykuł wydawał się objawem dyskusji typowo akademickiej i był wyśmiewany przez niepodległościowców "nieposzlakowanych" (że zapożyczę terminologię konkursu literackiego "Dziennika Polskiego"). Okazało się, że ruch Piłsudczykowski, który temu celowi hołdował, po uzyskaniu niepodległości stracił kierunek i szedł zygżakiem.

Handicap polityczny polegał na tym, że "Piłsudczycy" i dzięki zastarzałym nienawiściom socjalistycznym do caratu i, przede wszystkim, ze względu na możliwość praktycznej pracy przygotowawczej wojskowej, zaczęli swoje plany o mocarstwa centralne. Pamiętam, jak staliśmy na peronie dworca krakowskiego w mundurach strzeleckich, które w tym dniu przestały być naszymi mundurami, bo zgłosiliśmy wystąpienie i hańbiącymi okrzykami żegnaliśmy kompanię strzelecką, jadącą na ogólnie-austriackie żawody strzeleckie do Wiednia.

Bynajmniej tu nie pouczam nikogo wstecz: wiele łatwiej było hańbić w nieskazitelnym uniesieniu patriotycznym tych kolegów strzelców, którym szczęki zwierzały się z wściekłości i którzy wykonywali rozkaz, niż rozkaz wykonać, a przede wszystkim — wydać; wiele łatwiej było mentorować, że niepodległość jest tylko środkiem do celu, niż uzyskać u Austriaków potrzebne do ćwiczeń manlichery; wiele łatwiej było wznosić urągliwe okrzyki na "ugodowców" niż tym ugodowcom pełnić swoją organiczną robotę.

Myślę, że oba obozy robiły pożyteczną robotę, z której słuszenie mogą rościć pretensję do uznania, tylko niepotrzebnie wszystkimi błędami obciążają przeciwników.

W istocie rzeczy, kiedy wojna nadeszła, Piłsudczycy byli bez koncepcji politycznej, nie mieli walorów strategii politycznej, a endecy, bez umiejętności działania wojskowego — bez walorów taktycznych działania w tamtoczesnych rewolucyjnych warunkach.

W morzu zaś rewolucji rosyjskiej można było uformować armię polską tylko nie obawiając się hasel socjalnych i używając



metod rewolucyjnych (czynna partyzantka, inny stosunek do oficerów) — tego nie mieli endecy; oraz wystawiając jasny cel polityczny: walka z Niemcami po stronie aliantów — na to nie umieli w czas zwekslować będący w Rosji Piłsudscy.

◆  
Położenie więc patriotycznych ale "nieupartyjnionych" (to właśnie czego się politykierzy domagają obecnie) dołów było nadzwyczaj trudne. Że Piłsudski jest uwięziony w Magdeburgu nie wiedzieli. Robiliśmy wszystko co można, by popularność Piłsudskiego zwiększyć, doły nauczyły się go wielbić, mówiło im się, że się połączymy z legionistami — i nagle urzędowo uznani przedstawiciele tego kierunku, zasłaniając się wielkim imieniem, szermując nakazami kraju, występowali przeciw tworzeniu armii polskiej. Przemówienia nieskazitelnego Polaka, oficera o pięknym stażu bojowym osobistego męstwa, Ignacego Matuszewskiego, których przez trzy tygodnie wysłuchiwał ogólnorosyjski Zjazd Wojskowych Polaków pod kompromisowym przewodnictwem Władysława Raczkiewicza, pociągały żarem ideowym, pięknością wystąpienia, ale przede wszystkim przysgwaźdzały stanowczym imperatywnym zakazem tworzenia armii walczącej z Niemcami, rzekomo podanym przez Piłsudskiego.

Zjazdu nie widziałem, bo leczyłem się z ciężkiego postrzału. Przybywszy potem do Petersburga, zastałem ogromny Komitet Naczelny Wojskowy pod przewodnictwem Raczkiewicza, przybierający politycznie postawę gabinetu parlamentarnych rządów wojskowych, a praktycznie — centralnego zarządu samopomocy wydzielających się z wojska celem łączenia się w grupy wyczekujące na powrót do kraju.

Przeciw temu rozpacziwemu stanowi rzeczy poczęła się tworzyć konspiracja wojskowa z inicjatywy późniejszego pułkownika Henryka Bagińskiego, którą nazwał AP — Armia Polska według nomenklatury przedwojennej konspiracji zarzewiackiej.

Bagiński, w poszukiwaniu zwodnych autorytetów, ponawpu-szczał do AP wojskowych wyższych stopni, kompletnie zielonych politycznie, zupełnie surowych społecznie.

Ponieważ jedyną słuszną politycznie linię reprezentował obóz tzw. narodowy, kamuflowany w Radzie Zjednoczenia Międzypartyjnego (jak potem kamuflowała się sanacja w BB), zwróciliśmy się do niej o współdziałanie. Komenda Naczelną AP składała się z trzech osób od organizacji politycznych: Raczkiewicz, ostatni Prezydent R.P., jako prezes Naczelnego Komitetu, Wojciechowski, pierwszy prezydent R.P. jako prezes Rady Międzypartyjnej i Widomski, późniejszy dyrektor departamentu w Min. Skarbu jako dyrektor bodaj departamentu politycznego Rady Międzypartyjnej, w każdym razie jako jej przedstawiciel. Wojsko mieli reprezentować Bagiński, Tadeusz Lechnicki, późniejszy podsekretarz Stanu i niżej podpisany.

Zaraz pierwsze posiedzenia Komendy wykazywały jej niezdolność do pracy. Cała uwaga reprezentantów Rady Międzypartyjnej była skierowana na Paryż i na zdarzenia polityczne na

świecie. Zrozumienia dla tego, czym być może armia polska nie było żadnego. Dawnym zwyczajem uważano ją tylko za atut polityczny, a nie za czynne narzędzie. Prezydent Wojciechowski, aczkolwiek pochodził z obozu socjalistycznego, szedł całkowicie po tej linii endeckiej.

Pamiętam jedno z zebrań Komendy, kiedy Kornilow szedł na Petersburg. Reflektory poczęły biegać po niebie, przerwaliśmy obrady podchodząc do okien.

— No, to poród już się zaczął — powiedział Wojciechowski.

W tym nastawieniu, niedoceniającym tego, co się dzieje w Rosji, liczącym na rychłe stłumienie rewolucji i na to, że wszystko rozstrzygnie targ w Paryżu, trudno było stworzyć walkę żołnierza polskiego z Niemcami.

Prezes Raczkiewicz był nastrojony kompromisowo, co nie było postawą na tamte czasy. Koncepcja, że dwa tysiące partyzantki polskiej szarpiącej Niemców będzie miało większe znaczenie, niż dwieście tysięcy pobarakowanych pseudo-wojskowych, czekających na powrót do domu, przerażała go i wydawała się ekstrawagancka. Czuł, że olbrzymi aparat administracyjny, rozbudowany po Rosji przez Naczpól z wojskowych wyższych stopni nie poszedłby na to. Szarpany przez piłsudczyków za endeckie tendencje, wolał mieć z nimi spokój. Trudno nam było go atakować, jako współczłonka komendy. Wobec tego, mając ostonięte od nas tyły, tym łatwiej robił koncesje piłsudczykom.

Wówczas, w moim mieszkaniu, w Mińsku, na Zacharzewskim Załku, dokonaliśmy zamachu stanu. Rozwiązaliśmy rzekomo już niepotrzebną konspirację. Raczkiewicz protestował, podniecał się. Był zbyt wyrobiony, żeby nie rozumieć, że jest to wykluczenie i Rady Międzypartyjnej i Naczpola, że odtąd będziemy mieli wobec niego wolną rękę. Zebranie ciągnęło się do czwartej rano i skończyło się w wielkim napięciu.

Był już gotowy statut nowej konspiracji pod nazwą "Związek Broni", do której weszli już tylko na palcach liczeni wojskowi wyższych stopni (był jednak między nimi gen. Żeligowski).

Komenda składała się również z sześciu członków: trzech stałych, mianowicie Lechnicki, Hubicki (późniejszy minister) i ja i trzech funkcyjnych: mianowicie komendantów każdorazowych Związku Broni na każdą z trzech istniejących dywizji.

Związek Broni powołał ekspozyturę jawną pod postacią Związku Kół Polek, które założyło szereg gospód noclegowych, w których grupowano żołnierzy z polskich rozbitych oddziałów, w tym czasie bowiem rozpoczęły się walki z bolszewikami. Żołnierze w tych gospodach byli formowani w oddziały. Te oddziały wyszły na ulice Mińska w tzw. powstaniu mińskim; oddział związkowców złożony z osiemnastu ludzi opanował bolszewicki arsenał z 40.000 karabinów ręcznych i kilkuset karabinami maszynowymi i wkraczające wojska niemieckie znalazły Mińsk w rękę polskim. Związek też sformował ekipy taj-



ne wysadzające tory i ekipy przewłaszczające sprzęt rozłożące się oddziałów rosyjskich.

Równocześnie ze sprawą Związku Broni 3 dywizja gen. Iwaszkiewicza decyduje się na słynny przemarsz w śniegach w ciągłych walkach na koncentrację do Bobrujska. Komendant Zw. Broni na tę dywizję, Jan Litauer ginie, opóźniając natarcie bolszewickie, przy wysadzaniu mostu pod Smoleńskiem. Emisariusz Związku ratuje przed rozproszeniem jeden z dwu pułków brygady w Dorohobużu. Druga dywizja przebija się spod Zubbkowa; komendant Związku Broni tej dywizji, Zdzisław Zabłocki, ginie przy przebijaniu się dywizji już pod Mińskiem na stacji Usza. Dywizja pierwsza już jest w Bobrujsku, jej komendant Zw. Broni, Stanisław Małagowski tworzy pociąg pancerny obsadzony oddziałem konnych saperów-wybuchowców. Wszystko to są zaprzysiężeni związkowcy. Pociąg utrzymuje połączenie kolejowe między atakowanymi częściami Korpusu. Sam Małagowski poległ dopiero w 1919 roku.

Związek Broni jest typową organizacją bez zaplecza politycznego i grupuje ludzi dobrej woli. Polegli komendanci Zabłocki i Litauer należeli do kijowskiego odłamu młodzieży narodowej będącego pod dyktandem stronnictwa narodowo-demokratycznego. Lechnicki był prawowitym członkiem Zetu tzn. młodzieży narodowej, która się wyłamała koło 1909 r. z endecji i zażarcie ją zwalczała (późniejsi naprawiacze), Hubicki miał przeszłość socjalistyczną i biologicznie niecierpiał "endeków". Ja, wystąpiwszy z Zetu w 1912 r., nigdy już w żadnym politycznym ugrupowaniu nie uczestniczyłem.

Istotnie, zmuszeni byliśmy być od "endeków" coraz dalej, bo poza platonicznym "uzgodnieniem platformy" w niczym nam pomóc nie byli w stanie. W obozie piłsudczykowski byli ludzie z potrzebnym temperamentem, było nieco promienistych i Filaretów, nieco pozostałości z bojówek PPS, ale ich wszystkich dzieliła od nas mylnie interpretowana przez nich "wola kraju" i "linia Komendanta" do którego to bałamuctwa istotnie przyczyniły się sztokholmskie informacje Kunowskiego.

Położenie było nad wyraz trudne, bo Niemcy przyszli, walki z bolszewikami wtrąciły nas w ich orbitę. Korpus zmuszony był pójść na jakieś condominium, a wiadomo jak się może kończyć condominium kota z myszą. Należało się szykować na najgorsze i przygotować Kaniów na naszym terenie. Z sześciuosobowej komendy dwu zostało zabitych: Małagowski stale w linii, Lechnicki pojechał do Kijowa przygotowywać Kaniów, Hubicki dosyć jednostronnie poświęcił się wywiadowi i stosunkom z Francuzami, ja całkowicie byłem pochłonięty wydawaniem konspiracyjnego "Sumienia", które zapisywałem od pierwszej do ostatniej strony i drukowałem w tajnej drukarni umieszczonej... w pociągu pancernym, który oficjalnie nazywał się "Związek Broni", za który to dekonspiracyjny koncept Małagowski dostał od nas mycie głowy.

Brak nam było łączności z krajem, informacji o tym co się

robi na świecie, a ponadto w miarę "stabilizowania się stosunków" utraciliśmy wpływ na dowództwo. Rozwiązano pancerny pociąg, usunięto Żeligowskiego z dowodzenia, Bagińskiego usunięto z korpusu i raz już moja walizę usiłowano zrewidować. Nie potrafiłmy sprzeciwić się złożeniu przysięgi przez Korpus na wierność Radzie Regencyjnej, nie potrafiłmy sprzeciwić się zdemobilizowaniu i odesłaniu do kraju pierwszego tysiąca żołnierzy. Stosunki się zaostrzały. Kiedy z Warszawy wrócił późniejszy Komisarz Ziem Wschodnich, Osmałowski, z instrukcjami od Rady Regencyjnej i zdawał w sztabie relację, zmuszony byłem ordynarnie, bo bijąc pięścią w stół, tę relację przerwać. Ponieważ przy tym użyłem zwrotu o dowództwie, które "całuje Niemców w d... przez ręcznik regencyjny", więc zostałem aresztowany (przez pułkownika Obuch-Woszczańskiego), następnie wypuszczony, ale kości były rzucone, wiadomo było, że musimy podjąć walkę z dowództwem, której unikaliśmy. Czuliśmy się za słabi do tego zadania, bo co innego było tłumaczyć żołnierzom, żeby mocno trzymali karabin i przebijali się do swoich, a co innego — żeby nie słuchali polskiej władzy, na dobitkę podpieranej autorytetem Piłsudskiego.

Wówczas, na szczęście, poczęli przyjeżdżać oficerowie legionowi. Kierowani przez Lechnickiego z południa, zjawiali się wprost do mego mieszkania. Najprzód oficer łącznikowy bez określonych pełnomocnictw — Korkozowicz z 4 pułku piechoty legionowej. Załoga pancernki przedelfowała przed nim. Następny był emisariusz Hołowko pod pseudonimem Horodyski. I wreszcie przyjechał komendant z ramienia piłsudczyków na Korpus — Lis-Kula. Zjawiwszy się w moim mieszkaniu, zaproponował połączenie POW i Zw. Broni we wspólnej organizacji pod nazwą Związek Walki Czynnej. Uśmiechnąłem się, bo znałem sprzed wojny nazwę tej tajnej organizacji piłsudczykowskiej i oświadczyłem, że żadne takie kamuflaże nie są potrzebne, bo wszyscy pójdziemy chętnie pod komendę POW, skoro zajmuje teraz wreszcie takie stanowisko jak trzeba, a ma w kraju sieć organizacyjną. Miałem nieco biedy ze Związkowcami z grup politycznych młodzieżowych endeckich, ale nie pamiętam by który wystąpił, obarczyli mnie tylko słowem honoru, żebym ich uwiadomił, jeśli osądzę według swego sumienia, że robi się jakaś partyjna robota.

Byłem pierwszym członkiem organizacji jakiego napotkał Miedziński (na stacji w Żłobinie, której komendantem był Mosiewicz, równocześnie po śmierci Litauera mianowany komendantem Zw. Broni na III Dywizję).

Miedziński przywiózł nam doskonałe autentyczne informacje, a w osobie Lisa-Kuli otrzymaliśmy dowódcę, którego nie waham się nazwać genialnym w ścisłym tego słowa znaczeniu. Poległ w następnym roku pod Torczynem, gdyby jednak żył, to nie widzę granic dla jego kariery, o ile karierę może zrobić człowiek tak kryształowy.

Na stosunki jakie pod jego rządami ułożyły się w POW-



Wschód wskaże choćby fakt, że kiedy mi przykomenderowano do pomocy (objąłem wydział propagandowy w Komendzie Naczelnej) Basińskiego, który był komendantem vegetującego POW przed przyjazdem Lisa-Kuli, Kuba-Basiński, pepesiak (rozstrzelany następnie przez bolszewików w Winnicy) na moją sugestję napisał artykuł, który dałem jako wstępny pt. "Niech żyją Dmowski i Piłsudski".

Przybyli piłsudczycy pod kierownictwem Lisa-Kuli nadali pracy formy techniczno-organizacyjno-wojskowo-konspiracyjne, których my nie umieliśmy stworzyć. Było to jednak za późno. Dowbora, który obiecywał nam, że nie da się rozbroić i będzie walczył z Niemcami nie zdołaliśmy ostatecznie powstrzymać od kapitulacji. Dokonawszy zamachu stanu, uwięziwszy Dowbora, nie potrafililiśmy uruchomić Korpusu do walki. W moim przekonaniu udałoby się to, gdyby w ostatniej chwili komendy nad POW-Wschód w Bobrujsku nie objął przysłany na trzy dni przed zamachem płk Bartel de Weidenthal (poległy w pół roku potem) nie znający miejscowych warunków. Zrobił on parę błędów, które unicestwiły pomyślnie rozpoczęty przewrót w Korpusie w nocy z 21 na 22 maja 1918 r.

W świetle tego krótkiego przebiegu zdarzeń wszelkie zarzucanie sobie wzajemne, że to strona przeciwna udaremniła stworzenie armii w Rosji wydaje się bezzasadne. I piłsudczycy i Narodowa Demokracja wnieśli do sprawy te wartości jakie posiadali i te minusy jakimi byli obarczeni.

Dałem temu wyraz po powrocie do kraju, równocześnie drukując artykuły o naszej robocie w Rosji w piłsudczycowskim "Rządzie i Wojsku" i odcinek pt. "Piłsudczycy" w endeckiej "Gazecie Warszawskiej".

Doszukiwanie się przez p. Giertycha daty przyjazdu Kuli, albo przywiązywanie wagi do tego, kiedy Dowbor się zdecydował na politykę proniemiecką — nie ma żadnego znaczenia. Daty przyjazdu Kuli nie pamiętam, aczkolwiek powitałem go pierwszy. Dowbora nie można posądzać o politykę proniemiecką. Był to zrusyfikowany Polak, który dla kariery zmienił religię, ale dzielny frontowy oficer, mający jako taki swoje założenia etyczne, na których można by polegać. Czuł doskonale swoje wady, jedynym jego życzeniem było móc się komuś meldować i kogoś słuchać. Niestety, piłsudczycy napełniali go skrajną nieufnością jako odmiana jakiejś rebelianckiej cywilbandy, a endecy z namaszczoneymi pouczeniami i zupełną nieporadnością organizacyjną w czasie rewolucji nie dawali mu oparcia. Począł go szukać w trzecim miejscu, w Radzie Regencyjnej i zwolna stało się z nim to co się musiało stać z fachowcem wojskowym, bez politycznego wyrobienia, który się znajdzie w pustce, a którego popychają wypadki: woda sodowa uderzyła mu do głowy i uwierzył, że jest mężem przernaczenia. Ta woda już mu pozostała jako wodzowi armii poznańskiej i Piłsudski nie dał sobie z nią ra-

dy, choć tak doskonale pozyskał Żeligowskiego, Konarzewskiego, Iwaszkiewicza: Dowbor musiał z wojska ustąpić.

Jak dalece ten generał wypychany na wodza narodu pojęcia nie miał o otaczającej polskiej rzeczywistości, świadczy rozkaz do Korpusu, ogłoszony po udaremnieniu naszego zamachu. Mianowicie Komenda POW-Wschód, po zameldowaniu się Dowborowi, który ją prosił, by wyjechała i nie utrudniała mu sytuacji, zastosowała się do jego życzenia i wyjechała do Kijowa, dając jedynie rozkaz dla mnie do pozostania, bowiem jedynie funkcje propagandy nie były skończone i to co się stało wymagało naświetlenia, mój zaś zastępca, Gielniewski, który, nie będąc zdekonspirowany, raczej mógłby zostać, kiedy zamach się załamał, w oczach moich i Dowbora popełnił samobójstwo.

Otóż Dowbor niezwłocznie po wyjeździe komendy i aresztowaniu mnie, kazał wyznaczyć pluton egzekucyjny i tegoż ranka wydał rozkaz do Korpusu, wymieniając Bartla de Weidenthala, Lisa i Matuszewskiego i dodając, że "byli to nie Polacy, a lotry działający za cudze pieniądze". Rozkaz ten grzebał Dowbora w przyszłej Polsce, jak sądzę, że jeszcze bardziej by pogrzebało wykonanie wyroku na mnie. Przebieg jednak sądu wojskowego przed którym stanąłem przekracza podjęty temat.

Bo ten artykuł miał jeden cel: wskazać na przykładzie sprzed trzydziestu dwu lat, jak wielkie zapasy dobrej woli i ofiarności mogą być niszczone przez "konceptje" i spory wówczas, kiedy nie ma tematu do sporu. "Upartyjnianie" emigracji grozi tym właśnie. Jest ono jak zielsko, wyciągające wszystkie pożywne soki gruntu, który żywić powinien coś pożyteczniejszego. Te pożyteczne wartości vegetują, przytłumiane przez nieproduktywnych wspaniałców.

Melchior WAŃKOWICZ

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY  
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU  
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

1588 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",  
"Wiadomości", "Życia".



## Książki

### « Moïra »

Julien Green jest w pewnym sensie amerykańskim Conradem. Green urodził się w Ameryce, posiadał czy nawet jeszcze posiada obywatelstwo amerykańskie, lecz przeniósł się sześć lat temu do Paryża pisze swe książki po francusku. Francja zaś przygarnawszy go pod swe skrzydła zapomina teraz chętnie o tym, że nie jest on Francuzem. Ale poza tym zewnętrznym i sytuacyjnym podobieństwem między Conradem a Greenem w twórczości ich żadnych innych cech wspólnych nie odnajdziemy. Green korzeniami swymi tkwi w Ameryce, akcje swych książek umieszcza w Ameryce i jest przesiąknięty problemami amerykańskimi. Fakt, że pisze po francusku jest więc w nim jakąś pełną fantazji, a może nawet kaprysu przybudówką, uzasadnioną raczej zastanawiającym zbiegiem okoliczności niż wewnętrzzną logiką konstrukcji.

Ostatnia powieść Greena pt. "Moïra" stanowi przyjemny kontrast z szerzącym się w literaturze powojennej rozpęta-aniem realizmu. Czytając "Moïrę" przenosimy się z uczuciem nieopisanej ulgi w sferę literatury z prawdziwego zdarzenia, w sferę rzetelnego i szlachetnego rzemiosła, które nie unikając realnego opisu rzeczywistości umie jednocześnie rzeczywistość tę ująć, przekształcić i przemienić w artystyczną.

Przejdźmy jednak do treści powieści Juliana Greena. Akcja "Moïry" toczy się w Ameryce, w latach dwudziestych. Młody chłopak Joseph Day, syn ubogiego chłopca przyjeżdża do miasteczka położonego w południowych Stanach, by kontynuować tam swe studia na uniwersytecie. Od pierwszych chwil zetknięcia się Daya z tym nowym dla niego światem powstają trudności i konflikty. Day jest pełnym naiwnej czystości młodzieńcem wycho-

wanym na czytaniu biblii, przesiąkniętym protestancką atmosferą potępienia grzechu, przytłoczonym problemem zbawienia. Ale obok tego obdarzony jest on gwałtownym i niecierpliwym kompromisów temperamentem, bujną, bogatą i czującą gorącą naturą. Życie na uniwersytecie otwiera przed nim otchłanie problemów. Są więc koledzy jego, którzy otwarciem i z cynizmem mówią nieustannie o kobietach, domach publicznych i swych przeżyciach seksualnych, w aulach uniwersytetu są reprodukcje nagich rzeźb greckich (Day kładąc się do łóżka rozbiera się zawsze po ciemku), są gorszące ustępy w Shakespearze, którego profesorowie polecają mu czytać i studiować. Day cierpi i przeżywa chwile niepewności i rozterki. Czerwieniąc się ze wstydu kolegom swym nakazuje milczenie, a gdy to nie pomaga jednego z nich okłada w przystępie wciekłego gniewu pasem, egzemplarz Romeo i Julii drze w kawałki, przechodząc obok rzeźb greckich spuszcza oczy ku ziemi. Sytuację poza tym komplikują dodatkowo dwa fakty. Niezrozumiały zatarg z chłopcem, który nazywa się Praileau i który w czasie bójki z Dayem odkrywa w nim materiał na zbrodniarza oraz niezdrówą miłość, którą żywi do niego płaczący student Simon. Day na chwilę i na krótko odzyskuje coś w rodzaju równowagi na skutek zaznajomienia się ze studentem Dawidem, który od dawna postanowił, iż zostanie pastorem. Dawid rozumie trudności Daya, chce mu pomóc i rozłącza nad nim opiekę. Lecz opieka ta Daya zaczyna drażnić. Dawid to symbol starcia się już wszystkich problemów, pogodnego ich odsunięcia dzięki kompromisom, to konformizm i godzenie trudności. Day to symbol wrzenia problemów.

I tak mijają dni. Społeczeństwo studenckie nie chce, czy nie może pogodzić się z tym skomplikowanym, odrębnym i w pewnym sensie prowokującym zjawiskiem, które ma na imię Joseph Day. W umysłach grupki studentów powstaje projekt wystawienia na próbę tego pałającego wiecznie świętym gniewem anioła, przez nasłanie mu młodej dziewczyny Moïry, małego seksualnego i nigdy nie zaspokojonego w swej potrzebie oddawania się mężczyznom zwierzątko. Moïra nocą zakrada się do pokoju Daya, prowokuje go swym zachowaniem, wszelkimi sposobami stara się go uwieść i w chwili, gdy wydaje się, że walkę swą przegrała Day rzuca się na nią niespodzianie i zdobywa. Potem budząc się w nocy i widząc obok siebie nagie ciało Moïry, ten symbol grzechu, morduje ją, dusząc. Martwą Moïrę Day ubiera starannie, wynosi przez okno i zakopuje. A następnego dnia jego wróg Praileau domyślając się zbrodni odszukuje Daya i proponuje mu pomoc i zorganizowanie ucieczki. Day jednak tę nieoczekiwaną propozycję pomocy odrzuca i sam dobrowolnie oddaje się w ręce policji. Taka jest treść powieści Greena.

Po przeczytaniu tej książki, która roi się od znakomitych scen, świetnie prowadzonych dialogów, doskonale naświetlonych charakterów i mocnych spięć — ogarnia nas wahanie. Co właściwie przez swą powieść Julien Green chciał powiedzieć?

\*) Julien GREEN, Moïra, Librairie Plon, 1950.



Do czego zmierzał, jaki miał cel przed sobą? W "Moirze" bowiem nie brak poruszonych problemów. Czym jednak ma być ta powieść? Czy ukazaniem nam odwiecznego konfliktu między instynktami a religią i sprecyzowaniem, iż konflikt ten w jednostkach typu Daya, szarpanych z jednej strony pragnieniem zachowania czystości a z drugiej potrzebami zmysłów, doprowadzić musi nieuniknienie do katastrofy? Czy chodzi w niej o oskarżenie purytanizmu protestanckiego i odmalowanie wszystkich wywołanych nim zahamowań psychicznych? Czy ma być to powieść odzwierciadlająca trudności związane z okresem dojrzewania seksualnego młodych chłopców? A może jest to próba ujęcia starcia między fanatyzmem religijnym a kompromisowością życia, lub też jest to po prostu matematyka w której Green udawadnia nam, że pewien układ faktów i przyczyn nie może wywołać nic innego jak tylko tragiczne powikłania? Na wszystkie pytania te nie uzyskamy odpowiedzi. Jedną rzeczą jest pewna: "Moira" nie jest żadnym aktem oskarżenia, ani też żadną walką o cokolwiek. Green nigdzie nie będzie wskazywał palcem na winnych. Nawet purytanizm wychodzi w jego książce obronną ręką dzięki zarysowaniu sylwetki Dawida, który tak świetnie umie godzić zasady religijne z życiowymi potrzebami.

Jakie więc należy wyciągnąć wnioski po przeczytaniu powieści Greena? Mam wrażenie, chociaż nie jestem tego zupełnie pewien, że jedynym celem Greena było wprowadzenie nas w zawiły, niepokojący i wrzuszający jednocześnie świat Daya i Moiry i po wprowadzeniu tam pozostawienie nas naszym własnym rozmyślaniom. Taki szacunek dla naszych rozważań budzi podziw. Odwyzczailiśmy się od niego.

Jakże słusznie odpowiedział mi niedawno Józef Czapski: na to by książka była dobra, musi posiadać pewien margines niedomówień. Otóż w "Moirze" ten margines niedomówień nie tylko istnieje, ale rozrasta się do najbardziej rzucającej się w oczy cechy. Cała powieść Greena utrzymana jest w półświatłach, odcieniach, niuansach. Naprawdę doskonała książka.

Józef URSYN.

## Prehistoria Polski

W książce tej nie ma mowy o tym, co w zachodniej archeologii rozumiemy pod nazwą prehistorii. Ściśle mówiąc książka ta omawia okres pomiędzy V czy VI wiekiem po Chrystusie, a końcem 17-go wieku naszej ery; jeśli chodzi o przestrzeń, to książka Kostrzewskiego traktuje o basenie Odry i większej części basenu Wisły.

KOSTRZEWSKI Józef, *Les origines de la civilisation polonaise*, (Ed. Presses Universitaires de France, 1949, str. 671).

Przy pomocy doniosłej dokumentacji, której dostarczyły doskonale prace polskie nad wykopaliskami, ale również zbyt często przy pomocy hipotez językowych i folklorystycznych o znacznie mniejszej wartości, autor spróbował opracować podręcznik, który by obrazował cywilizację materialną, duchową i moralną Polski we wczesnym średniowieczu: rolnictwo, myślistwo, rybołówstwo, zbieranie jagód i grzybobranie, mieszkanie, odzież, ozdoby, broje, rękodzielnictwo, środki komunikacyjne, handel, wierzenia religijne, sztukę, zabawy, organizację społeczną, polityczną i wojskową. Autor nie zaniedbał również opisów geograficznych i topograficznych, a także stosunków ze światem zewnętrznym. Co prawda, rozbieżności tematyczne doprowadziło do częstych powtórek i tłumaczenie, które nie zawsze jest na poziomie, nie ułatwiają lektury książki, przynoszącej skąd inąd bardzo cenny materiał.

Czytelnik wolałby zapewne mniej treściwe opisy różnych form warunków mieszkaniowych. Dla Polski protohistorycznej charakterystyczne są grody, fortece z drzewa, które zjawiają się w 7-ym wieku: nieraz są to zwykłe palisady; później, gdzieś w początkach 10-go wieku, palisady te zastępują belkowania, przy czym belki są układane alternatywnie wzdłuż i w poprzek. Dopiero później zjawiają się bardziej skomplikowane budowy. Miasta wyrosły raczej z podgrodzi, osad cywilnych otwartych lub zamkniętych przylegających do grodów. W tym okresie można również zanotować istnienie osad budowanych z kamienia oraz osad budowanych na palach, na jeziorach, zwłaszcza w północnej Wielkopolsce i na zachodnim Pomorzu. W szczególności osada palafityczna w Parsęcko, zasługuje na szczególną uwagę w związku z jej skomplikowanym systemem mostów opartych na wysepkach i z jej palisadą w formie półkola.

Podczas gdy domy budowane na palach nie różnią się zasadniczo od analogicznych domostw w Europie Zachodniej, domy z drzewa, "łatki" o elementach poziomych i pionowych oraz węży pozbawione elementów pionowych, są bezpośrednio powiązane z cywilizacją Słowian, jako ludu leśnego. Wyśięk, który włożono w odszukanie licznych wykopalisk pozwolił na ustalenie wielu szczegółów tej architektury: w szczególności łaźnia z 11-go wieku w Gnieźnie, latryny w Santoku i smolarnia w Ostrzeszowie.

Jeżeli chodzi o dzieje aprowizacji polskiej w tym okresie, to książka Kostrzewskiego przynosi liczne cenne wiadomości, a analiza, przeprowadzona przez autora na podstawie wykopalisk w Gnieźnie, co do roli jaką mięsivo zajmowało w żywieniu ludności, jest prawdziwym wzorem pracy badawczej, ekonomicznej i społecznej. Również interesujące są wiadomości o sprzęcie rękodzielniczym, o sprzęcie ciesielskim, o resztkach pojazdów, o fragmentach tkanin i wygarbowanych skórach; wszystkie te dane wskazują na cywilizację dość prymitywną,



której nie można porównać, z tym, co wyprodukowano na Zachodzie w wieku żelaza.

Z rozdziałów mówiących o cywilizacji duchowej, warto tylko zapamiętać dane dotyczące pogrzebów, w których przeważa obyczaj palenia zwłok. Warto się również zastanowić nad pytaniem czy urny składane we wczesnych grobach chrześcijańskich są tylko kontynuacją starej tradycji kładzenia przy zmarłym ofiar w postaci żywności? Czy raczej nie należałoby tłumaczyć stawiania tych urn w ten sposób, że były one przeznaczone do przechowywania wody święconej? Przygważdżanie zwłok jest rzeczą częstą.

Pod koniec epoki protohistorycznej jesteśmy świadkami zmiany sytuacji społecznej chłopstwa: system państwa feudalnego i pańszczyzny został zastąpiony systemem wolnej własności szlacheckiej.

Raymond LANTIER.

## Scenariusz

Po modzie na reportaże przysła moda na scenariusze. Różnią się od reportażu tym, że fabuła przetkana jest dialogami: autorzy zapraszają nas nie tylko do przysłuchiwania się dyskusjom Roosevelta z Churchillem (ostatecznie chodzi nieraz tylko o przetransponowanie oratio obliqua na directa), ale nawet uwagom, które Stalin wygłaszał wobec Molotowa czy Politbiura (które są po prostu zmyślane). Materiał jest pościągany potrosze zawsze: z dokumentów norymberskich, z pamiętników Churchilla, Hopkinsa, Byrnesa, Stettiniusa, nawet Butchera, adiutanta Eisenhowera, z książek Liddel Harta i Trevor Ropesa itd, itd. Trudno sprawdzić czy źródła te są wyzyskane uczciwie i dokładnie, bo odnośników nie ma; ale o braku pedantycznej ścisłości przekonać się można choćby z błędnej transkrypcji «Ja soglasnan» (soglasien), które w kilku miejscach autorzy wkładają w usta Stalinowi.

Naturalnie, wszystkie reflektory tego reportażu — scenariusza są skoncentrowane na wielkich «vedette'ach», tj. Rooseveltcie, Stalinie, Churchillu, Hitlerze z Goebbelsem, Eisenhowerze, zostaje jeszcze rólka dla de Gaulle'a i dla bomby atomowej jako Frankensteina. Mussolini, Petain, mężowie stanu japońscy, cóż dopiero Horthy, Antonescu, Tito, Benesz i naturalnie Sikorski zredukowani są do roli cieni, figurantów. Reweranse dla Wielkiej Trój-

GOSSET Pierre et Renée, *La Deuxième Guerre. Les secrets de la paix manquée.* (Pierre Horay, éditions de Flore, Paris, 1950. str. 477, cena 600 frs.).

ki i Eisenhowera. Nadużywanie supelatywu: «największa armia», «największa armada», «najważniejsza decyzja», «najcięższa odpowiedzialność».

Pewna niemądra pani z wielką pewnością siebie rozprawiała o Tołstoj.

— Któreż jego dzieła pani czytała? — spytałem wreszcie, znużony jej arbitralnymi sędami.

— Żadnych, ale byłam na filmie «Anna Karenina».

Można i tak. Nie można wymagać od wszystkich, by przeczytali Goebbelsa i Ciano, pamiętniki Montgomery'ego i «Bomber» Harrisa, Cumingham'a i Clark'a, reportaże Muggeridge'a i Moss'a, książki Namiera i Crankshaw, i wszystkie książki białe, żółte, niebieskie i jakie tam jeszcze wydano. A scenariusz młodego i utalentowanego małżeństwa, pp. Gosset, pozwoli wielu laikom udawać, że są au courant całej olbrzymiej literatury dotyczącej II-ej wojny światowej, która już może wypełnić ogromną bibliotekę. Specjalistom książka ta nie daje nic, amatorom dosyć by mogli brylować. Wszystkich potrafi rozerwać. Bo na swój sposób i na swoją skalę «Deuxième guerre» jest napisana z talentem, ściślej z talentem. Z dwojga złego doradzałbym raczej tę książkę, niż romanse kryminalne znużonym pracownikom, którzy szukają lektury na jazdy powrotne do domu metrem czy autobusem.

W. A. Z.

## Książki Odette Pannetier

Dawno nie czytałem równie zabawnej, dowcipnej, zjadliwej i pełnej tego co Francuzi nazywają «esprit» książki, jak wspomnienia Odette Pannetier pt. «Quand j'étais Candide». Już sam tytuł jest przezabawnym kalamburem. Odette Pannetier była przez dłuższy okres czasu i aż do 1937 podporą znanego tygodnika «Candide», w którym prowadziła rubrykę pod tytułem «Echos» i dzisiaj, patrząc z pewnej perspektywy na ten okres swej pracy nazywa go tym dwuznacznie brzmiącym kalamburem. Otóż o działalności Odette Pannetier, po przeczytaniu jej wspomnień, można powiedzieć wszystko tylko nie to, że nacechowana była niewinnością.

We wspomnieniach Odette Pannetier defiluje przed naszymi oczami długi szereg najbardziej znanych w okresie międzywojennymi postaci francuskich zarówno ze świata artystycznego jak i politycznego. Mamy więc Cecile Sorel, Henri Bernstein'a, François Mauriaca, jednego z najwybitniejszych adwokatów Moro-

PANNETIER Odette, *Quand j'étais Candide, i Toujours Candide.* (Ed. Julliard).



Giafferi, sławę francuską z dziedziny chirurgii Thierry de Martel, ze świata zaś politycznego Pierre Cota, Paul-Boncoura, Leona Bluma, Mandela, Edwarda Herriot, Lavalą itd. Poza tym Odette Pannetier naświetla nam kilka wydarzeń politycznych, w których brała taki czy inny udział, jak na przykład zmiany gabinetów, lub smutne wypadki z 6 lutego 1934. Lecz istota książki O. Pannetier nie tkwi w chęci wyciągnięcia z niedalekiej przeszłości osób i wydarzeń (o których może już zapomnieliśmy częściowo), w chęci odświeżenia tych sylwetek i odpowiedniego ich naświetlenia. Tak samo trudno o książce jej powiedzieć, że jest to zbiór plotek, ploteczek, podsłyszanych wiadomości, poufnie kolportowanych informacyj, które tworzą to co przyzwyczajaliśmy się nazwać "dessous", rozgrywających się przed naszymi oczami wypadków. Książka jej bowiem jest czymś znacznie więcej.

Oczywiście, o wspomnieniach Odette Pannetier powiedzieć można, iż oparte są one na podpatrywaniu. O. Pannetier wszystkie osoby z którymi się spotyka, które widzi i z którymi rozmawia — podpatruje, podgląda, powiedziałbym obwąchuje, a potem z zadziwiającą dokładnością notuje zrobione obserwacje. Ale to jej obwąchiwanie ma pewne cechy charakterystyczne i rezultaty, które daje są nie tylko ciekawe, zabawne, czasami zjadliwe, lecz także niesłychanie ludzkie. Otóż to. Obwąchując znakomitości francuskie Odette Pannetier rejestruje i szuka w nich ich cech ludzkich, jakichś drobnych słabostek, potknięć, wszystkiego tego, co sprawia, że dana osoba ożywia się od razu, staje się jakaś bliska, zrozumiała, łatwa. Dzięki temu nastawieniu i tej umiejętności wspomnienia Odette Pannetier roją się od świetnych i jakże plastycznych obrazów i obrazków, w których widzimy kolejno Leona Bluma w czasie objazdu wyborczego i przeżywamy razem z nim wszystkie jego cierpienia, gdy ten dystygowany i sztywny starszy pan zmuszony jest do wychylania niekończących się butelek wina z wieśniakami i obcałowywania brudnych i zasmarkanych dzieciaków wiejskich, widzimy pełnych godności i nasiąkniętych swą wielkością, lecz pokłóconych o jakąś śmieszna drobnostkę François Mauriaca i Henri Bernsteina, widzimy Cecile Sorel z jej słabostkami, teatralnością itd. Wszystkie te postacie żyją, drgają, są tak widoczne, iż mamy wrażenia dotykania ich nieomal palcem. Takie są rezultaty genialnego podpatrywania ludzi przez Odette Pannetier.

Nie ulega wątpliwości, że dzięki wesołej, pełnej niebwywałej werwy i świetnego humoru książce O. Pannetier dowiadujemy się wielu rzeczy ciekawych o opisywanych przez nią osobach. My, bezimienni czytelnicy, możemy tylko być jej za to wdzięczni. To jest jedna strona zagadnienia. A druga polega na tym, iż każdemu z nas w czasie lektury nasunąć się musi nieuniknione pytanie: jak na to wychwytywanie słabostek, czasami pełne zjadliwości demaskowanie jakichś potknięć reagują główni aktorzy opisywanych scen? Jak to się dzieje, że Odette Pannetier

po tylu złośliwościach i tak nie krępującej się niczym otwartości chodzi jeszcze po tym świecie (widziałem ją kilka dni temu) i ani ona ani jej mąż nie zginęli od dawna w jakiejś niekończącej się serii powtarzających się pojedynków? Wyjaśnienia tego zdumiewającego faktu należy, moim zdaniem chyba szukać w stwierdzeniu, iż odnajdywanie w naszych bliźnich ludzkich cech, nawet gdyby były one wstrząsająco śmieszne stanowi pewny i niepokonalny pancerz dla najgorszej i najbardziej bolesnej zjadliwości. Ukryta za ludzkim spojrzeniem zjadliwość neutralizuje się. Taki paradoks odkrywa nam książka Odette Pannetier.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wspomnieć o ostatniej i wydanej własnym kosztem książce Odette Pannetier. Książka ta nosi tytuł "101 Bons petits restaurants de Paris... ou l'on mange bien pour 1 000 fr à deux". Tę zabawną książkę polecam tym wszystkim, którzy sa lub mają zamiar przyjechać do Paryża. Jest ona do nabycia w O.T.P., 59-61, rue La Fayette, Paryż (9).

J. URSYN.

## Nowości francuskie

### DOKUMENTY CHWILI

ANFUSO (F.). *Du Palais de Venise au Lac du Gard*. Pp. 427. (Ed. Calmann-Lévy, 1950, frs. 630).

CERRUTI (E.). *Je les ai bien connus*. Pp. 316. (Ed. Hachette, 1950, frs. 450).

HERRIOT (E.). *Episodes 1940 - 1944*. Pp. 207. (Ed. Flammarion, 1950, frs. 225).

BASKIND (B.). *La grande épouvante*. Pp. 135. (Ed. Calmann-Lévy, 1950, frs. 120).

GOSSET (P. et R.). *La deuxième guerre*. Pp. 477. (Ed. de Flore, 1950, frs. 600).

LEAHY (W. D.). *J'étais là*. Pp. 576. (Ed. Plon, 1950, frs. 690).

WEYGAND. *Mémoires*. T. III. — *Rappelé au services*. Pp. 596 plus 14 fotokopij, plus 3 mapy. (Ed. Flammarion, 1950, frs. 675).

### HISTORIA

GIRAUD (M.). *Histoire du Canada*. Pp. 134. (Ed. Presses Universitaires de France, 1950, frs. 100).

GROUSSET (R.). *Histoire de l'Asie*. Pp. 127. (Ed. Presses

Universitaires de France, 1950, frs. 100).

ARON (Robert). *Le piège où nous a pris l'histoire*. Pp. 311. (Ed. Albin Michel, 1950, frs. 360).

### KSIĄZKI O Z.S.S.R.

"EL CAMPESINO" (General). *La vie et la mort en U.R.R.S.* Pp. 220. (Ed. Librairie Plon, 1950, frs. 300).

SMITH (W. Bedell). *Trois années à Moscou*. Pp. 348. (Ed. Plon, 1950, frs.

### R Ó Ż N E

BOURQUIN (J.). *La liberté de la presse*. Pp. 621. (Ed. Presses Universitaires de France, 1950, frs. 1250).

AEGERTER (E.). *Les grandes religions*. Pp. 127. (Ed. Presses Universitaires de France, 1950, frs. 100).

DUVERGER (M.). *Les finances Publiques*. Pp. 126. (Ed. Presses Universitaires de France, 1950, frs. 100).

MEZZROW (M. "Mezz") et WOLFE (B.). *La rage de vivre*. Pp. 419. (Ed. Corrèa, 1950, frs. 540).

*Lettres de Van Gogh à Van Rap-*



pard. Pp. 251. (Ed. Grasset, 1950, frs. 450).  
 GORER (G.). *Les Américains*. Pp. 287. (Ed. Calmann-Lévy, 1950).

## LITERATURA

SPERBER (M.). *Plus profond que l'abîme*. Pp. 325. (Ed. Calmann-Lévy, 1950).  
 AUCLAIR (G.). *Un amour allemand*. Pp. 283. (Ed. Gallimard, 1950, frs. 350).  
 ORWELL (G.). 1984. Pp. 374. (Ed. Gallimard, 1950, frs. 390).  
 ABELLIO (R.). *Les yeux d'Ézéchiel sont ouverts*. Pp. 371. (Ed. Gallimard, 1950, frs. 490).  
 RICHTER (H. W.). *Les vaincus*. (Die geschlagenen). Pp. 366.

(Ed. de Flore, 1950, frs. 400).  
 BODIN (P.). ... *De notre envoyé spécial* ... Pp. 276. Ed. Corrèa, 1950, frs. 390).  
 ZERAFFA (M.). *L'écumé et le sel*. Pp. 330. (Ed. Albin Michel, 1950, frs. 360).  
 SILONE (I.). *Le grain sous la neige*. Pp. 563. (Ed. Grasset, 1950, frs. 480).  
 BAZIN (H.). *La mort du petit cheval*. Pp. 316. (Ed. Grasset, 1950, frs. 375).  
 WIECHERT (E.). *Des forêts et des hommes*. Pp. 220. (Ed. Stock, 1950, frs. 300).  
 WILLIAMSON (J.). *Les humanoïdes*. Pp. 311. (Ed. Stock, 1950, frs. 330).

## Listy do Redakcji

### O ZMIANĘ NASZEJ POLITYKI W STOSUNKU DO NIEMCÓW

Jeszcze nie przebrzmiały echa wystrzałów, jeszcze uszy były pełne huku rozrywających się bomb, gdy my, Polacy, zaczęliśmy mówić o nowej, trzeciej wojnie światowej. Zwłaszcza ci z nas, którzy koniec wojny i oswobodzenie przeżyli w Niemczech, ze zdumieniem i niedowierzaniem oglądali rozmiary sympatyj prosowieckich ze strony Anglików i to nie tylko w formie fetowania sowieckich oficerów łącznikowych. Szary żołnierz angielski wierzył w trwałość sojuszu angielsko-sowieckiego, wierzył, bo go o tym zapewniała prasa angielska i dlatego, że wierzyć chciał. Myśmy pokpiwali z tej przyjaźni twierdząc — zresztą ku wielkiemu zdumieniu i niechęci tychże Anglików — że to jest sojusz ognia z wodą i że starcie sprzymierzeńców jest nieuniknione. Mówiliśmy to, gdyż bolszewików znamy nie od dzisiaj, a równocześnie czuliśmy ogrom krzywdy nam wyrządzonej przez Zachód i liczyliśmy na to, że trzecia wojna światowa ją naprawi.

Nie trzeba było być specjalnie bystrym politykiem, by przewidzieć, że z chwilą narastania konfliktu pomiędzy Wschodem a Zachodem, pobite Niemcy staną się potencjalnym sojusznikiem o skąpotowanie którego i jedna i druga strona będzie skwapliwie zabiegała. Nie zdawała sobie jednak z tego sprawa polska opinia publiczna na Zachodzie.

Tymczasem czas upływał, a choć zaledwie kilka lat dzieli nas od chwili kapitulacji Niemiec, jak dalecy jesteśmy dziś od zakazu fraternizacji lub maksymy, że "dobry Niemiec jest tylko nieżywy Niemiec". Bardzo szybko, i to po obu stronach linii demarkacyjnej, zapomniano o zbiorowej odpowiedzialności narodu niemieckiego za okrucieństwa wojenne i okupacyjne i zarówno Rosjanie jak i Anglicy i Amerykanie zaczęli wyszukiwać "dobrych Niemców" — ale żywych. Jednym pomogło pokrewieństwo ideowe z pp. Pieckiem i Grotewohlem, drudzy kazali samym Niemcom wskazać osoby, które by ich na nowo reprezentowały. Potem p. Byrnes prawie że odzegnał się od polsko-niemieckiej granicy na Nisie. Francuzi starali się również

dojść do porozumienia z Niemcami, posługując się swym dawnym ambasadorem p. François Poncet — nawiąsem wspomnieć należy, że i on siedział w niemieckich obozach koncentracyjnych, ale jego stosunek do Niemców, jest bardzo daleki od nieprzyjawnego. Potem zaczęto się zastanawiać nad zaproszeniem Niemiec do Strasburga, do parlamentu europejskiego — naturalnie jako obserwatorów jedynie — a wreszcie, gdy horyzont międzynarodowy zaczął się coraz bardziej chmurzyć, zaczęto przebąkiwać nawet o możliwości włączenia Niemiec do systemu obronnej Europy Zachodniej. W ostatnich czasach, w jedynie dostępnej mi australijskiej prasie codziennej, wyczytałem, że belgijski min. Spaak wyraźnie oświadczył, iż Niemcy w dążeniu do odzyskania swych ziem wschodnich mogą liczyć na całkowite poparcie Belgii, a p. Churchill w jednym ze swych ostatnich przemówień już nie wspomina, że wśród Niemców mogą być "dobrzy Niemcy", ale wyraźnie mówi o "naszych niemieckich przyjaciółach". A Niemcy? Ostatnio, gdy groźba zbrojnego starcia między Zachodem a Wschodem stała się aktualna, bez najmniejszego zażenowania oświadczyli, że są gotowi ponieść częściowo ciężar obrony i ewentualnie mogą postawić do dyspozycji Europy Zachodniej 20 — 25 dywizji, naturalnie jedynie pod dowództwem własnych oficerów. Tak nagle, bo przedtem w ogóle nic, i tak dużo od razu — a nade wszystko w 5 lat po rozwiązaniu armii niemieckiej i uznaniu jej sztabu za organizację zbrodniczą. Wczorajszy wróg Nr 1 stawia zwycięzcy propozycje współpracy — na pewno nie za darmo.

Reakcja mocarstw zachodnich na tę ofertę niemiecką nie jest mi znana, osobiście jednak jestem przekonany, że w tej czy innej formie zostanie przyjęta i to nawet skwapliwie, raz dlatego, że nawet przed wojną, ani Anglia ani kraje Benelux'u nie były na tyle silne, by same walczyć z Rosją, że na skutek wojny ich siły może o połowę zmalały, że pomoc około 40-milionowego bloku — tyle liczą zdaje się Niemcy "zachodnie" — nie jest do pogardzenia, a zwłaszcza dlatego, że jeśli już bić się trzeba, to jeśli nie wyłącznie cudzymi to przynajmniej dla czego nie przy pomocy cudzych rąk. Gdy do tego wiadomo, że to są bardzo dobre ręce. A i przemysł niemiecki, choć mocno wojną strzaskany, przecie niejedno może jeszcze, albo już, wyprodukować. Też niedawno dzienniki doniosły, że i p. Thyssen niedługo znów obejmie w posiadanie zakłady Kruppa — choć według norymberskiego rytuału został zaliczony do pierwszej grupy przestępców wojennych.

Jeśli ma być wojna, a na nią czekamy i tyle po niej się spodziewamy, i jeśli zakończy się ona zwycięstwem Zachodu, to jedno wydaje się bezsporne, że między zwycięzcami będą Niemcy — a między pobitymi, niestety, Polska. Możliwe, że Anglia i inne mocarstwa zachodnie przywrócą wtedy uznanie naszym władzom w Londynie, możliwe że powstanie jakaś inna reprezentacja Polski, ale stanowisko nasze będzie na pewno o wiele słabsze od stanowiska Niemiec — choćby z uwagi na stosunek sił i wkładu do zwycięstwa. Bo Niemcy już dziś obiecują 20 - 25 dywizji, my zaś możemy wystawić parę batalionów, może nawet dywizję — i na pewno dużą sekcję propagandy. Nie ludźmy się, że wtedy — po zwycięstwie zakończony trzeciej wojnie światowej — ktoś będzie chciał pamiętać o Tobruku czy Monte Cassino. Przecie już teraz tego nie pamiętają. A i hasło dawnej wspólnej walki z hitleryzmem czy totalitaryzmem będzie wtedy na pewno tak samo przebrzmiało, jak dziś są dla nas hasła Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Cała ta zmiana sytuacji i układu sił międzynarodowych dokonała się na naszych oczach i bynajmniej nie była przed nami ukrywana ani zakryta, myśmy, niestety, tego widzieć nie chcieli. Można o nas z pełnym uzasadnieniem powiedzieć to, co kiedyś mówiono o ultramontanach we Francji, że "niczego nie zapomnieli ani niczego się nie nauczyli". Koniec wojny zastał nas w atmosferze 1939 roku, podsypanej śpiewaniem "Roty" i powtarzaniem cytatów Mickiewicza i



"Krzyżaków". Ubzduraliśmy sobie, że jesteśmy zwycięzcami, podczas gdy byliśmy jedynie bardzo biednymi i słabymi krewnymi bogatych zwycięzców. Odnosiliśmy się do Niemców tak, jakby nam specjalnie na tym zależało, by imię Polaka najbardziej zohydzić — będąc zresztą w Niemczech nie w charakterze zwycięzców, ale przycięgniętych przez UNNRA'ę czy IRO wygnańców — wywołując początkowo zdziwienie a później zgorznienie. Ukrywaliśmy popoliście zbrodnie, pomijając uprawianie czarnego rynku, uważając je za "dziejową karę na narodzie niemieckim" lub w poczuciu "solidarności" narodowej, a gdy kto odważył się tu czy ówdzie zaprotestować przeciwko solidaryzowaniu się z bandytami i uważał, że zbrodnie należy piętnować, jako odpowiedź słyszał "Niemców broniysz?" Pamiętam jak w tym czasie, prowadząc bardzo ożywioną dyskusję z mym przełożonym na temat niewłaściwości naszego stosunku do Niemców, cytując argumenty (które w międzyczasie już się spełniły, więc nie były takie nonsensowne), usłyszałem złośliwą odpowiedź — "pan cierpi na uraz niemiecki". Jeśli ten pan — którego dla innych powodów głęboko szanuję — pamięta te dyskusje i moje przewidywania, to na pewno zmienił swe zdanie.

Już wtedy, przewidując jedynie możliwy rozwój sytuacji, należało, w miarę środków i możliwości, uspokajając masy, starać się nawiązać bezpośredni kontakt z Niemcami. Chwila była jedyną w swoim rodzaju. Niemcy byli pobite i nikt z nimi nie chciał rozmawiać — na pewno z wdzięcznością podjęłyby wyciągniętą do zgody rękę. Wiem konkretnie, że były w roku 1947 robione próby polsko-niemieckiej współpracy kulturalnej — np. czytałem w "Die Welt" recenzję z wieczoru polskiej muzyki i poezji tłumaczonej na język niemiecki. Wydawcy niemieccy kilkakrotnie zwracali się do polskich autorów z prośbą o tłumaczenie polskich emigracyjnych pisarzy, byli zainteresowani polską twórczością. Wiem konkretnie, że pewne wysokie koła gospodarcze szukały możliwości zapoczątkowania rozmów na temat przyszłych wzajemnych stosunków. Możliwość były, trzeba je było jedynie chcieć wykorzystać, ale myśmy woleli dumnie obracać się plecami. Gdy w roku 1948 rozmawiałem na ten temat z poważnym przedstawicielem polskiej emigracji w Niemczech — o ile wiem, miał jakiś mandat od naszych władz w Londynie — zgodził się z mymi wywodami, zauważył jednak, że prowadzenie takich rozmów dlatego jest tak trudne czy nawet z punktu widzenia propagandy niebezpieczne, że Warszawa natychmiast wykorzystalaby je dla wykazania "zdradzieckości stanowiska władz londyńskich wobec narodu polskiego".

Tymczasem, zdaje mi się, że jeśli Kraj od nas czego oczekuje, to właśnie tego, by korzystając z pełnej wolności słowa i ruchów, nawiązać takie kontakty, tak nastawiać opinię do nas, by po tej trzeciej — dał by Bóg ostatniej i dla Zachodu zwycięskiej — wojnie, mógł się spokojnie rozwijać i żyć. Zdaje mi się, że wspomnienia okropności hitlerowskiej okupacji w Polsce — a znam ją dobrze i wcale nie lekko ją przeżyłem — zbladły lub zbladłyby, gdyby nie były stale podsycane przez reżimową propagandę, choćby jako naturalny skutek upływu czasu, oraz na skutek tego co się obecnie w Kraju dzieje, i mam wrażenie, że Kraj nie weźmie nam za złe, jeśli postaramy się położyć podwaliny możliwie jak najlepszych przyszłych sąsiedzkich stosunków z Niemcami.

Melbourne.

St. BILIŃSKI.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV<sup>e</sup>)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 4<sup>e</sup> trimestre 1950.

## KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).  
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

## PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
FRANCJA: "LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV <sup>e</sup> .....	120 fr.	770 fr.	1440 fr.
W. BRYTANIA: "GRYF", Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, LONDON, S.W. 11 .....	3 sh.	16 sh.	30 sh.
WŁOCHY: Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA .....	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert ŻABA, Kallskärsgatan 3/IV, STOCKHOLM. ....	2,50 kr.	12 kor.	24 kor.
NIEMCY: "Universum", (14 a), HEILBRONN/N., Badenerhof, US. Zone.	2,50 DM	15 DM	25 DM
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, "SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ", Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES .....	6 peso	36 peso	72 peso
KANADA: BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 83, Front St. E., TORONTO Ont .....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Na stan New York — S. DZIARCZYKOWSKI, 414 Prospect Ave, BROOKLYN 15, N. Y. Na stan Illinois — Józef BIALASIEWICZ, 1588 Milwaukee Ave. CHICAGO 22, Ill. Na stan California — L. DUDAREW-OSSETYNSKI, 28471 Ventura Boulevard, AGOURA, California. Na stan Michigan — Kazimierz TROJANOWSKI, 6042 Jos. Campau, DETROIT 11, Mich. Na stany Ohio, New Jersey, Pennsylvania, Indiana, Wisconsin, Florida, Virginia i West Virginia — Chrystian M. KRETOWICZ, 1828 Glenwood Ave, TOLEDO 2, Ohio. Na pozostałe stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 38 Quincy Street, CAMBRIDGE, Mass. ....	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. JANTA-POLCZYŃSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..	25 bfr.	120 bfr.	210 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz KRUSZYŃSKI, 71, Raglan Street, Sydenham, JOHANNESBURG .....	3 sh.	16 sh.	30 sh.
AUSTRALIA: VISTULA (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, SYDNEY .....	4 sh.(a.)	£A1.0.3.	£A1.18.0.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia BARCINSKA, r. Erasmo Braga 227 s. 214, RIO DE JANEIRO oraz Zofia KIETLIŃSKA, Av. Batel 1514, CURITIBA, Parana.	15 cruz	90 cruz	150 cruz
SZWAJCARIA: Zbigniew MAŁECKI, 8, Kistlerweg, BERN, 16 .....	1,80 fr. szw	10 fr. szw	18 fr. szw

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).



# „ORZEŁ BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**  
169/171, Battersea Church Road, London S.W.11  
Tel. BAttersea 0879

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**  
**32 Blenheim Gardens — London N.W.2.**

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,  
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech  
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce  
w Stanach Zjednoczonych.*

● Cena egzemplarza:  
We FRANCJI 25 franków fr. ★ W BELGII 5 franków belg  
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● P r e n u m e r a t a :  
We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.  
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.  
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/  
rocznie 45/.

● Prenumeratę przyjmują:  
WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV  
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.  
W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles  
nr. konta pocztowego 3172.28.  
W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro  
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)  
przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego,  
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma  
**CARLTON BERRY LTD.,**  
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

**Cena 120 frs.**